# KSIĘGA TAJEMNIC

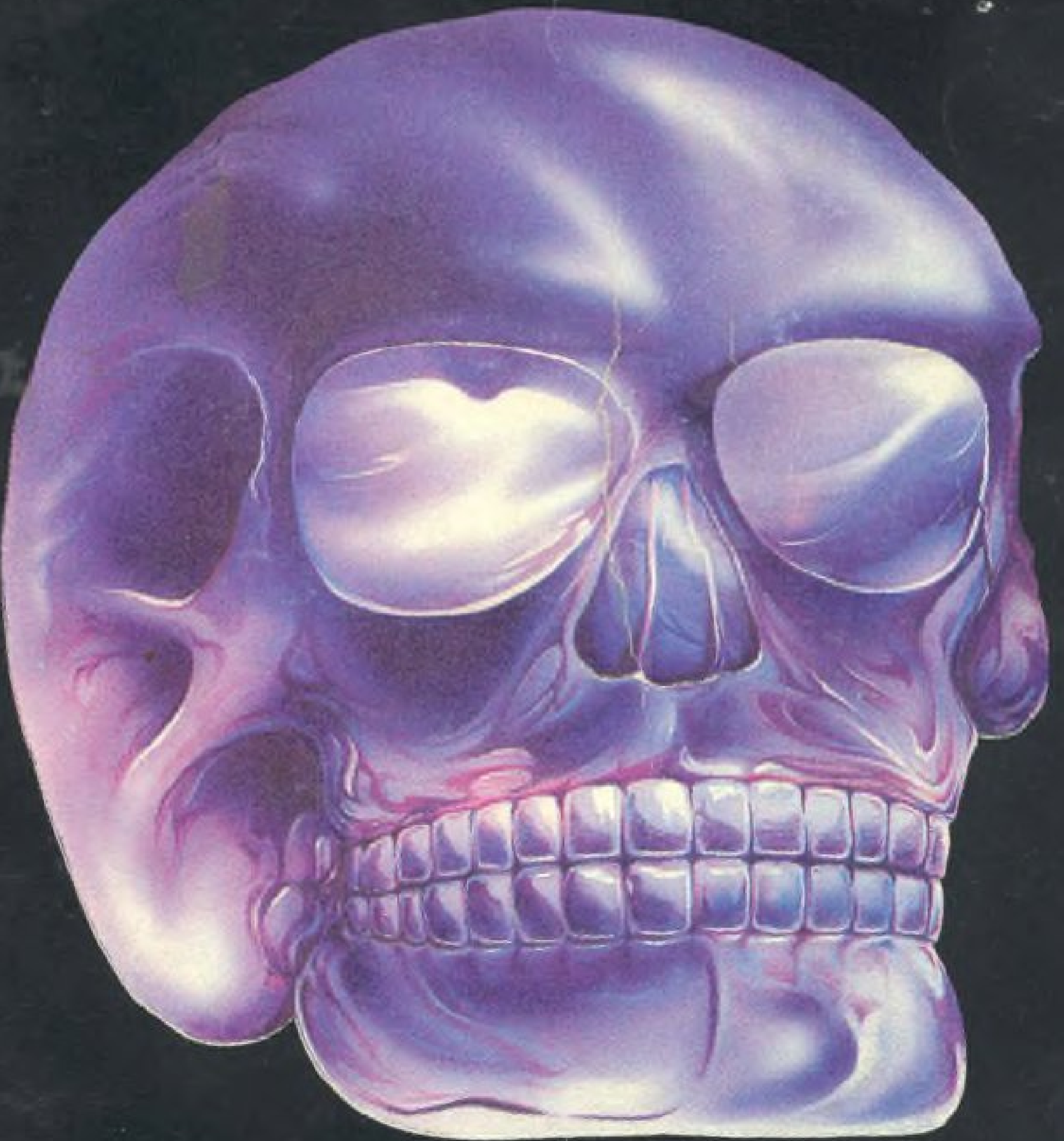

AMAZING WORLD

Pandora

# Księga tajemnic
## i rzeczy niezwykłych

Wybór i opracowanie:
Thomas De Jean

Pandora

Tłumaczenie: Monika Thiel
Projekt okładki: Robert Pawlicki

Copyright by Thomas De Jean, Kopenhaga 1990. All rights reserved.
Copyright for the Polish Edition by Pandora Books, Łódź 1991

Montaż okładki: Pastell Electronic Art, Łódź
Skład i łamanie: EXPaRT, Łódź

# Część I

# Tajemnicze zjawiska

# STRZELEC WIDMO

Kierowcy, jeden po drugim, hamowali gwałtownie, kiedy przednie szyby ich samochodów rozbijał strzał Widmowego Strzelca. Zostawały po nim dziury od kul i tajemnica, do dziś nie wyjaśniona

Zgodnie z notatką służbową w kartotece policyjnej pierwszy kierowca, w którego samochodzie przednia szyba została przestrzelona, zgłosił się na policję w marcu 1951 roku jako pierwszy z trzydziestu dwóch, którym przytrafiła się ta sama nieprzyjemna przygoda.

To, co zdarzyło się Thomasowi Woodsowi z Kigston, w hrabstwie Surrey, jest typowe dla wszystkich jego poprzedników i następców. 3 kwietnia 1952 roku około 16.30 Thomas jechał ciężarówką z Londynu do Portsmouth. Znajdował się na odcinku szosy między Cobham i Esher, w miejscu, które potem stało się sławne. Ruchu prawie nie było. Jedynym pojazdem w zasięgu wzroku była druga ciężarówka, około 90 m przed nim. Nagle przednia szyba rozprysła się w kawałki, a szkło rozsypało się na siedzenie. Kilkadziesiąt centymentrów od głowy Thomasa, w szybie pojawiła się dziura, przez którą kierowca mógłby włożyć pięść, jeśli tylko miałby na to ochotę.

Thomas przyjrzał się dokładnie miejscu, gdzie to wszystko się zdarzyło i pojechał na policję złożyć meldunek. Stwierdził, że sprawa wygląda podejrzanie. Podobne wrażenie odnieśli wszyscy kierowcy, którzy mieli analogiczne przygody w tej okolicy.

Dziwnym sposobem widmowe kule dosięgają swojego celu na prostym odcinku drogi o długości 4 km. Szosa jest gładka, bez ograniczeń prędkości, pola po obu jej stronach rozległe, puste, z wyjątkiem zarośli, w których jednak żaden strzelec nie mógłby się ukryć. Mimo to raz po raz rozlega się wystrzał, jakby strzelano z bardzo małej gwintówki o wielkiej mocy.

W miarę napływania kolejnych meldunków, policji zdawało się, że wkrótce znajdzie wytłumaczenie tej zagadki. Weźmy przypadek państwa Sykes. 8 maja 1952 roku jechali z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę w pobliżu Esher, kiedy zobaczyli błysk, jakby przed przednią szybą ktoś strzelił im z pukawki karnawałowej – rozległ się huk i szybę pokryła siatka promienistych pęknięć wokół dziury o średnicy ołówka. Eric Sykes zatrzymał samochód, oboje z żoną wyskoczyli w poszukiwaniu zamachowca, ale zobaczyli tylko puste pola. W okolicy nie dostrzegli też żadnego pojazdu.

Po roku, od momentu, kiedy zaczęły się te wypadki, policja była przekonana, że jakiś piroman i wariat czai się przy drodze, żeby strzelać do kierowców, i że skończy się to tragicznie. Była to sensowna teoria, ale na tym koniec. Przedmioty, które tłukły szyby, nadlatywały z różnych kierunków, a po przebiciu szkła – znikały. Nigdy nie znaleziono ich w samochodach, ani nie zdarzyło się, żeby zniszczyły wnętrze pojazdów.

Eksperci od broni palnej przyznali, że możliwe jest wywołanie takiego efektu przy użyciu kruchych kul, które rozpryskują się po dotarciu do celu, ale można ich używać tylko na bardzo małą odległość i na pewno nie do celu, który porusza się z dużą prędkością. Ta teoria też została obalona po mikroskopowym badaniu dziur, łącznie z jedną w metalowych drzwiach samochodu. Badania wykazały, że z całą pewnością nie kulami zostały zrobione te otwory.

Podczas gdy policja zastawiała pułapki i studiowała raporty o widmowych pociskach, niebezpieczny obszar zmienił położenie i przesunął się do samego Esher. 16 czerwca 1952 roku okno wystawowe na ulicy Dworcowej zostało podziurawione jak sito, a cztery dni później właściciel gospody zgłosił, że we frontowym oknie jego lokalu jest dziura podobna do tych, które widział w szybach samochodowych.

Sprawa ta wkrótce zyskała międzynarodowy rozgłos, ponieważ okazało się, że w czerwcu 1952 roku policja stanowa w Indianie i w Illinois również ścigała Strzelca-Widmo, tak samo nieuchwytnego jak ten w Anglii.

Pechowi Amerykanie, tak jak Anglicy, niczego nie widzieli, ani nie słyszeli oprócz błysku na szybie, huku i potłuczonego szkła rozsypującego się w samochodzie.

Naukowcy dostarczyli jeszcze jednej teorii: taki skutek jak widmowa kula mógłby spowodować lecący z ogromną prędkością meteoryt wielkości główki od szpilki. Jest to możliwe, ale nie zostało w żaden sposób udowodnione.

Jeszcze jedna hipoteza została odłożona do kartoteki. Pozostają stłuczone szyby i nie rozwiązana zagadka.

# NIEPOJĘTE KREMACJE

Ogień był jednym z pierwszych przyjaciół człowieka. Człowiek nauczył się go wykorzystywać, rozniecając płomień przed wejściem do jaskiń dla obrony przed wrogami. Później ujarzmił go i zmusił, aby pomagał mu w pracy. Ale od czasu do czasu ogień przypomina, że posiada swoje ukryte tajemnice i że człowiek nie ujarzmił go całkowicie.

W poniedziałek rano, 2 lipca 1951 roku, pani P.M. Carpenter, zamieszkała przy 1200 Cherry Street w St. Petersburg na Florydzie, podeszła do drzwi pokoju zajmowanego przez sześćdziesięcioletnią Mary H. Reeser, którą pani Carpenter ostatnio widziała ubiegłej nocy. Było kilka minut po ósmej – pora na ich poranną kawę. Pani Carpenter chciała również doręczyć jej telegram, którego nie mógł oddać posłaniec Western Union, gdyż pani Reeser nie odpowiedziała na jego pukanie.

To dziwne, pomyślała gospodyni, pani Reeser ma czujny sen. Czyżby coś się stało?

Chwyciła za gałkę drzwi do pokoju pani Reeser i nagle cofnęła gwałtownie rękę z okrzykiem bólu. Mosiężna gałka była tak gorąca, że poparzyła jej dłoń!... Przestraszona, wybiegła z domu, wzywając pomocy. Malarze pokojowi, pracujący po sąsiedzku, rzucili robotę i pośpieszyli do niej. Razem sforsowali drzwi do pokoju pani Reeser, natykając się na straszliwą tajemnicę, która nigdy nie została wyjaśniona.

Chociaż okna były otwarte, w pomieszczeniu panował nieznośny żar. Obok frontowego okna leżały zwęglone szczątki dużego fotela i równie zwęglone zwłoki pani Reeser.

Wezwano policję, która zadzwoniła do specjalistów od pożarnictwa, zaś później zagadką zajęli się lekarze patolodzy. Ich intensywne i przedłużające się badania ujawniły niezwykłe fakty. Niektóre z nich nie pokrywają się z naukową wiedzą o ogniu.

Ustalono, iż panią Reeser widziano ostatnio żywą około dziewiątej poprzedniego wieczora, kiedy to jej syn, dr Richard Reeser, pani Carpenter i pewien przyjaciel powiedzieli jej dobranoc. Pani Reeser siedziała wtedy w dużym fotelu. Miała na sobie nocną koszulę ze sztucznego jedwabiu, sukienne domowe pantofle i lekką podomkę.

Gdy owego nieszczęsnego ranka malarze i gospodyni wdarli się do pokoju ofiary, stwierdzili, że ów potworny żar, który zniszczył fotel, sprawił także, iż z ważącej 77 kg pani Reeser zostało mniej niż 4,5 kg zwęglonych szczątków. Płomienie nie strawiły tylko jej lewej stopy, skurczonej czaszki i kilku kręgów. Z dużego fotela zostały jedynie sprężyny.

Pokój, w którym pani Reeser znalazła śmierć, niczym w piekle, zdradzał niewielkie ślady pożaru. Od wysokości powyżej 1,2 m nad podłogą ściany były pokryte sadzą, która osiadła gęstą warstwą również na zasłonach. Lustro, wiszące w odległości około 3 m od fotela, popękało od gorąca. W odległości 3,7 m stopiły się i zakrzepły w postaci różowych kałuż na toaletce dwie długie świece, których knoty zwisały wzdłuż metalowych uchwytów szuflad. Żar pozostawił liczne i wyraźne ślady powyżej 1,2 m nad podłogą, ale poniżej były tylko dwa ślady ognia. W dywaniku tuż pod fotelem była wypalona mała dziurka. Za fotelem stopiło się plastikowe gniazdko, wysadzając bezpiecznik, który zatrzymał wskazówki zegara elektrycznego na godzinie dwadzieścia minut po czwartej.

Dziwna śmierć Mary Reeser wprawiła miejscowe władze w zakłopotanie.

Edward Davies, specjalista od podpaleń z Państwowego Wydziału d/s Ubezpieczeń, po przeprowadzeniu gruntownych badań przyznał, że może jedynie powiedzieć, iż ofiara zmarła od ognia, nie wiadomo czym spowodowanego.

Znanemu patologowi, dr. Wiltonowi Korgmanowi z Uniwersytetu w Pensylwanii, powiodło się nie lepiej. Jego raport brzmiał: "Nigdy nie widziałem tak skurczonej czaszki, ani ciała tak doszczętnie strawionego przez ogień. To jest tak nienormalne, że uważam to za najbardziej zdumiewającą rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem".

Rutynowe sprawdzenie wykluczyło ewentualność uderzenia pioruna – w St. Petersburg nie było burzy tej nocy. Papieros, od którego zajęło się ubranie? Eksperci wskazywali, że ubranie nie mogło wytworzyć temperatury 2500 C, która doprowadziła do tak drastycznych następstw. Spięcie w instalacji elektrycznej? Znów odpowiedź brzmiała – nie, ponieważ stopione gniazdko wysadziło bezpieczniki już po wybuchu ognia. Może benzyna? Patologowie z FBI, którzy zajmowali się tą sprawą, stwierdzili, że nie było żadnych płynów i chemikaliów, które spowodowałyby pożar.

Nie rozwiązana i najprawdopodobniej nierozwiązywalna zagadka śmierci Mary Reeser zniknęła z czołówek gazet. Kilku wydawców w całym kraju wspomniało krótko o podobnych przypadkach, ale ogólnie rzecz biorąc sprawa została zapomniana.

Zakłopotane władze St. Petersburga poczuły się zmuszone podać oficjalne oświadczenie zamykające całą sprawę. Kilka miesięcy po tragedii Szef Policji i Szef Biura Detektywistycznego podpisali oświadczenie przypisujące śmierć Mary Reeser zaśnięciu z papierosem w ręku, od którego zapaliło się jej ubranie.

Ta wygodna hipoteza została właśnie wykluczona przez ekspertów. Posłużyła do zamknięcia sprawy wprawdzie niezręcznie, ale zgodnie z przepisami. Jeśli eksperci byli zbici z tropu, to nie było sensu oczekiwać, iż komisarze zrobią coś więcej.

Dziwna śmierć Mary Reeser jest tylko jednym z wielu podobnych przypadków. Ch. Dickens, który w powieści *Samotnia* opisuje śmierć jednego ze swoich bohaterów, właśnie przez samozapalenie się, stwierdza w przedmowie, iż kroniki notują około 30 podobnych wypadków i wylicza je.

W przypadkach samozapłonu źródło żaru wydaje się znajdować wewnątrz ciała ludzkiego. Wskazuje na to wyraźnie pewna liczba doniesień. W jednym z nich mowa jest o kobiecie, która zastała swoją siostrę, inwalidkę, siedzącą w fotelu, całą spowitą płomieniami. Ugasiła ogień kocem i zawiozła poparzoną na piętro do sypialni, po czym pobiegła po pomoc. Ogień był już więc ugaszony, ale nieszczęsna kobieta musiała zapalić się ponownie, gdyż po powrocie siostry została z niej tylko głowa, palce rąk i popiół. Co zdumiewające, pościel, na której dokonał się akt spalenia ludzkiego ciała, nie była zniszczona. Przedmioty znajdujące się w pokoju pokrywała warstwa tłustej sadzy. Tłusta sadza pojawia się dość często w tego rodzaju wypadkach; również w przypadku śmierci Mary Reeser.

Żaden z nich nigdy nie został wyjaśniony.

# LUDZIE POD WYSOKIM NAPIĘCIEM

Bardzo rzadkim i niewytłumaczalnym przypadkiem są ludzie, którzy wydają się być naładowani prądem elektrycznym o wysokim napięciu. Medycyna nie umie wytłumaczyć tego zjawiska, więc niechętnie się o tym mówi...

Dr Ashcraft nie wierzył w zasłyszane opowieści o dziewczynie naładowanej prądem o wysokim napięciu, więc wyciągnął rękę i dotknął jej. Natychmiast padł porażony na podłogę.

Jennie Moran, sprawczyni tego wypadku, mieszkała blisko miejscowości Sedalia, w stanie Missouri. W 1895 roku była kruchą, nerwową nastolatką. Zjawisko, które zwróciło na nią powszechną uwagę, ujawniło się, kiedy skończyła czternaście lat. Wtedy Jennie nagle zaczęła zachowywać się niczym bateria o dużej pojemności. Kiedy dotykała uchwytu pompy, iskry strzelały z jej palców, a napięcie prądu było tak wysokie, że iskrzenie sprawiało jej ból. Tym bardziej nieprzyjemne było dla osób, którym zdarzyło się dotknąć Jennie.

Nie trzeba dodawać, że Jennie miała niewielu przyjaciół. Od kiedy jej ulubiony kot zaczął jej unikać, odczuwszy na własnej skórze siłę elektrycznych wstrząsów, uznała, że jest przeklęta.

Dziwne elektryczne właściwości ciała Jennie zniknęły wraz z dojrzałością; stała się więc normalną młodą dziewczyną, ku swojej ogromnej radości.

W dokumentacji medycznej i w prasie zanotowano inny przypadek kobiety-baterii. Była nią Caroline Clare z Bondon, w stanie Ontario. W 1877 roku, kiedy miała siedemnaście lat, była zdrową dziewczyną, ważącą 58 kilogramów. Mieszkała z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa. Pewnego razu zachorowała, straciła apetyt i zaczęła niknąć w oczach. Lekarze nie wykryli u niej żadnej poważnej choroby, lecz ona chudła, aż jej waga spadła poniżej czterdziestu kilogramów.

Dziewczyna zaczęła cierpieć na ataki, czy jak to określili lekarze, konwulsje. Kiedy jej ciało stawało się sztywne, wbijała oczy w jeden punkt, mamrotała godzinami, mówiąc o odległych miejscach i okolicach, których nigdy nie widziała. Opowieści te spotykały się ze zdziwieniem, ponieważ jej przyjaciele wiedzieli, że Caroline nigdy nie wyjeżdżała z rodzinnego miasteczka.

Ten dziwny stan trwał przez półtora roku – dopiero po upływie tego czasu zaczęła się zmiana na lepsze. Jednak nie była to poprawa, jakiej oczekiwano, bo kiedy pod względem fizycznym i psychicznym Caroline wróciła do zdrowia, okazało się, że dotknięcie dziewczyny grozi porażeniem elektrycznym. W dodatku Caroline wytwarzała nie tylko prąd elektryczny – stawała się też jakby namagnesowana. Za każdym razem, kiedy dotknęła metalowego przedmiotu, udawało się go oderwać od jej rąk dopiero przy użyciu dużej siły.

Tak jak w przypadku Jennie Moran, przeklęte napięcie elektryczne zniknęło, kiedy Caroline osiągnęła wiek dojrzały. Dokumenty dotyczące choroby złożono w Towarzystwie Medycznym w Ontario latem 1879 roku jako sprawę odłożoną *ad acta.*

W 1890 roku szesnastoletni Louis Hamburger przyjechał studiować farmację na uniwersytecie w Maryland. Jego zdolność przyciągania metalowych przedmiotów szybko uczyniła go sławną postacią na wydziale. Nauczyciele sprowadzili ekspertów w dziedzinie medycyny i fizyki, żeby zbadali młodego człowieka. Naukowców zdumiała zdolność Louisa Hamburgera do utrzymywania ciężkich, metalowych przedmiotów na czubkach palców, jakby na potężnym magnesie. Na przykład żelaznych prętów ponad trzydziestocentymetrowej długości i 2,5 centymetrowej średnicy, czy szklanego słoju wypełnionego żelaznymi opiłkami.

Naładowanie elektrycznością, które sprawiło tyle kłopotu Jennie Moran, Caroline Clare i Louisowi Hamburgerowi przypominało chorobę, na jaką zapadł Frank McKinstry z Joplin, w stanie Missouri, około roku 1889. Napięcie elektryczne, które wytwarzał Frank było niezależne od jego woli i nasilało się rano, kiedy był wyspany i wypoczęty. Potem w ciągu dnia stopniowo znikało. Szczególnie w zimne dni, kiedy większość ludzi akumuluje pewną ilość elektryczności, Frank bywał tak naładowany, że chodzenie sprawiało mu trudność. Czuł się, jakby stąpał po olbrzymim lepie na muchy.

On również był badany przez lekarzy, a potem zapomniany, ponieważ, jak we wszystkich opisanych tu przypadkach, medycyna zebrała tylko dowody, nie udzielając żadnego wyjaśnienia.

# NIESAMOWITE FOTOGRAFIE

Robienie zdjęć w świetle błyskawic jest rzeczą tak łatwą, że można je wykonać najprostszym aparatem fotograficznym. Ale gdy błyskawica sama zaczyna robić zdjęcia – to już jest zagadka nawet dla ekspertów.

Jak to się dzieje, nikt nie wie, ale czasami błyskawica graweruje fotografie i to o zaskakującej czystości obrazu.

Przy drodze, między Cleveland a Chattanooga, w stanie Tennessee, mieszkała w 1887 roku starsza wdowa, znana w wiosce Ooltewah jako babunia Osborne. Przykuta do łóżka, kurczowo trzymała się życia w skromnej chacie, gdzie ona i jej mąż mieszkali od wielu lat, wydzierając kamienistej ziemi tyle, by starczyło na skromne utrzymanie.

Na kilka godzin przed śmiercią zdołała unieść się na łokciach, chcąc przyjrzeć się gwałtownej burzy z piorunami szalejącej nad doliną. Nagle potężne uderzenie pioruna rozstrzaskało sosnę stojącą po drugiej stronie drogi. Babunia opadła na poduszkę, złożyła ręce i umarła.

Zaskoczenie przyszło później, gdy przybyli sąsiedzi ubrać nieboszczkę do trumny. Ku swemu przerażeniu odkryli, że babunia zdawała się wyglądać na nich z okna; jak zwykle w swoim nocnym czepku i z dobrotliwym uśmiechem. Bliższe oględziny ujawniły, że na szybie utrwalony został niesamowity obraz staruszki tkwiącej w oknie podczas obserwacji ostatniej w swoim życiu burzy. Jakość wizerunku reporterzy opisali jako porównywalną pod względem szczegółów ze zdjęciem wykonanym aparatem fotograficznym – z tą tylko różnicą, że został on utrwalony na skutek jakiegoś nieznanego procesu na zwyczajnej szybie okiennej, gdzie był widoczny przez całe lata, dopóki nie wyblakł.

Przypadek babuni Osborne pod wieloma względami podobny jest do innego, który zdarzył się w Waszyngtonie w 1903 roku. Wtedy to goście na proszonym obiedzie zauważyli utrwalone na dużej szybie z płaskiego, walcowanego szkła, w oknie wychodzącym na ogród, dwie zadziwiające fotograficzne podobizny: starszego, krzepkiego mężczyzny i bardzo wątłej, wiekowej damy.

Gdy poprzedni właściciele tej posiadłości zostali powiadomieni o odkryciu, przyjechali i natychmiast zidentyfikowali te dziwne obrazy jako podobizny, jak żywe, ich ojca i babki, którzy zmarli przed wielu laty. Lubili oni obserwować burze z piorunami stojąc przed szybą z walcowanego szkła, które zapewniało im doskonałą widoczność.

W jaki sposób ich wizerunki zostały utrwalone na grubym, płaskim szkle, było tajemnicą, której nie potrafili wyjaśnić nawet eksperci ze Smithsonian Institute.

Szkło zostało ostrożnie wyjęte i zabrane do instytutu w celu przeprowadzenia badań, ale naukowcy mogli tylko stwierdzić, że w jakiś nie znany im sposób piorun utrwalił wizerunki w szkle, wyraźne, niczym fotografia. Szkło zostało skatalogowane i zarejestrowane. Leży gdzieś pośród trzydziestu milionów eksponatów należących do Smithsonian Institute.

W New Albany, w stanie Indiana, pani Sophie Scharf zmarła 2 grudnia 1891 roku w swoim domu przy zbiegu East Fifth i Spring Street. Uroczystości pogrzebowe odbyły się trzy dni później, a następnego dnia po pogrzebie synowa zmarłej kobiety poszła do jej domu, aby zabrać parę rzeczy. Okropnie się przeraziła zobaczywszy twarz zmarłej, wpatrującą się w nią z okna od frontu. Obraz był wyraźny, ale w krótkim czasie zniknął tak nagle i nieoczekiwanie, jak się zjawił.

Po kilku tygodniach pojawił się ponownie – z początku zamazany, z czasem coraz wyraźniejszy. Wszyscy, którzy go oglądali, zgadzali się, że był doskonale wierną podobizną zmarłej, ale nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego i w jaki sposób na przezroczystej szybie dużego okna pojawił się ów tajemniczy wizerunek. Podejmowano różne próby, żeby obraz usunąć, jednakże bez powodzenia. W końcu syn pani Scharf, który jadąc z Kalifornii spóźnił się na pogrzeb, po prostu wziął chustkę do nosa i przetarł nią wizerunek zmarłej, a ten zniknął na zawsze.

Bardziej trwałą, ale równie intrygującą, była "fotografia" w trzyskrzydłowym oknie w domu J. Smitha, sędziwego farmera mieszkającego 10 km na zachód od Demossville w Kentucky. Pojawiła się wczesną wiosną 1865 roku. Wojna domowa dobiegała końca i Smith, jak wszyscy jego sąsiedzi, czekał na wieści z frontu. Pewnego ranka po gwałtownej burzy, Smith i jego żona ze zdumieniem dostrzegli wspaniałą tęczę – jednakże nie na niebie, jak można by się spodziewać. Ta wielobarwna wstęga o szerokości około 15 cm biegła łukiem przez trzy dolne szyby ich frontowego okna. Była widoczna tylko z zewnątrz, ale nie ulegało wątpliwości, że jest trwałym elementem szyby. Gdy unoszono okno – tęcza unosiła się razem z nim.

Jej pojawienie sią wywołało prawie panikę. Setki ludzi przychodziło, żeby ją zobaczyć i spróbować powiązać z jakąś wróżbą dotyczącą wojny. Po kilku dniach wojna się skończyła, jednakże tęcza pozostała – wciąż tak samo wyraźna i kolorowa jak dwadzieścia lat później, gdy sprawę tę badał "Cincinnati Enquirer".

Pojawiające się po burzy obrazy na szybach... Jeszcze jedna udokumentowana zagadka, w obliczu której stajemy zdumieni.

# PÓŁNOC W POŁUDNIE

Raz za razem historia notuje wypadki, kiedy to w środku dnia nagła ciemność spowija miasta i kraje.

Jak to się dzieje i dlaczego?

Część astronomów uważa, że przestrzeń kosmiczna wcale nie jest pusta. Gdy przemierzamy kosmos, do atmosfery ziemskiej każdego dnia zmiatane są biliony drobnych cząsteczek. Podejrzewa się istnienie pyłów i gazów kosmicznych tak gęstych, że aż nieprzezroczystych.

Jeżeli faktycznie istnieją w kosmosie gęste masy nieprzezroczystych, czy półprzezroczystych ciał, nie jest wykluczone, że Ziemia przecina je od czasu do czasu, czemu towarzyszą niezwykłe efekty, o których tu mowa.

Cienka warstwa pyłu kosmicznego, zasłaniająca Słońce pod małym kątem, może spowodować zanik światła, nawet w środku dnia. Istnieją urzędowo zarejestrowane przypadki, gdy w słoneczne dni nagle zapadały ciemności, chociaż nie było zaćmienia słońca.

26 kwietnia 1884 roku miasteczko Preston w Anglii było sceną strasznych ciemności, które zapadły w dzień. Komunikaty prasowe informują, że całe niebo stało się czarne, jakby naciągnięto na nie ogromną zasłonę. Strwożeni mieszkańcy szukali po omacku drogi, zwierzęta ułożyły się do snu, a pobożni ludzie zaczęli się modlić. Ciemność zniknęła tak nagle, jak się pojawiła, i powrócił dzień. Zjawisko to nigdy nie zostało wyjaśnione.

W Aitkin, w stanie Minnesota, 2 kwietnia 1889 roku nagle zapadły ciemności, a z nieba strumieniami sypał się piasek! To zjawisko również pozostało nie wyjaśnione.

Londyn został nagle spowity mrokiem 19 sierpnia 1763 roku. Była to gęsta, paraliżująca ciemność, nie przepuszczająca nawet światła świec ani latarni. Astronomowie twierdzili, że nie było to zaćmienie.

W Oshkosh, w stanie Wisconsin, w biały dzień miało miejsce zagadkowe zaciemnienie, które zaczęło się o godzinie trzeciej po południu i w ciągu pięciu minut zatopiło miasto w gęstym mroku. Zaciemnienie trwało nie dłużej niż dziesięć minut i według oficjalnych danych plama ciemności przesuwała się z zachodu na wschód po niebie, które było gęsto pokryte chmurami.

Gdy wstrząśnięte miasto odzyskało światło dzienne, okazało się, że miasta leżące na zachód od Oshkosh zostały podobnie doświadczone. Czym była niewielka plama gęstej ciemności, która przesuwała się od wybrzeża do wybrzeża w ciągu trzech godzin? Czy jakieś nieznane ciało stałe znalazło się między Ziemią a Słońcem, czy też, co jest tu mniej prawdopodobne, niezbyt duża, ale gęsta wstęga pyłu kosmicznego przesłoniła światło, gdy nasza planeta przemykała przez nią lub niedaleko niej?

Memphis w stanie Tennesse jak zwykle zajęte było swoimi sprawami o godzinie dziesiątej rano 2 grudnia 1904 roku, gdy z nie wyjaśnionych przyczyn zniknęło słońce i zapadł mrok. W ciągu dalszych piętnastu minut wielu ludzi przeżyło paniczny strach. W niektórych dzielnicach miasta przeraźliwie krzyczeli cierpiący katusze wierni, którzy bali się, że nadszedł koniec świata.

Być może z przyczyn psychologicznych te rzadkie, ale wstrząsające okresy nieprzewidzianych ciemności w dzień są różnie tłumaczone: dymem z pożarów lasów, niezwykłymi uformowaniami chmur lub obłokami pyłu z odległych pustyń.

Istnieją wypadki, dla których takie wyjaśnienia są niewątpliwie uzasadnione. Są wszak inne przypadki, gdy te wyjaśnienia, mówiąc delikatnie, są sporne. Raz takie zdarzenie miało miejsce we wrześniu 1950 roku, kiedy to na dużym obszarze Stanów Zjednoczonych widziane było przedziwne, błękitne słońce, które jak gdyby słabo przeświecało przez gruby filtr. Zjawisko to zanotowano 24 września. 26 września słońce zbłękitniało dla Szkocji i Anglii. W Danii słońce było błękitne tylko dwie godziny, ale wystarczyło to, aby w bankach utworzyły się kolejki pragnących wypłacić swoje oszczędności na wypadek końca świata.

Natychmiast udostępniono oficjalne wyjaśnienia. Opinię publiczną USA poinformowano, iż dziwny wygląd słońca został spowodowany dymem z rozległych pożarów lasów w prowincji Alberta w Kanadzie. Wyjaśniono, że dym uniósł się na dużą wysokość i działał jak gęsty filtr, zmieniając barwę światła słonecznego.

Wyjaśnienie to zawierało jeden poważny szkopuł. Wynikało z niego, że ów rzekomy dym, który zmienił kolor słońca, był niesiony wiatrem w kierunku wschodnim i równocześnie w kierunku zachodnim.

Jest to faktycznie dziwny wiatr, niosący dym w dwóch przeciwnych kierunkach w tym samym czasie!

# ŚMIERĆ Z KOSMOSU

Pod koniec 1958 roku w serwisach informacyjnych cytowano czołowych meteorologów amerykańskich, którzy na podstawie badań doszli do wniosku, że na pogodę ziemską wpływa także pył kosmiczny – obłoki mikroskopijnych cząsteczek, przez które Ziemia przechodzi czasami w swoim szalonym pędzie pokonując przestrzeń kosmiczną.

Wiemy, że do wystąpienia zarówno opadów deszczu, jak i śniegu potrzebne są drobne cząsteczki, wokół których mogłyby formować się kropelki wilgoci, by później spaść w postaci deszczu lub śniegu. Wiadomo także, że miliardy drobnych cząsteczek przedostają się każdego dnia do atmosfery, gdy Ziemia przechodzi przez obłok, czy warstwę pyłu kosmicznego – wtedy to powstają odpowiednie warunki dla wystąpienia deszczu, pod warunkiem, że w momencie pojawienia się pyłu, w powietrzu jest wilgoć.

Astronomowie odkryli, iż okazałe warkocze komet są niezwykle rozrzedzonymi ciałami pyłowo-gazowymi, składającymi się z cząsteczek tak drobnych, że nawet niewiarygodnie małe ciśnienie światła może spowodować ugięcie się warkocza. Od czasu do czasu Ziemia przechodzi przez takie skupiska materii kosmicznej – warkocze komet – niekiedy z bardzo nieprzyjemnymi skutkami, które mogą być albo zwykłym zbiegiem okoliczności, albo i nie.

Już w starożytności zwrócono uwagę na możliwości istnienia związku między kometami i zarazami. Biblia, w pierwszym rozdziale Kronik, opowiada, jak to król Dawid ukrywał się na klepisku w Ornam, kiedy jego przerażona świta ujrzała ogromną kometę ciągnącą za sobą ognisty warkocz wypełniający niebo – a wkrótce potem wybuchła wielka epidemia, pochłaniając siedemdziesiąt tysięcy istnień ludzkich.

W 1665 roku pojawiła się inna okazała kometa, z królewskim majestatem przesuwając się po niebie i ciągnąc za sobą warkocz, przez który przeszła Ziemia. Może znowu tylko dziwnym zbiegiem okoliczności zaraza nawiedziła świat... niesławna Czarna Zaraza, która zabiła miliony ludzi i zdziesiątkowała ludność miast i kontynentów.

Współczesna nauka odkryła, że wiele chorób jest wywołanych przez maleńkie stworzonka, których część jest tak mikroskopijnie mała, że można je dostrzec i wykryć tylko przy fantastycznym powiększeniu mikroskopu elektronowego. Wiadomo także, iż wiele drobnoustrojów może przetrwać zamrożenie bez widocznej dla siebie szkody. To samo dotyczy wirusów.

Jeśli chorobotwórcze drobnoustroje i/lub wirusy występują także w pyle kosmicznym, można logicznie przypuszczać, że pył nie tylko wywołuje zmiany pogody, ale również epidemie, jak utrzymywali już starożytni. A ponieważ niektóre rasy ludzkie są bardziej od innych odporne na pewne choroby, epidemie nie wśród wszystkich sieją takie samo spustoszenie. Istnienie czegoś, co można nazwać odpornością rasową, zostało udowodnione w przypadku dymienicy morowej, która w latach 1896–97 zabiła w Indiach setki tysięcy tubylców, podczas gdy Europejczycy swobodnie i prawie bezkarnie poruszali się po terenach nawiedzonych przez tę chorobę.

Niekiedy choroby pojawiają się z dramatyczną raptownością i obiegają świat, nie oszczędzając żadnej rasy ani koloru skóry. Takim mordercą była w 1347 roku Czarna Śmierć, która nadciągnęła wkrótce po pojawieniu się komety i wydawało się, że zaatakowała całą Ziemię jednocześnie – zabijając w ciągu trzech strasznych lat prawie połowę jej mieszkańców.

Daniel Webster przeżył epidemię grypy, która zebrała obfite żniwo w wielu krajach, i to właśnie on zwrócił uwagę na pojawienie się choroby jako następstwa zbliżenia się komety. Możliwe, że błędnie interpretował on fakty – a może i nie.

Analiza spektroskopowa warkoczy komet ujawniła, że zawierają one ogromne ilości gazów, a niektóre z nich są śmiertelne dla ludzi. Przechodzimy więc przez warkocze komet nawet o tym nie wiedząc – nic więc dziwnego, że wówczas nasza atmosfera wchłania część gazów i pyłu.

Przeprowadzono również badania naukowe nad długofalowym wpływem niewielkich ilości śmiercionośnych gazów na tkanki żywych istot. Czy osłabia je to do tego stopnia, że padają ofiarą popularnych chorób, na które normalnie byłyby odporne? Czy powolne, stopniowe przenikanie pyłu kosmicznego i kosmicznych gazów do naszej atmosfery odgrywa jakąś rolę w przygotowaniu ludzi do nadejścia epidemii?

Historia obfituje w epidemie i komety. Czy są one ze sobą powiązane, nikt nie jest w stanie powiedzieć, ale człowiek od dawna bał się obydwu – może słusznie mając ku temu powody!

# ZDUMIEWAJĄCE DESZCZE

Niebo wydaje się być puste, lecz jest to złudne wrażenie, gdyż obserwacje i notatki mówią o tak dziwnych rzeczach spadających z nieba, że aż trudno uwierzyć.

Zdarzyło się to 22 grudnia 1955 roku. William Shannon i George Brinsmaid, profesjonalni ilustratorzy z RCA Service Company w Alexandrii, stan Wirginia, jechali samochodem do pracy. Znajdowali się na równej, łagodnie wijącej się autostradzie Mt. Vernon Highway, gdy – jak relacjonują – "nagle rozległ się przeraźliwy huk i pojawiła się ogromna dziura w przedniej szybie". Na podłodze samochodu leżała duża, zamrożona ryba o długości 25 centymetrów... Spadła prosto z nieba jak bomba, z taką siłą, że wybiła w bezodpryskowym, bezpiecznym szkle dziurę o średnicy trzydziestu centymetrów kwadratowych i spowodowała pęknięcie przedniej szyby w poprzek na całej długości.

W pobliżu nie było żadnych samochodów, samolotów ani nic takiego, co mogłoby wyjaśnić to zdarzenie. Tylko zamrożona ryba, potłuczona przednia szyba i dwoje przerażonych ludzi, którzy zawrócili i pojechali prosto do domu.

Nauczeni, że w niebie nie ma ryb, zamrożonych ani w żadnej innej postaci, niechętnie uznajemy takie świadectwa za prawdziwe. Aż do 1805 roku astronomowie naśmiewali się z pomysłu, że z nieba spadają kamienie i kawałki żelaza. W niebie nie ma kamieni, dlatego też nie mogą one stamtąd spadać. Wszystko było proste dopóty, dopóki Biot, sławny fizyk i członek akademii, nie zaczął badać spadających kamieni. Udowodnił, że one naprawdę spadły z nieba, o czym od lat mówili ciemni wieśniacy.

Niegościnne wrzosowiska rozciągające się wzdłuż Kanału Brystolskiego na północ od hrabstw Devon i Somerset znane są głównie ze wspaniałych owiec i robionych z ich wełny poszukiwanych tkanin.

Ale nocą 10 listopada 1950 r. coś niezwykłego wpisało się do historii tej cichej okolicy.

Owej nocy Edward Latham wielokrotnie słyszał zaciekłe szczekanie swego owczarka. Collie czynił to z reguły tylko wtedy, gdy coś było nie w porządku. Latham wstał i wyszedł na dwór. Niebo było bezchmurne. Nie zauważywszy niczego niezwykłego, Latham pomyślał, iż pies po prostu oznajmiał, że stoi na posterunku.

Ale wraz z nadejściem ranka Lathama czekała niespodzianka. Jego pies ponownie szczekał jak oszalały; tym razem jakieś 50 metrów od domu. Kiedy Latham dotarł na miejsce, znalazł tam jedną ze swych owiec, nieżywą, z głębokim ukośnym rozcięciem wzdłuż grzbietu poniżej szyi, tak jakby była uderzona siekierą. Obok ciała owcy leżał klocek lodu, który jak się okazało, ważył około sześciu kilogramów... Kawał lodu spadł na ziemię z taką siłą, iż wbił się na głębokość ponad 20 centymetrów.

Latham powiedział później władzom: "Ta owca została zabita jakby uderzył w nią piorun. Na całym polu i wzdłuż drogi znalazłem wiele innych bryłek przezroczystego, twardego lodu, większość z nich była wielkości talerza, chociaż były i większe".

Po długim dochodzeniu The British Air Ministry musiało przyznać, że nie jest w stanie wyjaśnić tego zjawiska. Lód nie pochodził z samolotów, ani też nie powstał na skutek burzy, a na dodatek ministerstwo stwierdziło: "Fakty nie sugerują, że mogło to być normalne zjawisko meteorologiczne lub też jakieś znane zjawisko przyrodnicze..."

Ledwie całe podniecenie tą sprawą zdołało przygasnąć, zdarzenie powtórzyło się 24 listopada 1950 r. Tak samo jak poprzednim razem nie było większego mrozu, a niebo było bezchmurne. We wczesnych godzinach nocnych bryła lodu, sześcian o boku 30 cm, spadła na ziemię. Przeszyła dach garażu w Wandsworth koło Londynu i narobiła tyle hałasu, że stróż nocny wezwał policję, zgłaszając wybuch bomby. Ponowne badania naukowe przeprowadzone przez Air Ministry nie przyniosły rozwiązania tej zagadki.

Te niewytłumaczalne spadki brył lodowych nie są zjawiskiem charakterystycznym dla Anglii. Gdzieś w połowie kwietnia 1958 r. deszcz lodowy spadł na podwórze państwa Kozłowskich w Napa, w Kalifornii; duże postrzępione kawały lodu od 25 do 30 cm średnicy. Niektóre z nich wbiły się w ziemię do połowy. Na tym obszarze nie było żadnych lotów samolotowych.

W tym miejscu należy także przypomnieć przeżycie, jakie było udziałem Edwina Groffa, farmera z okolic Reading w stanie Pensylwania. Usłyszał on gwiżdżący dźwięk, a w chwilę później ważący ponad dwadzieścia kilogramów kawał lodu spadł na ziemię tuż obok przerażonego farmera. Zawołał żonę i gdy tak stali, przyglądając się pierwszemu kawałkowi, drugi, odrobinę mniejszy, spadł ze świstem i wbił się w ziemię.

Wezwano szeryfa, ten powiadomił Air Force, zaś lotnictwo z kolei wezwało meteorologa. Stwierdził on, że jest to zwykły lód przyniesiony przez silny strumień powietrza, poruszający się z wielką prędkością. Teoria ta została jednak zarzucona, gdyż wiatr nie byłby w stanie podnieść brył lodu i unieść ich na taką wysokość.

Bryły lodowe Eda Groffa spadły na ziemię 30 lipca 1957 r., 14 sierpnia 1957 r. w Gowen City w Pensylwanii na ziemię spadła większa ilość brył, a 8 września 1958 r. ogromny kawał lodu przeleciał przez dach składnicy przy 510 North Third Street w Chester, także w Pensylwanii. Jak w poprzednich przypadkach nikt nie dał żadnego sensownego wyjaśnienia.

Ale chyba najdziwniejsze zdarzenie przytrafiło się państwu Bacigalupo z 336 Greystone Road, Old Bridge, w New Jersey. Wieczorem, 2 września 1958 r. około godziny 21.00 oglądali oni telewizję w swoim living-roomie, kiedy pan Bacigalupo poszedł do kuchni, aby zrobić sobie kawy. Gdy ponownie usiadł przed telewizorem, usłyszał przeraźliwy rumor... bryła lodu wywaliła metrową dziurę w dachu i w suficie kuchni.

4 lipca 1956 r., ogromne bryły lodu porozbijały samochody w Long Beach, w stanie Kalifornia. Celem ataku była ulica American Avenue z rzędami zaparkowanych samochodów. Trzy z nich zostały poważnie uszkodzone przez krystalicznie czysty lód spadający ze świstem z bezchmurnego nieba.

W mieszczący się przy 1480 American Avenue parking używanych samochodów na sprzedaż L.A. Smitha trafiła ogromna bryła lodu – ciężki kloc, który uderzył w jeden z samochodów z taką siłą, że maska i błotnik zostały zerwane odsłaniając silnik. Pracujący na parkingu H.A. Boyd powiedział gazecie "Los Angeles Examiner": "Właśnie skończyłem czyścić ten samochód i odszedłem od niego na odległość około półtora metra, gdy usłyszałem świst. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że w powietrzu pełno jest dużych i błyszczących kawałków spadającej w dół materii. Ogromna bryła lodu wielkości ludzkiej głowy rozbiła się na tym samochodzie, a kawałki lodu spadały na cały parking".

Lekko po przekątnej, po drugiej stronie ulicy, gdzie spadły bryły lodu, były pilot P-38, Charles Roscoe, siedział w swym biurze, gdy nagle usłyszał huk. Później powiedział władzom: "To brzmiało jak wybuch armatni – wybiegłem więc, aby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy doskoczyłem do drzwi, coś grzmotnęło w dach biura z takim łoskotem, jakby zwaliła się wielka skała. Spojrzałem w górę. Słońce oświetlało wielkie bryły spadające z wysokości około 6.000 metrów. Obracały się w powietrzu i miałem wrażenie, że na ziemię spływa lodowy wodospad.

Szukałem samolotu, ale żadnego nie zauważyłem".

Meteorologowie zakończyli całą tę sprawę tłumacząc, że były to po prostu bryły lodu, które odpadły od poszycia samolotu. Ich wyjaśnienia zostały jednakże uznane za nieprawdopodobne przez władze lotnictwa, które stwierdziły, że niemożliwe jest, aby tak duże bryły lodu utworzyły się na powierzchni samolotu, a do tego żaden samolot nie mógłby zrzucić tyle lodu w jedno miejsce w ciągu dwóch minut.

W 1921 roku w Portland, w stanie Oregon, biała, błyszcząca materia, przypominająca kawałki wypolerowanej porcelany, spadła migocząc, wraz z towarzyszącymi jej sporymi kawałkami lodu, na obszar o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych.

Dziesiątki kilogramów poszarpanego na strzępy mięsa spadły 9 sierpnia 1869 roku w Los Nietos Township, w stanie Kalifornia, na posiadłość zaskoczonego i zdenerwowanego właściciela gospodarstwa hodowlanego, niejakiego Hundsona. Mięso, w postaci drobnych strzępów i pasków o wymiarach wahających się od wielkości dolara do rozmiarów ludzkiej ręki, było świeże, ale szybko uległo zepsuciu. Zajmujący się jego badaniem zauważyli, że po jednej stronie miało drobną czarną szczecinę, nie potrafili jednak wyjaśnić, skąd się ona wzięła ani też jakim cudem mięso spadło z nieba na gospodarstwo hodowlane pana Hundsona.

1 marca 1876 roku, w Bath County, w stanie Kentucky, spadło coś, co specjaliści z uczelni Lexington określili jako: "pół fury kawałków mięsa pokrojonego w cienkie paski, niektóre dość krwiste, porozrzucanych na przestrzeni o szerokości około 15 i długości około 90 metrów na dwóch polach miejscowej farmy".

Z nieba – według relacji świadków – spadają tak dziwne rzeczy jak: skały, kawałki żelaza, orzechy laskowe, żaby, ogromne bryły lodu... a czasem także świeże mięso. Ciekawe skąd to wszystko się bierze...

# WĘŻE SPADŁY NA MEMPHIS

Memphis, w stanie Tennessee, słynie z wielu miejsc, ludzi i wydarzeń. Z pewnością nie jest znane z ponurych osobliwości – z jednym wyjątkiem: "deszczu węży", który spadł na miasto w styczniu 1877 roku.

W pamiętnym roku Memphis było portem rzecznym zamieszkałym przez 45 tysięcy osób. Po roku połowa mieszkańców opuściła miasto, uciekając przed żółtą febrą. Z tych, którzy pozostali, jedna trzecia zmarła – Memphis posiadało już tylko 13 tysięcy mieszkańców. Niewątpliwie epidemia przyczyniła się do zapamiętania deszczu węży przez mieszkańców miasta. Czasopismo "Reader's Digest" z 1982 roku publikuje w *Nie wyjaśnionych zagadkach* część opisu z 10 lutego 1877 r. przedstawionego przez "Scientific American":

"...deszcz żywych węży w Memphis, stan Tennessee. Tysiące małych gadów o długości od 30 do 50 cm pojawiło się w południowej części miasta. Zostały prawdopodobnie przyniesione przez huragan i uniesione w powietrzu na dużą odległość; ale w jakim miejscu węże istnieją w takiej obfitości, jest tajemnicą..."

Tego rodzaju incydenty nie były nie znane nawet w roku 1877. W książce *Lo* (1931) kronikarz anomalii Charles Fort pisał, że zebrał 294 przypadki, kiedy to żyjące stworzenia spadły z nieba. W większości jednak były to żaby, ropuchy, ryby i węgorze. Fort znał tylko cztery przypadki z wężami. Memphis pozostaje udokumentowanym przypadkiem, gdy na ulice spadło mnóstwo żywych węży.

W swej klasycznej pracy z roku 1919 *Księga rzeczy wyklętych*, Ch. Fort poświęcił prawie dwie strony sprawie deszczu węży w

Memphis. Cytował sprawozdania z wydarzenia z "Scientific American", "Monthly Weather Reviev" (styczeń 1877) i "New York Times'a". Wszystkie trzy źródła stwierdzały to samo: tysiące żywych węży spadły podczas ulewy w Memphis.

Czytając zwięzłe opisy z gazet w Memphis, opublikowane zaraz po zdarzeniu, jasne jest, że deszcz węży był w najlepszym wypadku kontrowersyjny. We wszystkim, co napisano o wydarzeniu, nie było wzmianki o żadnej osobie, która widziałaby spadające węże. Fort trafnie jednak zauważył, że niewiele osób spaceruje w czasie ulewnego zimowego deszczu.

W poniedziałek, 15 stycznia 1877 r., około 10.20 rano, gwałtowna ulewa dotarła do Memphis z południowego zachodu. Deszcz padał 15 do 20 minut. Kiedy przestało lać, w południowej części Memphis ludzie zauważyli, że ich podwórka, chodniki, rynsztoki i ulice pokryte są małymi, niejadowitymi, wijącymi się wężami pełzającymi we wszystkich kierunkach.

Węże były brązowe, czarne i z ciemnymi plamkami oraz miały małe, ale charakterystyczne czarne główki. Wykazywały tendencję do zbijania się w masę i robiły się jaśniejsze po włożeniu do świeżej wody na cały dzień. Ich ilość szacowano na tysiące do milionów. Stwierdzono, że następnego dnia liczba ich zmniejszyła się, a w środę zostało już tylko kilka.

Nieznany człowiek w południowej części Memphis zgromadził około tuzina węży w butelce z wodą i zabrał je do biura miejscowej gazety "Weekly Public Ledger". Gazeta ta wychodziła we wtorki i opisywała wydarzenia z poprzedniego tygodnia, więc dziewięciozdaniowa wzmianka o deszczu węży nie ukazała się przed 23 stycznia. Ale gazeta przekazała historię dalej telegraficznie. Ten przekaz był podstawą dla wszystkich innych relacji o tym wydarzeniu.

"New York Times" opisał to wydarzenie jako pierwszy 18 stycznia w artykule *Tysiące węży w Memphis*. Interesujący jest fakt, że większość mieszkańców Memphis nie miała pojęcia o wydarzeniu, dopóki nie ukazał się artykuł w gazecie "Ledger" sześć dni później. Wzmianka "New York Times'a" głosiła:

"Podczas gwałtownego deszczu w poniedziałek, w południowej części miasta zaobserwowano spadające małe, żywe węże. Jeszcze wczoraj były ich tysiące. Mają długość od 30 do 50 centymetrów.

"New York Herald" opublikował dłuższą relację 29 stycznia. Porównując deszcz węży do doniesień o wężach morskich, gazeta dodaje, że "łatwowierność czytelników powinna jeszcze to wytrzymać", chociaż historia o wężach w Memphis – "to już być może za dużo". Gazeta pisała, że próbowała bezskutecznie zainteresować wielu przyrodoznawców z Nowego Jorku, przesyłając okazy do identyfikacji.

"Herald" skontaktował się następnie z mieszkańcem Memphis, Dr. Schererem, który przyznał, że czytał artykuł w gazecie "Ledger" 23 stycznia. Powiedział, że węże zostały zabrane do jej biura. Stwierdził, że sierżant McElroy wyznał mu, iż sam poszedł na miejsce wydarzenia 17 stycznia i zebrał kilka dodatkowych węży.

McElroy potwierdził, że węże znajdowały się tylko w dwóch rejonach w południowym Memphis, przy ulicach Vance, St. Paul, Orleans i Lauderdale, odpowiednio na północy, południu, wschodzie i zachodzie. W 1877 r. w tym rejonie stały domy w stylu wiktoriańskim i domki służących.

McElroy powiedział Schererowi, że węże, które złapał, różniły się długością – miały od 15 do 30 cm, a ich średnica zbliżona była do średnicy drutu do robienia swetrów. Miały charakterystyczne główki, nie lubiły być dotykane i zdechły po paru dniach. McElroy twierdził, że nie poruszały się jak węże, ale posuwały przednią część ciała do przodu i podciągały resztę, tworząc coś w rodzaju haczyka. Mogły podnosić się również w górę od 12 do 15 cm, jakby szukały podparcia.

Z odkryć dr. Scherera "Herald" wysnuł wniosek, że stworzenia te nie były z pewnością wężami. Gazeta spekulowała: "silny poryw wiatru porwał kolonię robaków z zarośli i wirując, cicho opuścił je w Memphis wraz z ulewą ku niezadowoleniu samych robaków".

Z powodu krytycyzmu "Heralda" i całkowitego braku zainteresowania wykazywanego przez inne gazety w Memphis, 6 lutego "Ledger" przedrukował artykuł "Heralda" z 29 stycznia pod tytułem *Nowojorski Herald ma robaki*. Była to ostatnia publikacja na temat tego wydarzenia.

Dokładna identyfikacja stworzeń, które nawiedziły Memphis w 1877 roku, pozostaje tajemnicą. Rozmowy z przedstawicielami armii amerykańskiej nie pozostawiły wątpliwości, że nie ma notatek na temat "węży" w raportach Wojsk Łączności.

Kiedy opisano te stworzenia Jamesowi S. Jacobowi, specjaliście od kręgowców z Uniwersytetu Stanowego w Memphis, stwierdził od razu, że nie mogły to być węże. Żaden wąż nie porusza się wyginając ciało na podobieństwo haczyka. Profesor biologii, Carl Brown, z tego samego uniwersytetu, podzielił zdanie dr. Jacoba.

Dr Braun zasugerował, że zwierzęta mogły być robakami włosia końskiego, ale poprosił o konsultację eksperta od "egzotycznych" bezkręgowców.

Tak jak jego poprzednicy, James F. Payne był zafascynowany starym sprawozdaniem, ale był również sceptyczny. Dr Payne, szef wydziału biologii, twierdził, że u podstaw całej tej historii leży brak wiedzy na temat robaków w połączeniu z rozdmuchaniem całej sprawy. Dr Payne wykazał, że przed rokiem 1910 robaki włosia końskiego nie były dobrze znane. Według wierzeń ludowych, kiedy włos z ogona końskiego spadnie do wody, kilka dni później zmienia się w żywego robaka. Dokładne badanie wody wykazuje zwykle obecność martwego insekta, ale przed 1910 r. zakładano związek między żywym robakiem a nieżywym insektem.

Robaki mogą pojawić się w dużej ilości po ulewie i często skręcać się i zbijać w masę. Payne twierdził, że robaki te są często widziane w Memhis po ulewie.

Robaki owe zaczynają swe istnienie jako pasożyty rozwijające się wewnątrz żuków, pasikoników i innych dużych owadów. Kiedy znajdują się w wodzie, w dalszym stadium swojego rozwoju wychodzą z owadów jako długie, cienkie, skręcone robaki. Żyją tylko dzień lub dwa, dopóki się nie rozmnożą. Ich skręcanie się służy celom reprodukcji.

Często znane są jako węże włosia końskiego, ponieważ myli się je z wężami. Są czarne o długości od 15 do 45 cm i grubości od szpilki do cienkiego drutu. Payne uważa, że stworzenia z Memphis były tymi właśnie robakami.

Ale owa identyfikacja prowokuje do paru pytań. Jest na przykład nieprawdopodobne, żeby tysiące nieżywych owadów zakażonymi robakami znalazło się w tym jednym rejonie.

Jest nieprawdopodobne (chociaż nie niemożliwe), żeby wszystkie wyszły w tym samym czasie w środku zimy. W żadnym wypadku robaki nie mają charakterystycznych główek i plamek. Nie jaśnieją w świeżej wodzie i nie poruszają się w sposób haczykowaty. Payne przyznaje, że jeśli weźmiemy pod uwagę opisy świadków, mamy do czynienia z innymi stworzeniami i prawdopodobnie chodzi tu o pijawki. Pijawki z północnych wód osiągają swój ilościowy szczyt w środku zimy. Wodne pijawki gromadzą się w masy w ilości 700 sztuk na metr sześcienny. Tornado, trąba wodna lub huragan mógł przenieść dużą kolonię i upuścić na Memphis.

Co więc w końcu spadło na Memphis w pamiętnym styczniu 1877 roku?

# NIEWIDZIALNE KŁY

Raz po raz coś zatapiało kły w ciało krzyczącej dziewczyny, nawet wtedy, gdy trzymał ją policjant. Ale nikt nie wiedział, co to było. I nikt tego nie wie do dziś.

Noc 10 maja 1951 roku w Manili była ciepła i spokojna aż do momentu, gdy policja przywiozła do swego głównego biura tę histeryzującą dziewczynę.

Lekarz sądowy wciągnął kapelusz na głowę i sapnął: –Nonsens! – Nonsens! Wyciągacie mnie z łóżka w środku nocy, żebym obejrzał dziewczynę w ataku epilepsji.

Burmistrz Manili nic nie powiedział. Patrzył zaskoczony to na rozdrażnionego lekarza, to na krzyczącą dziewczynę. Na jej ramieniu widział pręgi i ślady zębów. Czy naprawdę sama się tak okaleczyła w paroksyzmie ataku epilepsji, czy też zostały one okrutnie zrobione na jej ciele przez coś... lub kogoś, kto zaatakował ją w zamkniętej celi, jak twierdziła?

Burmistrz Arsenio Lacson nie wiedział, co o tym myśleć, jednakże sprawa była tak dziwna, że wezwano naczelnika policji, a on z kolei wezwał lekarza sądowego. Razem poszli do więzienia, aby zbadać przyczynę zdenerwowania osiemnastoletniej Clarity Villaneuva – jednej z niezliczonych bezdomnych, młodych dziewcząt, które wojna zostawiła na bruku. Policja znalazła ją w centrum małego zbiegowiska ludzi na rogu ulicy: krzyczała, że jest atakowana i gryziona. Gapie, w większości męty z okolicznych szynków, dodawali jej otuchy i porozumiewawczo mrugali do siebie, dając do zrozumienia, że dziewczyna jest obłąkana.

Może narkotyki? Albo absynt? Cokolwiek to było, policjanci zostawili to komu innemu do ustalenia. Chwycili szamoczącą się dziewczynę i zabrali ją do celi.

Szlochając, Clarita upadła na podłogę, gdy drzwi się za nią zatrzasnęły. Policja zignorowała jej prośby, aby obejrzeć osiem śladów zębów, gdzie, jak twierdziła, to Coś ją ugryzło. Coś? Ale co? Clarita potrafiła powiedzieć tylko, że to Coś przypominało człowieka, który miał wyłupiaste oczy i nosił czarną pelerynę, a także wydawał się unosić w powietrzu, gdy tego chciał.

Po chwili znów zaczęła krzyczeć, że to Coś nadchodzi przez kraty.

Zirytowany policjant otworzył drzwi celi i wprowadził do sali wrzeszczącą nieludzko dziewczynę. Jego oczom ukazały się nowe ślady zębów na jej ramionach i barkach... sine ślady otoczone czymś, co przypominało ślinę. Oficer pobiegł po kapitana... a kapitan wezwał naczelnika.

Kiedy lekarz poszedł już do domu, burmistrz i naczelnik policji osobiście obejrzeli ślady na ciele dziewczyny. Sama je sobie zrobiła? Śmieszne, stwierdzili obaj: nikt nie byłby w stanie ugryźć się samemu w kark lub w barki z tyłu na plecach. Było w tym naprawdę coś dziwnego!

Clarita Villaneuva spędziła resztą nocy na ławce we frontowym pomieszczeniu komisariatu policji w Manili, gdzie w końcu szlochając, usnęła.

Następnego dnia rano, gdy policja przygotowywała się, aby ją doprowadzić do sądu w celu oskarżenia o włóczęgostwo, dziewczyna znów zaczęła krzyczeć. To Coś wróciło i gryzło ją. Dwóch silnych policjantów chwyciło ją mocno – każdy za jedną rękę – i na ich zdziwionych oczach oraz na oczach dziennikarzy i lekarza sądowego głębokie ślady zębów pojawiły się na jej ramionach, dłoniach i szyi. Atak ten trwał co najmniej pięć minut, aż dziewczyna zemdlała i osunęła się na podłogę. Lekarz sądowy, Mariana Lara, zbadała ją ponownie i zmieniła swe orzeczenie. Ta dziewczyna wcale nie miała ataku epilepsji. Ugryzienia były prawdziwe, ale to nie ona sama się pogryzła. Lekarz poprosił o natychmiastowe wezwanie burmistrza i arcybiskupa.

Upłynęło około pół godziny, zanim przybył burmistrz. Do tego czasu Clarita odzyskała przytomność. Ugryzienia na jej ramionach spuchły, a dłoń jednej ręki zgrubiała i posiniała w miejscu, gdzie ślady zębów były bardzo głębokie. Gdy burmistrz i lekarz sądowy towarzyszyli jej w drodze do szpitala więziennego, Clarita zaczęła ponownie krzyczeć, że to Coś znów ją goni: tym razem ma pomocnika – długie stworzenie o oczach robaka. Burmistrz Lacson zeznał później, że na jego oczach nagryzienia pojawiły się na jej karku i na palcu wskazującym, zaś na ręce dziewczyny, nawet w chwili, gdy sam ją trzymał, także pojawiły się głębokie ślady zębów.

Trwająca kwadrans droga do szpitala więziennego była koszmarem dla burmistrza Manili, lekarza sądowego, dziewczyny i kierowcy samochodu. Gdy już się tam znaleźli, ataki skończyły się i stan Clarity zaczął się poprawiać. Już nigdy więcej nie przeżyła czegoś podobnego. "To jest coś, czego nie da się wyjaśnić" – powiedział burmistrz Lacson, zaś lekarz sądowy, dr Mariana Lara, stwierdziła: "Byłam po prostu śmiertelnie przerażona".

Powyższy przypadek nie jest bynajmniej odosobniony. Kroniki medyczne notują podobne wypadki, kiedy to na ciele pojawiają się różnego rodzaju ślady lub rany. Jednym z bardziej znanych jest historia kobiety o nazwisku Chris Sizemore, która będąc małą dziewczynką, przeżyła silny wstrząs na skutek zapalenia się na niej ubrania. To koszmarne przeżycie pozostawiło w jej psychice tak silny uraz, że jeszcze w wieku pięćdziesięciu lat doznała ataku, podczas którego na jej ciele wystąpiły ślady poparzeń, a stara blizna zaczerwieniła się krwawo. Poparzone niegdyś ramię zrobiło się tak gorące, że wprost parował przyłożony doń mokry ręcznik.

Inny wypadek dotyczy pewnego oficera armii brytyjskiej i opisany został w fachowym czasopiśmie medycznym "Lancet" w 1946 roku przez londyńskiego psychiatrę dr. Roberta Moody'ego. Jego pacjent przebywał w swoim czasie w szpitalu w Indiach, gdzie leczony był z powodu drobnego zakażenia, a ponieważ był lunatykiem, pielęgniarki wiązały go podczas snu. Z powodu lunatyzmu i agresywnego zachowania po kilku latach leczenie kontynuowano w Woodside Hospital w Londynie. Pewnej nocy zauważono, jak miotał się, próbując rozerwać nieistniejące więzy. Kiedy dr Moody zapalił światło, na obu przedramionach chorego widniały wyraźne pręgi po sznurach, a po krótkim czasie zaczęła sączyć się z nich krew.

W obu ostatnich przypadkach ślady na ciele wystąpiły na skutek autentycznych przeżyć. Prawdziwość przeżyć nie jest jednak niezbędnym warunkiem wystąpienia śladów lub ran. Możliwe jest pojawianie się śladów także na skutek przeżyć urojonych, jak zdarzyło się to Claricie – dziewczynie, w której ciele zatapiał kły ktoś będący jedynie produktem jej wyobraźni.

# STYGMATY

Każdego roku, w Wielki Piątek, u pewnych ludzi zaczynają krwawić rany będące odbiciem ran Chrystusa na krzyżu. To niemożliwe, wydawać by się mogło, zjawisko powtarza się z niepokojącą regularnością.

Prawie w każdym przypadku stygmatyk był osobą głęboko religijną, wyjątkowo wrażliwą i prawdziwie uczuciową. Czynniki te sprawiają, jak utrzymuje wielu badaczy, że stygmaty są wynikiem kontroli umysłu nad ciałem, ponieważ umysł stygmatyka chce, aby ciało się otworzyło i krwawiło, co też się dzieje. Inni wybitni uczeni stwierdzają, że domniemana kontrola umysłu nad ciałem jest absolutnie niewystarczająca, a w niektórych przypadkach zupełnie niemożliwa.

Są to interesujące teorie, ale nic więcej.

Dwoma najbardziej znanymi stygmatykami byli: Theresa Neumann z Konnersreuth w Niemczech i ksiądz ojciec Pio z klasztoru San Giovanni Rotondo w południowo-wschodnich Włoszech. Tych dwoje nadzwyczajnych ludzi, różniących się pod względem temperamentu i usposobienia, obdarowanych zostało wspólną fizyczną osobliwością – krwawiącymi ranami odpowiadającymi ranom ukrzyżowania. Dla panny Neumann był to stan, z którym musiała sobie radzić od 1926 roku, kiedy to na jej ciele po raz pierwszy pojawiły się rany. Podobnie jak rany ojca Pio, nigdy się one nie goją, ani nie ulegają zainfekowaniu.

Dziesiątki tysięcy amerykańskich żołnierzy odwiedziło księdza Pio podczas drugiej wojny światowej. Jego rany krwawiły wówczas bezustannie, jak zresztą od wielu już lat. Ojciec Pio wyróżniał się jednak czymś szczególnym – miał wszystkie pięć znaków ukrzyżowania, po jednym na każdej ręce i stopie oraz długą na około 8 cm ranę ciętą na boku, z której płynąca krew nasączała 3–5 chustek dziennie. Jest on pierwszym oficjalnie zarejestrowanym księdzem katolickim mającym regularne święcenia kapłańskie, który posiada wszystkie pięć stygmatów.

Ojciec Pio urodził sią jako Francis Porgione we włoskiej prowincji Benerento w 1887 roku. Pochodził z licznej rodziny chłopskiej. Jako mały chłopiec wykazywał oznaki wyjątkowej pobożności i w wieku kilkunastu lat wstąpił do zakonu Ojców Franciszkanów, aby kształcić się tam na duchownego.

Nie wyróżniał się niczym niezwykłym aż do 20 września 1918 roku. Tego dnia rano jak zwykle zaczął dzień modlitwą. Nagle zrobiło mu się słabo i stracił przytomność. Kiedy potem otworzył oczy, odkrył, że jego ręce i stopy są przekłute i krwawią. Po kilku chwilach otworzyła mu się brocząca krwią rana na boku.

Bracia zakonnicy wezwali lekarzy, ale ci nie potrafili zatamować krwawienia. Badania wykazały, że ksiądz Pio ma przedziurawione na wylot dłonie i stopy, a cięta rana na boku ma kilka centymetrów głębokości. Wszystkie te rany były trwałe i od tamtego momentu aż do dziś ciągle krwawią, pomimo podejmowanych uporczywych i bezustannych wysiłków, aby je wypalić lub wyleczyć.

Dla władz Kościoła Katolickiego wiadomość o stygmatach ojca Pio nie była niczym innym, jak tylko następnym rozdziałem starej historii. Przez wieki zarejestrowano ponad 300 stygmatyków, w większości zakonnic i zakonników. Zgodnie z dawno już ustalonym trybem postępowania w takich przypadkach, Kościół nakazał ojcu Pio nie pokazywać się publicznie przez dwa lata.

W tym czasie był on poddawany intensywnym badaniom zarówno przez autorytety z zakresu medycyny, jak i władze Kościoła, a kiedy badania się już zakończyły, ponownie pozwolono mu pokazywać się publicznie. Badania te wykazały między innymi, że rany są trwałe i bezsprzecznie obecne oraz że wyjątkowo pokorny i chrześcijański tryb życia ojca Pio sprawił, iż doświadczył on tak szczególnej łaski.

Aby zabezpieczyć się przed pogonią za sensacją, nakazano mu, aby nie pokazywał swych stygmatów bez uprzedniego uzyskania specjalnego pozwolenia. Ojciec Pio nosi zwykle cienkie, brązowe rękawiczki zakrywające rany na rękach. Zdejmuje je tylko wtedy, gdy odprawia mszę. Tak jak u Theresy Neumann, krwawienie z ran jest najbardziej obfite w Wielki Piątek – co potwierdzają liczni świadkowie.

W miarę jak sława ojca Pio rozchodziła się po świecie, tysiące chorych ludzi przybywało do San Giovanni Rotondo, aby prosić go o modlitwę w ich intencji, a dziś obok klasztoru stoi nowoczesny szpital, nazwany imieniem burmistrza Nowego Jorku, La Guarii, który pomógł zgromadzić fundusze na jego budowę.

Pojawienie się stygmatów nie zostało jak dotąd wyjaśnione w sposób nie podlegający dyskusji. Są one niezaprzeczalnym faktem, ale dlaczego na ciele niektórych ludzi występują krwawiące rany odpowiadające ranom męki Chrystusa i jaki jest tego mechanizm – nikt nie jest w stanie powiedzieć.

Wiadomo tylko, że ma to związek z wiarą religijną i że jest to najprawdopodobniej jakiś fantastyczny przejaw wpływu psychiki na ciało. Znaczyłoby to, że człowiek mógłby w ogromnym stopniu wpływać na zachodzące w jego organizmie procesy fizjologiczne, chemiczne i inne, a gdyby tylko wiedział jak opanować tę drzemiącą w nim siłę, prawdopodobnie można by wyleczyć wiele śmiertelnych dziś chorób.

# PŁACZĄCE OBRAZY

Jaka tajemnica kryje się za zjawiskiem płaczących madonn, krwawiących i pocących się świętych obrazów i figur, o których opowiada się na całym świecie i które znamy z każdego okresu w historii? Cyceron mówił o nich w czasach starorzymskich i twierdził uparcie, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie tego zjawiska, choć jemu samemu nie udało się go znaleźć. Kościół zadowala się nazywaniem takich zjawisk cudami, co jest równoznaczne z intelektualnym poddaniem się.

16 marca 1960 roku mała kolorowa litografia Madonny roniła łzy w domu pani Pagony Catsounis w Island Park, w stanie Nowy Jork. Obraz ten oprawiony, pod szkłem, był prezentem ślubnym. Klęcząc przed nim podczas odmawiania wieczornych pacierzy, pani Catsounis zauważyła, że coś błyszczy na twarzy Madonny. Przyjrzawszy się z bliska, wydało jej się, że oczy Madonny otworzyły się i zamknęły. Później z oczu spłynęły dwie łzy.

Nowina o płaczącej Madonnie rozeszła się szybko. Ojciec George Papadeas, ksiądz z kościoła św. Pawła, i inni ludzie widzieli, jak łzy cicho spływały w dół, w kierunku ramy i znikały. Dom został poświęcony – i obraz przestał ronić łzy.

W Syrakuzach, we Włoszech, 29 sierpnia 1953 roku, figurka będąca prezentem ślubnym, przedstawiająca Niepokalane Serce Marii, zaczęła płakać nad łóżkiem pani Antoinetty Janusso. Łzy płynęły z przerwami przez pięć dni. Tak jak w przypadku obrazu pani Catsounis, analiza chemiczna wykazała, że ciecz ta – to ludzkie łzy. W gazetach nic nie pisano o fizycznym ani psychicznym stanie zdrowia pani Catsounis, lecz podano dramatyczne szczegóły dotyczące Antoinetty Janusso.

Oczekiwała ona narodzin dziecka. W czasie ciąży miała ataki epilepsji, od czasu do czasu traciła wzrok i mowę, wykazywała oznaki zupełnego wyczerpania nerwowego. Mówiono o zatruciu ciążowym (toksemii), ale żadne leczenie nie przynosiło jej ulgi, do momentu, gdy figurka nie zaczęła ronić łez. Pod wpływem ogromnego podniecenia wywołanego przez to wydarzenie, powróciła ona do takiego samego kwitnącego stanu zdrowia, w jakim była, gdy prowadzono ją do ołtarza.

Religia mówi o tajemniczym "połączeniu". Jedność – jest określeniem bardziej precyzyjnym. Poprzez ekstazę religijną lub trans pani Catsounis i litografia Madonny w jakimś sensie się połączyły, stając się jednością. Cokolwiek by to pojęcie znaczyło, kształt i przestrzeń, które je rozdzielały, nagle zniknęły i Madonna roniła teraz łzy pani Catsounis... jej własne łzy rozczulania się nad sobą. Po poświęceniu domu, ona sama poczuła się silna i zdrowa. Jej rozczulenie się nad sobą i łzy zniknęły, bo kobieta nie miała powodu do płaczu.

W przypadku Antoinetty ta wyjątkowa sytuacja wytworzona została przez przebiegającą nieprawidłowo ciążę. Poprzez głębokie uczucia religijne wytworzyła się jakaś tajemnicza jedność i po pięciu dniach ronienia łez, figurka albo rozszerzona własna jaźń pani Jannuso sprawiła, że powróciła ona do zdrowia.

Taka sama jedność może się wytworzyć z żywym wyobrażeniem Chrystusa na krzyżu – i wywołane siłą psychiki rany pojawiają się w postaci stygmatów; Chrystus i cierpiący stają się jednością.

Innym wariantem tego zagadnienia jest coroczne skraplanie krwi św. Jannuariusza z Neapolu. Podczas ceremonii musi być obecna co najmniej jedna osoba, której krew stanowi jedność z ciemną, czerwonawą, skrzepniętą substancją w fiolce podawanej przez księdza do ucałowania.

W jednym z przypadków, jakie notuje parapsychologia, użyto pośrednika, aby osiągnąć ów stan jedności. Była to "Nona" – tzw. czysty duch pani Linczegh-Ignath. Podczas eksperymentalnego seansu w Oslo poprosiła ona, aby przed obrazem Madonny Sykstyńskiej siedziało siedem osób, modląc się żarliwie. Modliły się one gorąco, po czym łzy pojawiły się w oczach obrazu i spływały w dół po twarzy Madonny.

Potęga uczuć religijnych, osiągając kulminacyjny punkt w uzyskaniu jedności, może być wyjaśnieniem "brata wilka" w historii św. Franciszka, a także jego znajomości języka ptaków. Jednym słowem, które określa potęgę uczuć religijnych, jest – wiara. Z badań nad Wolnym Kościołem Zielonoświątkowym w stanie Kentucky, Tennessee oraz w części stanu Wirginia i Północna Karolina, przeprowadzonych przez Bertholda E. Schwartza ("The Psychiatric Quarterly" z lipca 1960 roku) wynika wyraźnie, że sam trans nie wystarczy, aby nadać członkom tej sekty odpomość na działanie ognia, trucizn i ukąszeń węży. Ich wiara musi mieć siłę "niezłomnej obsesji". Podstawowym elementem ich wiary jest dosłowna interpretacja Biblii.

Podczas ceremonii chodzenia po ogniu, tj. rozżarzonych węglach, ludzie nie koncentrują się na Biblii, dlatego też musimy dojść do wniosku, że religijna jedność nie zależy od wyznania. Są również inne sposoby, jak narkotyki, miłość, mistyczne śluby, seanse okultystyczne i głodzenie, aby w końcu osiągnąć najwyższą formę jedności, zwaną przez niektórych – świadomością kosmiczną.

To ją właśnie opisuje Walt Whitman jako "niezwykłe światło – światło rzadko spotykane, o którym nie sposób opowiedzieć, świecące światłem będącym poza wszelkimi znakami, opisami i językami".

Według dr. Richarda M. Bucke'a (*Cosmic Consciousness*, Filadelfia 1910) doznanie to przychodzi nagle, bez ostrzeżenia jako wrażenie zanurzenia się w ogniu różowego obłoku, czemu towarzyszy uczucie ekstazy oraz moralnego i intelektualnego oświecenia, kiedy to w jednej chwili ukazane zostaje umysłowi jasne pojęcie sensu i celu istnienia Wszechświata. Człowiek, który doświadcza takiego przeżycia zauważa, że Kosmos jest żywą obecnością, że życie jest wieczne, dusza ludzka nieśmiertelna, że podstawą świata jest miłość i że szczęście każdego człowieka jest absolutnie pewne.

Czy jest to rzeczywista prawda, czy tylko złuda wyprodukowana przez naszą psychikę?

# TELEPATYCZNE WIZJE

El Yage – una Planta Misteriosa – roślina pnąca o długości dochodzącej do 3 metrów, która rośnie bujnie w dżunglach nad Amazonką, zawiera prawdopodobnie psychodeliczny narkotyk, który działa tak, jakby przenosił człowieka w inny punkt czasoprzestrzeni. Po zażyciu go człowiek może widzieć to, czego nigdy nie widział i być w miejscach, w których nigdy nie był.

Zainteresowanie yage było do tej pory ograniczone do dwóch lub w najlepszym razie trzech kategorii ludzi: pierwsza z nich to czarownicy, którzy używali yage jako środka do utrzymania władzy nad współplemieńcami; druga grupa to naukowcy botanicy, chemicy i farmakolodzy; trzecią grupę stanowią prawdopodobnie specjaliści z wywiadu wojskowego, ponieważ wiadomo, że przynajmniej ZSRR wykazywał znaczne zainteresowanie yage – zainteresowanie podejrzane, biorąc pod uwagę odległość dzielącą dorzecze Amazonki od Związku Radzieckiego.

Pierwsze wiadomości o yage, które nie były przeznaczone wyłącznie dla specjalistów, ukazały się w hiszpańsko-języcznej publikacji Pan American Union – "Americas", w wydaniu z grudnia 1962 roku. W czasopiśmie tym Alfredo Granguillhome z Meksyku zaprezentował artykuł: *El Yage, una Planta Misteriosa.* Ci, którzy zapoznali się z tym materiałem, wiedzą doskonale, że yage w pełni przysługuje nazwa – "tajemnicza roślina".

Znany jest tzw. święty grzyb z jego zdolnościami odblokowywania najbardziej tajemniczych obszarów umysłu. Być może yage jest rośliną z nim spokrewnioną lub należy do innej grupy roślin, których tajemnicze alkaloidy mają moc poszerzania ludzkich doznań. Możliwe, że pozwala ona sięgnąć do głębszych nawet obszarów podświadomości, umożliwiając umysłowi wejście w obszary wolności od ograniczeń czasoprzestrzennych; jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe.

Nie bez znaczenia jest fakt, iż jeden za alkaloidów otrzymanych z tej rośliny nosi nazwę "telepatyna" i że hiszpańskojęzyczni naukowcy zmienili nazwę rośliny na "telepatina".

Ta zadziwiająca roślina oraz inne jej pokrewne, włącznie z tzw. pnączem zmarłych, używane są w obrzędach co najmniej 35 plemion, żyjących w dorzeczu górnej Amazonki i Orinoko. Do plemion tych należą także łowcy głów Jivaros, pozostałe plemiona znane są przeważnie tylko antropologom – są to zamieszkujący dżunglę dzicy, których tajemnice nawet po wielu wiekach częstych kontaktów z mieszkańcami Brazylii i innych krajów Ameryki Łacińskiej, są dalej równie nieznane tak w Ameryce Południowej, jak i w USA.

Wiadomo, że większość tych plemion używa yage i pokrewnych roślin do przygotowania głównego, rytualnego napoju, do którego jedne dodają taki, a drugie inny zestaw składników – uzyskując w zależności od skutku, o jaki im chodzi, napój trujący, leczniczy lub narkotyczny.

Główny napój jest naparem, który przygotowuje się, gotując kawałki łodyg i potłuczonej kory *Banisteriopsis caapi* przez cały dzień w dużym glinianym garnku. Od czasu do czasu dodaje się wody, aby uzupełnić tę, która wyparowała.

W efekcie otrzymuje się, przypominający syrop, brązowy lub czerwony napar. Uważa się, że jest to specyfik przeciwko malarii oraz że zapobiega on ewentualnym infekcjom. Zalecany jest również jako lekarstwo na chorobę beri-beri.

W celu wywołania zdolności "telepatycznych" dodaje się liście i młode pędy yage. Granguillhome twierdzi, że to właśnie one nadają napojowi dziwny niebieskawy lub zielonkawy odcień o prawie fluoryzującej intensywności.

Po wypiciu narkotyzujących napojów dzieją się dziwne rzeczy. Granguillhome pisze: "Jak się wydaje, oddziaływanie yage na Indian jest zupełnie inne niż w przypadku białych ludzi. Indianie opisują ze szczegółami sceny i wydarzenia, w których nigdy przedtem nie brali udziału, ani ich nigdy wcześniej nie widzieli. Jednemu z badaczy, którzy przyjechali w te strony, zupełnie prymitywny dzikus – proszę wybaczyć to określenie – który nigdy nie opuścił swej wioski, ani swego regionu, opisał z najdrobniejszymi szczegółami defiladę czy paradę wojskową, wspominając nie tylko o wspaniałych mundurach i koniach (zwierzę nie znane w tym rejonie dorzecza Amazonki), ale także o orderach na mundurach oficerów.

Badacz – botanik, Richard Spruce, jako pierwszy Europejczyk podał w 1851 roku opis tej rośliny wraz z listą jej zastosowań. Odkrył on stosowanie tej rośliny u Indian Tukanoan, zamieszkujących nad wodami rzeki Uaupes. Używali oni tej rośliny w celu przepowiadania przyszłości oraz wróżenia, co odbywało się na drodze doświadczania "przerażająco realistycznych, kolorowych halucynacji wizualnych".

Gdyby yage wywoływała halucynacje jedynie takiego rodzaju, jakie wywołuje haszysz, byłby to po prostu tylko kolejny niebezpieczny narkotyk, który lepiej pozostawić w spokoju. Ale wizje powstające pod wpływem haszyszu nie przekazują "telepatycznie" tego, co wydarzyło się gdzieś indziej.

Granguillhome pisze: "Przed siedmioma laty pułkownik Custadio Morales, intendent wojskowy z Calcedo w pobliżu Riohacha w Kolumbii, z ciekawości zażył 11 kropli yage, które dał mu doktor Creda Bayon... (chodzi tu prawdopodobnie o ekstrakt narkotyku) ...Następnego dnia, przerażony pułkownik oznajmił lekarzowi, że miał sen, iż jego ojciec mieszkający w Bogocie umarł, a jedna z jego sióstr jest ciężko chora. Kiedy wkrótce potem nadeszła poczta, w liście pułkownik otrzymał informację, która już wcześniej objawiła mu się podczas wizji".

Jedno ze źródeł podaje, że przy zastosowanu któregoś z wariantów napoju yage, odurzone osoby pozostają nieprzytomne przez trzy dni, zanim ponownie odzyskają świadomość, lecz może to być wynikiem mieszania napoju z innymi substancjami – np. tytoniem lub tropikalnym drzewem bieluniem – używanymi przez niektóre plemiona w celu urozmaicenia skutków działania.

W 1958 roku Villavicencio podał, że spokrewnione ze sobą rośliny, znane pod nazwą yage, używane są w należącej do Ekwadoru części Amazonki dla celów "czarów, czarnej magii, przepowiadania przyszłości i wróżenia". Ta wczesna wzmianka, wraz z innymi o podobnym charakterze, wskazuje, że jedna z tych roślin zawiera substancję, która zmusza jakoś umysł do zajmowania się sprawami przyszłości.

Upokarzająca jest świadomość, że "dzicy" posiadają wiedzę dotąd nie odkrytą przez wykształconych naukowców i badaczy; powinniśmy jednak pamiętać, że czarownicy i znachorzy rozumieli i wykorzystywali psychologię i psychiatrię, zanim jeszcze człowiek cywilizowany je odkrył.

Yage wydaje się ogromnie poszerzać możliwości, wrażliwość i doznania ludzkiego umysłu. Być może daje także szansę otwarcia drzwi dziś jeszcze głucho zamkniętych przed teologiem i badaczem zdolności parapsychicznych.

# DŹWIĘKOWA LEWITACJA

Co jakiś czas Amerykanie i Europejczycy przywożą ze Wschodu wiadomości o zdumiewających zjawiskach, których sekrety nie są chętnie wyjawiane. Z pewnością część tych zadziwiających doniesień należy włożyć między bajki ... Ale nie wszystkie.

Każdy kto oglądał film *Szokująca Azja*, nakręcony przez ekipę włoskich filmowców, musiał być wstrząśnięty widokiem płonącego mnicha buddyjskiego. Samospalenia nie są oczywiście domeną Wschodu, gdyż zdarzają się w krajach o różnej kulturze. Tym jednak, co w wypadku *Szokującej Azji* musiało zdumiewać, był fakt, iż palący się mnich był zupełnie nieczuły na potworny ból, spowodowany płonącą benzyną, którą został oblany. Palił się, nie wykonując najmniejszego ruchu, jak kawałek drewna, dopóki nie opadł z pozycji siedzącej do tyłu. Zostało po nim trochę zwęglonych szczątków.

Przed podpaleniem człowiek ten wprowadził się w jakiś rodzaj transu, który uniewrażliwił jego ciało na ból, dając oczywisty, zarejestrowany przez kamerę, dowód niesamowitego i niemożliwego do wyjaśnienia wpływu psychiki na ciało. Od tej pory nie należy się już wyśmiewać z opowieści o wpływie świadomości na ciało materialne; ale jaki jest tego mechanizm i na czym to wszystko polega – tego nie wie nikt.

Inna zagadka ze Wschodu dotyczy tzw. lewitacji, czyli uniesienia się w powietrze tylko przy pomocy siły woli. Realności tego zjawiska nikt chyba nie dowiódł w sposób nie budzący zastrzeżeń, tak że do tej pory nie wiadomo, co o tym sądzić; większość relacji o tego rodzaju wyczynach jest mocno naciągana lub niewiarygodna. W klasycznej lewitacji chodzi o uniesienie się w górę człowieka, jakby wbrew prawu przyciągania. Są także doniesienia o unoszeniu się martwych przedmiotów.

Jednym z najdziwniejszych przypadków tego rodzaju jest historia spisana przez nieżyjącego już Henry'ego Kjelssona. Na pierwszy rzut oka wydaje się tak nieprawdopodobna, że nie warta uwagi, jednakże H. Kjelsson był nie byle kim, bo jednym z ojców szwedzkiego przemysłu lotniczego – osobą o nienagannym wykształceniu techniczno-naukowym, a zarazem człowiekiem cieszącym się dobrą opinią. Nie ma więc podstaw, by uznać go za blagiera, bądź łatwowiernego laika.

Podczas pobytu w Tybecie H. Kjellson zetknął się, jak powiada, z najniezwyklejszym w świecie sposobem stawiania potężnych kamiennych murów na wysoko położonych progach skalnych. Odbywało się to w sposób następujący:

Mnisi buddyjscy gromadzili najpierw odpowiednią ilość bloków skalnych o rozmiarach około półtora metra kwadratowego, które wciągano na płaskowyż przy pomocy jaków. Następnie blok skalny umieszczano nad wykopaną w ziemi jamą o średnicy jednego metra i głębokości piętnastu centymetrów. Jama ta znajdowała się w odległości około 100 metrów od podnóża stromej ściany górskiej, na której szczycie miała powstać kamienna budowla. Sześćdziesiąt trzy metry z tyłu za jamą stanęło dziewiętnastu mnichów wyposażonych w instrumenty – różnej wielkości bębny i trąby. Byli oni tak ustawieni, że tworzyli jedną czwartą obwodu koła, czyli kąt między dwoma najbliższymi wynosił 5 stopni. Za muzykami stanęło z kolei 200 innych mnichów w taki sposób, że za każdym człowiekiem z instrumentem znajdowało się ośmiu lub dziesięciu innych.

W skład wyposażenia, oprócz bębnów średniej wielkości i mniejszych, wchodziło kilka olbrzymich bębnów o wadze około 150 kg, które umocowane były do specjalnej ramy, tak aby nie dotykały ziemi. Było też sześć trąb wycelowanych w znajdujący się nad jamą kamień – dęto w nie dwa razy na minutę. Waleniu w bębny i dźwiękom trąb towarzyszył śpiew mnichów.

Po upływie w przybliżeniu czterech minut od rozpoczęcia tego niezwykłego koncertu na bębny, trąby i ludzkie głosy stała się rzecz granicząca z cudem: spoczywający nad otworem kamień uniósł się, po czym poleciał po krzywej w górę, na szczyt ściany skalnej, przebywając w powietrzu odległość 400 m! W ciągu godziny owej akustycznej lewitacji, mnisi byli w stanie umieścić na szczycie od pięciu do sześciu głazów, z których część rozpadała się przy lądowaniu.

Oto tajemnica, która czeka na wyjaśnienie.

Na wytłumaczenie czeka także bliźniacza zagadka, znana z kręgu bliższego nam geograficznie i kulturowo: historia zburzenia murów Jerycha, które, jak twierdzi Biblia, miały się rozpaść od śpiewu, bicia w bębny i dźwięków trąb. Niektórzy naukowi interpretatorzy Biblii uważali to za zwykłą bujdę, podczas gdy inni proponowali pewne racjonalistyczne wyjaśnienie.

Przypuszczali, że dziwaczna procesja wyposażona w instrumenty muzyczne obchodziła mury Jerycha i dęła w trąby w celu odwrócenia uwagi obrońców od rzeczywistego zagrożenia, którym był podkop pod murami miasta. Śpiewy, dźwięki trąb i bębnów miały zagłuszyć hałas spowodowany drążeniem podziemnych tuneli. Kiedy najeźdźcy dostali się pod mury, stemplowali podkopy drewnianymi palami, po czym, gdy była już podstemplowana znaczna część murów, drewno podpalono i mury zwaliły się. Może i tak było, ale mogło też być całkiem inaczej.

W czasie II wojny światowej Niemcy skonstruowali potężne działo dźwiękowe, zwane Wirbelwind. Było to urządzenie wyrzucające wiązkę dźwiękową o takiej mocy, że, jak się mówi, mogło ono zburzyć murowaną ścianę z odległości pół kilometra.

W latach sześćdziesiątych naukowiec francuski Vladimir Gawreau z Centre National de la Recherche Scientifique skonstruował wraz ze swoimi współpracownikami coś w rodzaju lasera dźwiękowego, emitującego spójną wiązkę fal akustycznych o niszczącej sile. Szczególnie interesowały go tzw. infradźwięki, niesłyszalne przez ludzkie ucho, ale będące w stanie spowodować rozpad rozmaitych ciał przez wprowadzenia w drgania cząsteczek, z których są zbudowane. Eksperymenty z groźnymi infradźwiękami przerwano na skutek protestów pracowników sąsiednich laboratoriów, którzy na własnej skórze doświadczyli efektów badań Gawreau.

Infradźwięki są falami akustycznymi o niskiej częstotliwości – poniżej 20 Hz. W przedziale między 20 Hz a 20 000 Hz mieszczą się fale dźwiękowe rejestrowane przez ucho ludzkie. Powyżej 20 000 Hz mieszczą się fale akustyczne o wysokiej częstotliwości zwane ultradźwiękami.

Także ultradźwięki są w stanie doprowadzić do rozsypania się, na skutek wewnętrznych drgań, rozmaitych twardych przedmiotów. Ta ich właściwość jest już od pewnego czasu wykorzystywana w praktyce. Kamienie nerkowe i żółciowe, będące przyczyną bardzo silnych bólów, są w ostatnich latach coraz powszechniej kruszone przy pomocy ultradźwięków, bez konieczności przeprowadzania zabiegu chirurgicznego.

Czy również mury Jerycha rozpadły się na skutek emisji wiązki fal infradźwiękowych lub ultradźwiękowych produkowanych przez procesję obchodzącą mury miasta? Może wydawać się to nieprzekonujące, ale pamiętajmy – a to już nie ulega wątpliwości – że ludzkie struny głosowe są w stanie wydać dźwięk, na skutek którego pękają szklanki. Zresztą, być może, sprawa nie polega jedynie na wytworzeniu silnych fal dźwiękowych, lecz o takiej częstotliwości, która wytwarza w ciałach stałych wewnętrzne drgania – rezononans powodujący ich rozpad.

Coś "z tych rzeczy" może leżeć u podstaw zadziwiającej sztuki mnichów buddyjskich, których wyczyny transportowe obserwował Szwed H. Kjellson Towarzysz Kjellsona nakręcił podobno film z tej operacji, ale nie wiadomo, czy ów film jeszcze istnieje, a jeśli tak, to kto jest w jego posiadaniu? Czy ujrzymy kiedyś na własne oczy, jak wielkie głazy wzlatują w powietrze pod wpływem bicia w bębny i śpiewu mnichów?

# Tajemnicze zniknięcia

# WYMARŁA WIOSKA

Było coś niezrozumiałego i zadziwiającego w fakcie, że mała eskimoska wioska, u wrót której stał traper Joe Labelle, wydawała się całkowicie wyludniona. Lodowaty wiatr wiejący znad jeziora Anjikuni trzepotał skórą wiszącą w drzwiach jednej z chat. Kilka zniszczonych kajaków było porozrzucanych na brzegu. Nie szczekał żaden pies, ani jeden głos nie brzmiał w tej niesamowitej ciszy. Joe zadał sobie oczywiste w takiej sytuacji pytanie: gdzie są ludzie?

Na to pytanie, zadane owego surowego, listopadowego dnia 1930 r., nikt do dziś nie odpowiedział...

Przez wiele lat Joe przyjaźnił się z mieszkańcami tej małej wioski eskimoskiej leżącej jakieś 80 km na północ od siedziby Policji Konnej w Churchill. Tego fatalnego dnia Joe zboczył wiele kilometrów ze swego szlaku, aby spędzić kilka godzin ze swymi przyjaciółmi, ale został przywitany przez złowieszczą, głuchą ciszę.

Zgodnie z jego sprawozdaniem dla policji w Northwest, zatrzymał się on na skraju wioski i wykrzyknął pozdrowienie. Niestety, nie usłyszał żadnej odpowiedzi, co było rzeczą zupełnie niepodobną do tej tak bardzo przyjaznej społeczności. Doszedłszy do jednej z chat, odsłonił w drzwiach zasłonę ze skór karibu i ponownie zawołał. Znów cisza. To samo spotkało go we wszystkich namiotach.

Joe pozostał w wiosce jeszcze przez godzinę, badając wszystko w nadziei, że może trafi na ślad, który pomógłby mu odpowiedzieć na pytanie, co stało się z ludnością wioski. Znalazł naczynia pełne jedzenia wiszące wciąż nad paleniskami, jakby w oczekiwaniu na powrót gospodyni, która zostawiła je tylko na chwilę. W jednej z chat leżała wyprawka z foczej skóry dla malutkiego dziecka, z wbitą igłą, co świadczyło, że matka raptownie porzuciła pracę.

Na plaży natrafił na szczątki kajaków, włącznie z tym, który należał do wodza wioski. Te kruche łodzie zostały rozdarte i porozrzucane przez fale, co było dowodem, że nikt ich przez długi czas nie używał.

Zarówno Joe, jak i policjanci, którzy wszczęli poszukiwania, znajdowali w czasie oględzin pustych chat i namiotów najbardziej zadziwiające świadectwa. W każdym z domostw stały wsparte obok drzwi karabiny Eskimosów, czekając na swoich właścicieli, którzy nigdy po nie nie mieli wrócić. Na dalekiej północy karabin jest czymś więcej niż rzeczą, jest swego rodzaju polisą ubezpieczeniową na życie. Żaden Eskimos przy zdrowych zmysłach nie wyjdzie na długą wędrówką bez swego karabinu – jednak w tym wypadku karabiny zostały, a Eskimosi odeszli.

Nasuwa się następne pytanie: a co z psami? – z ogromnymi, silnymi bestiami, które były prawie tak samo ważne w tym surowym klimacie jak karabiny.

Jakieś sto metrów od obozu Joe i policjanci znaleźli siedem psów. Były przywiązane do drzew i wszystkie padły z głodu, co zostało później potwierdzone przez kanadyjskiego patologa.

Jednak najbardziej zdumiewające było znalezisko obok obozu, w pobliżu padłych psów. W owym miejscu Eskimosi zwykli chować, pod kamiennym kopcem, zmarłych członków swego plemienia. Grób był rozkopany, ciała usunięte, a kamienie starannie ułożone w dwie kupki. Rabowanie grobów jest rzeczą niedopuszczalną w kulturze eskimoskiej. Gdyby zaś sprawcą były jakieś zwierzęta, nie mogłyby przecież poukładać kamieni.

Policja wezwała ekspertów, którzy spędzili całe dwa tygodnie na badaniu najdrobniejszego nawet szczegółu, szukając czegokolwiek, co mogłoby rzucić światło na tę zagadkową sprawę. Doszli do wniosku, że Eskimosów nie było w wiosce od dwóch miesięcy, licząc od dnia, gdy przybył do niej traper Labelle. Ustalenie to zostało dokonane na podstawie gatunku jagód, które znaleziono w niektórych naczyniach kuchennych.

Wszystko wskazywało na to, iż wioska, licząca około trzydziestu mieszkańców, prowadząca normalne, spokojne życie, nagle z jakiegoś dziwnego, niewytłumaczalnego powodu w pośpiechu została opuszczona przez ludzi, z których nikt już nigdy nie powrócił. Dla nieznanej przyczyny mieszkańcy wsi – mężczyźni, kobiety i dzieci – porzucili ją ze swej własnej, albo też i nie, woli. Odeszli, tak jak stali i w takim pośpiechu, że zostawili gotujące się jedzenie, karabiny, psy, ubrania... Doświadczeni tropiciele nie znaleźli żadnego śladu, który świadczyłby o ich odejściu i pokazał kierunek, w jakim poszli przez tundrę. Porzucone na brzegu łodzie były niezbitym dowodem, że nie wypłynęli oni na jezioro, a splądrowane groby jeszcze jednym fragmentem nie wyjaśnionej zagadki.

Miesiące cierpliwych i prowadzonych na szeroką skalę poszukiwań nie przyniosły niczego, co pomogłoby wyjaśnić los mieszkańców wsi Anjikuni. Policja konna umieściła akta tej sprawy w kartotece z nagłówkiem: "NIE ROZWIĄZANE..." i tak już zostało.

# ZAGINIONE ZWŁOKI

W Muzeum Hugonotów w Cape Town, w Afryce Południowej, przechowywany jest nagrobek z imieniem młodego człowieka, który przez śmiercią ostrzegł władze, że mogą pozbawić go życia, ale nie mogą zatrzymać jego ciała w grobie. Okazało się, że miał rację.

Kiedy ksiądz Dupre wszedł do celi prowincjonalnego więzienia w Cape Town, skazany wstał. Dwóch żołnierzy trzymało straż przy drzwiach. Więzień powoli wyciągnął rękę i wyjął Biblię z dłoni księdza.

– To jest moja księga i moje życie – powiedział. – Żyłem według niej i przysięgam na Boga, że nie zabiłem Pierra Villiersa. Idę na śmierć niewinny.

Ksiądz położył ręce na ramionach chłopca.

– Wierzę ci, mój synu – rzekł – ale sąd zdecydował, że zostaniesz powieszony dziś rano.

Chwilę później naczelnik więzienia wszedł do celi i odczytał dokument, który stwierdzał, że John Gebhard został skazany na śmierć przez powieszenie za zabicie Pierra Villiersa, parobka.

– Czy skazany ma cokolwiek do powiedzenia? – Tak – odpowiedział więzień. – Jestem niewinny.

W jasny poranek listopadowy 1856 roku John Gebhard przeszedł krótką drogę do szubienicy pewnym krokiem. Stał bez wzruszenia przy kołyszącej się pętli, która wkrótce miała odebrać mu życie. Kiedy ksiądz Dupre zaczął czytać zwyczajowe kazanie pogrzebowe, Gebhard zwrócił się do niego i powiedział:

– Niech ksiądz nie marnuje czasu. Oni mogą zniszczyć moje ciało, ale nie mogą zabić duszy.

W tej chwili kat założył mu pętlę na głowę i zaciągnął węzeł za uchem. Gebhardowi zostały sekundy życia. Sam założył czarny kaptur na twarz i rzekł:

– Żaden grób mnie nie przyjmie! Słyszycie? Żaden grób mnie nie przyjmie! Nie uda wam się mnie pochować, bo umieram niewinny...

Rozległ się trzask zapadni i John Gebhard przeniósł się do wieczności.

Jakieś dwie godziny później, po obowiązkowych badaniach lekarskich i wystawieniu aktu zgonu, jak nakazuje prawo, ciało umieszczono w zwykłej, czarnej trumnie. Z powodu rozgłosu, jaki zyskała ta sprawa, władze więzienne kazały przybić wieko i zapieczętować je, zanim włożono trumnę na wóz, który miał ją zawieźć na cmentarz na stoku góry Paarl, za więzieniem.

Strażnicy złożyli trumnę w grobie głębokim na 2,5 m i przykryli stosem kamieni. Zgodnie z instrukcją naczelnika, zbrojna straż stała przy grobie dzień i noc, przez dwa miesiące, żeby udaremnić ewentualną próbę wykradzenia ciała.

W tym czasie zaszły wypadki, które całkowicie zmieniły pogląd na sprawę winy Johna Gebharda. Na farmie, gdzie oskarżono go o morderstwo, właściciel zauważył portfel Villiersa w rękach innego parobka, Petera Lorenza. Kiedy Lorenz próbował uciec, zatrzymała go policja. W jego kufrze znaleziono pierścień i zegarek nieszczęsnego Villiersa. Lorenz przyznał się, że to on zabił Villiersa, a że był głównym świadkiem oskarżenia, był winnym również śmierci Gebharda.

Sąd popełnił straszną pomyłkę. John Gebhard poszedł na śmierć za zbrodnię, której nie popełnił. Gubernator Prowincji Dobrej Nadziei rozkazał, by imię Gebharda oczyszczono z niesławy, a jego matce wypłacono tysiące funtów odszkodowania. Miała również otrzymać rentę w wysokości stu ośmiu funtów rocznie, co zapewniło jej utrzymanie. Gubernator rozkazał również, żeby ciało Johna Gebharda ekshumowano i pochowano w poświęconej ziemi na koszt rządu. Pani Gebhard towarzyszyła oficjalnemu orszakowi, który przybył na zbocze góry Paarl, na miejsce, gdzie dwa miesiące wcześniej pochowano jej syna. Stała tam, kiedy żołnierze usuwali kamienie oraz ziemię i w końcu wydobyli trumnę na powierzchnię. Naczelnik więzienia sprawdził pieczęcie. Strażnicy podważyli wieko. Trumna była pusta.

Przeprowadzono dochodzenie, które wykazało, że grób pozostawał pod strażą przez cały czas od chwili pogrzebu. Przeszukano dziesiątki sąsiednich grobów – bez rezultatu. Ciała Johna Gebharda nie znaleziono.

Niemal sto lat później, w sierpniu 1956 roku, kilka osób urządziło piknik na zboczu góry Paarl. Znaleźli tam przewróconą ciężką płytę z czarnego marmuru. Napis na niej głosił: "Poświęcone pamięci Johna Gebharda. Błogosławieni, którzy spoczywają w Panu".

Płyta ta przechowywana jest teraz w muzeum w Cape Town i przypomina o słowach Johna Gebharda, że żaden grób go nie przyjmie.

# ZAGINIONE ZAŁOGI

W niebezpiecznym 1942 roku zawsze istniała ta ponura możliwość, że łódź podwodna wroga wślizgnie się do portu San Francisco. Typowy patrol morski posługiwał się sterowcami wywiadowczymi marynarki wojennej – powolnymi, niezgrabnymi worami wypełnionymi gazem, mieszczącymi dwuosobową załogę. Tamtego pamiętnego ranka L-8 uniósł się przy dobrej pogodzie z bazy sterowców na Treasure Island, aby według ustalonego porządku sprawdzić, czy nikt niepożądany nie zbliża się do zatoki.

Na pokładzie było dwóch doświadczonych ludzi – porucznik Cody i chorąży Adams. Wyruszyli parę minut po szóstej. Za dziesięć ósma porucznik Cody podał przez radio do bazy, że zauważył na wodzie sporą plamę ropy, co znaczyło, iż prawdopodobnie wroga łódź podwodna czai się w kanale. Cody poinformował, że sprowadza sterowiec na wysokość trzystu metrów, aby dokładniej zbadać sytuację.

Gdy łowiący w pobliżu ludzie na dwóch łodziach rybackich spostrzegli sterowiec krążący na tak małej wysokości, zdali sobie sprawę, że szuka on łodzi podwodnej i czym prędzej odpłynęli na bezpieczną odległość na wypadek, gdyby zaczęło się rzucanie bomb głębinowych. Dwie łodzie patrolowe również trzymały się trochę z boku, oczekując rezultatów zwiadu.

Ale zamiast rzucać bomby, sterowiec nagle wzbił się gwałtownie w powietrze i zniknął w chmurach.

Dwie godziny później dwóch wędkarzy łowiących niedaleko Artyleryjskiej Stacji Patrolowej Wybrzeża zobaczyło, jak L-8 spada w ich kierunku. Gdy gondola dotknęła piasku, wędkarze pochwycili liny, by ją przytrzymać. Zanim sterowiec wyrwał im się, zdążyli zauważyć, że drzwi gondoli stały otworem i że nikogo nie było na pokładzie. L-8 ciągnął wędkarzy jeszcze ze sto metrów wzdłuż plaży, zanim wyrwał im się z rąk.

Podskakując jak piłka, sterowiec uderzył w pewnej chwili o nadbrzeżną skałę i jedna z bomb głębinowych, ważąca 130 kg, obluzowała się i spadła, wbijając się głęboko w ziemię. Tak odciążony sterowiec wzniósł się i poleciał dalej, aby po pół godzinie wylądować w centrum Daly City – przedmieścia San Francisco.

Ekipa ratownicza zdemontowała statek i zabrała go do bazy na dokładne oględziny, które miały wyjaśnić zagadkę szalonego sterowca oraz zaginionej załogi.

Szczegółowa kontrola wykazała, że w gondoli wszystko było w porządku. Zarówno gumowa tratwa ratunkowa, jak i spadochrony, zwinięte i nienaruszone, leżały na swoich miejscach. Brakowało dwóch jasno żółtych kamizelek ratunkowych, ale to było zrozumiałe. Noszenie ich podczas lotów nad wodą było obowiązkowe, zniknęły więc razem z Cody'm i Adamsem, gdziekolwiek się teraz znajdowali.

Pod pokładem gondoli nie było ani kropli wody, dlatego też eksperci z marynarki wnioskowali, iż sterowiec nie dotknął powierzchni oceanu nawet na krótką chwilę. Czyżby porucznik Cody i jego pomocnik wypadli ze sterowca, gdy ten krążył trzysta metrów nad plamą ropy? Czyżby nagła utrata ciężaru spowodowała, że sterowiec gwałtownie wystrzelił w górę?

Chociaż teoretycznie takie wyjaśnienie było możliwe, jednak trzeba je było odrzucić, gdyż załogi dwóch łodzi patrolowych, cumujących kilkaset metrów dalej, obserwowały każdy ruch L-8 i nie zauważyły żadnych ludzi w jaskrawych kamizelkach ratunkowych wpadających do morza. Również nikt z łodzi rybackich nic takiego nie widział.

Upadek z wysokości trzystu metrów do wody byłby śmiertelny, gdyby rzeczywiście się zdarzył. Podążając tym tokiem rozumowania, trzeba jednakże pamiętać, że siła rozpędu zdarłaby przynajmniej jedną z dwu kamizelek. Nikt jednak nie widział, żeby coś spadło, nikt nie widział rozbryzgu wody, a pomimo intensywnego przeszukiwania morza i powietrza nie odnaleziono ani kamizelek, ani ciał zaginionych oficerów. Przypadek porucznika Cody i chorążego Adamsa był zagadką w 1942 roku i pozostał nią do dziś.

Zaginione załogi to bardzo stara historia z morskich annałów.Taką klasyczną tajemnicą sprzed stu lat jest przypadek statku "Seabird" żeglującego z Hondurasu do Newport z ładunkiem kawy, drogocennego twardego drewna, sośniny i drzewa farbiarskiego.

Po czteromiesięcznej podróży "Seabird" pojawił się pewnego pięknego poranka 1850 roku, płynąc pod pełnymi żaglami w kierunku rafy przy Easton's Beach, niedaleko Newport, na Rhode Island. Tłum na plaży bezradnie patrzył, jak statek nieuchronnie zmierza ku zagładzie . Ale o dziwo, wielka fala wyniosła go ze strefy zagrożenia i nietkniętego osadziła przy brzegu.

Kiedy żaden oficer ani człowiek załogi nie pojawił się na statku, obserwatorzy dobrnęli do niego i weszli na pokład. Jedyną żywą istotą, jaką znaleźli, był pies, kundel. Kapitan John Durham i jego załoga zniknęli. W czajniku gotowała się kawa. Przyrządy leżały na swoich miejscach. Zapis w dzienniku okrętowym mówił, że statek minął Rafę Branton zaledwie niecałe 2,5 mili od wybrzeża Newport – na tym odcinku kapitan i załoga zniknęli bez śladu.

Po kilku dniach, gdy towar był już rozładowany, "Seabird" wyśliznął się nocą z portu – może po to, by na zawsze dołączyć do swego kapitana i załogi, ponieważ nigdy więcej już ich nie widziano.

# NIKT NIE POWRÓCIŁ

Co się stało ze statkiem parowym, który w biały dzień zniknął za zakrętem rzeki i dosłownie rozpłynął się w powietrzu na stosunkowo krótkim odcinku uczęszczanego szlaku wodnego? Albo z armią, która maszerowała w dół drogi i zniknęła bez śladu, jakby zapadła się pod ziemię...

Ostatni robotnik portowy schodził długim pomostem ze statku na brzeg rzeki... ładunek bawełny i melasy był już załadowany. Dwa długie gwizdy potężnej syreny dla ostrzeżenia małych łodzi znajdujących się w pobliżu i parowiec "Iron Mountain", buchając ogniem i dymem, wypłynął z Vicksburga w jasny czerwony poranek 1872 roku. W parę chwil później zniknął za zakrętem rzeki, ciągnąc za sobą kilka barek; miał płynąć do Louisville z czterystoma belami bawełny, potem do Cincinnati, a na końcu do Pittsburga. Prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadomo, co się stało ze statkiem, lecz jakikolwiek spotkał go los, był on szybki i, miejmy nadzieję... miłosierny.

Pierwsze podejrzenie, że stało się coś złego, nasunęło się w kilka godzin później, gdy inny parowiec, "Iroquois Chief", był zmuszony wzburzyć wody rzeki, płynąc pełną mocą silników, aby uciec z kursu znoszonych prądem barek. Takie rzeczy zdarzały się czasami, gdy zerwały się liny holownicze, tak więc "Iroquois Chief" zastosował się do rutynowego w takiej sytuacji obowiązku niesienia pomocy... dogonił barki, wyprzedził je – i pozostawał w gotowości, oczekując powrotu "Iron Mountain".

Podczas oczekiwania, załoga "Iroquois Chief" zauważyła dziwną rzecz. Lina holownicza barek nie zerwała się – była przecięta – ...środek, który podejmowany jest tylko wówczas, gdy statek parowy walczy o przetrwanie.

Lecz "Iron Mountain" nigdy już więcej nie widziano. Gdyby wybuchł pożar, musiałby widzieć go inny, przepływający w pobliżu statek. Gdyby natrafił na karpę i zatonął, beczki melasy i bale bawełny zgromadzone na pokładzie zaśmieciłyby rzekę na przestrzeni wielu mil; a gdyby kocioł parowy rozerwał wszystko na kawałki – dowody biłyby w oczy.

Zamiast tego, nie było nic.

"Iron Mountain", statek rzeczny o długości pięćdziesiąt pięć metrów i szerokości jedenaście metrów, zabrał swój ładunek, pasażerów oraz członków załogi i zawiózł wszystko w nieznane.

Rankiem, 14 grudnia 1928 roku, duński statek szkolny "Kopenhaven" przygotowywał się do opuszczenia portu w Montevideo. Oczekiwał tylko na przybycie pięćdziesięciu kadetów, którzy brali udział w uroczystości w konsulacie duńskim. Miał to być ich ostatni rejs na statku szkolnym. Po powrocie do Danii mieli się zaciągnąć na statki jako marynarze w pełni zdolni do pełnienia służby. Przyszłość rysowała się chłopcom w jasnych kolorach; na szczęście prawda była przed nimi litościwie ukryta – mieli bowiem przed sobą tylko kilka godzin.

Krótko przed południem, kadeci kołysząc się weszli na pokład "Kopenhaven", śpiewając podczas marszu. Statek powoli wypłynął z portu, omijając kilka małych statków rybackich... i zniknął. Statki, które wpływając do portu powinny go widzieć – nie widziały ani jego, ani najmniejszego po nim śladu. "Kopenhaven", podobnie jak "Iron Mountain", popłynął w nicość.

Historia zna także kilka niepojętych przypadków zniknięcia całych armii, jak choćby wojska liczącego cztery tysiące wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy, którzy obozowali przez jedną noc nad małym strumieniem w Pirenejach podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej. Następnego ranka mieli spotkanie z przeznaczeniem. Zwinęli obóz, uformowali szeregi i pomaszerowali w kierunku wzgórza, aby zniknąć z oczu współtowarzyszy – na zawsze i bez śladu. Cztery tysiące osób zniknęło, jakby zapadło się pod ziemię albo poleciało w kosmos...

Podzielili los sześciuset pięćdziesięciu żołnierzy francuskich wojsk kolonialnych, maszerujących w 1858 roku w kierunku Sajgonu, w Indochinach. Z trudem posuwając się szosą biegnącą przez szczere pole, w odległości zaledwie dwudziestu pięciu kilometrów od miasta, całkowicie zniknęli z powierzchni ziemi.

Współczesne, oficjalne dokumenty wojskowe notują także suche szczegóły podobnej tajemnicy, równie trudnej do wyjaśnienia. Japończycy splądrowali Nankin 10 grudnia 1939 roku. Chiny Środkowe były olbrzymim krajem, ale całkowicie bezradnym wobec siejących spustoszenie agresorów. Nakazem chwili było powstrzymanie Japończyków tak długo, jak tylko możliwe, ponieważ dla oblężonych sił chińskich liczyła się każda godzina. Aby zapewnić skuteczną obronę, pułkownik Li Fu Sien rozmieścił swoje wojsko na pagórkowatym terenie na południe od Nankinu.

W dwie godziny później adiutant zameldował mu, że żołnierze nie odpowiadają na wezwania radiowe. Ich karabiny znaleziono złożone przy małych ogniskach, ale samych żołnierzy nigdzie nie było. Niemożliwe, żeby zdezerterowali w szczerym polu i nikt ich nie widział – ba, nikt nie widział nawet jednego żołnierza. W dokumentach japońskich nie ma najmniejszej sugestii lub aluzji, by wzięto ich do niewoli. Od owego fatalnego dnia, żadnego spośród trzech tysięcy żołnierzy nikt nigdy już nie widział. Od żadnego z nich rodziny nigdy nie otrzymały żadnych wieści!

# TAJEMNICA ZNIKNIĘCIA DAVIDA LANGA

Czy to możliwe, żeby człowiek dosłownie rozpłynął się w powietrzu na oczach świadków? Zanim ktokolwiek zaprzeczy, zapoznajmy się z przypadkiem Davida Langa.

Stało się to dosłownie w mgnieniu oka, w jasne, słoneczne popołudnie, 23 września 1880 roku na farmie Davida Langa, kilka kilometrów od Gallatin w Tennessee.

Los umiejscowił scenę tej tragicznej tajemnicy w całkiem przyjemnej okolicy. Dom Langa zbudowany był z cegły i niemal całkowicie obrośnięty winoroślą. Wokół rozciągało się czterdziestoakrowe, wyskubane przez bydło pastwisko, wysuszone przez długie i wciąż jeszcze trwające suche lato.

Tego szczególnego popołudnia dwoje dzieci Langa, ośmiolatek George i jedenastoletnia Sarah, bawiło się nowym drewnianym wózkiem z konikami, zabawką, którą ojciec przywiózł im tego ranka z Nashville. W momencie, gdy rodzice wyszli przed dom, dzieciaki bawiły się na frontowym podwórku.

Pani Lang powiedziała do męża: "Wróć szybko, Dave. Chciałabym, abyś zawiózł mnie do miasta, zanim zamkną sklepy". Pan Lang był już przy płocie na drodze prowadzonej przez pastwisko – chciał rzucić okiem na czwórkę swoich koni, z których był dumny. Zatrzymał się, żeby zerknąć na kieszonkowy zegarek i pomachawszy do żony, odpowiedział: "Będę z powrotem za kilka minut".

Ale David Lang nigdy nie wrócił; tylko 30 sekund dzieliło go od spotkania z przeznaczeniem. – czymkolwiek ono było!

Dzieci zauważyły wóz zbliżający się w stronę domu i zaprzestały zabawy, aby się mu przyjrzeć; poznały bryczkę sędziego Pecka, który zawsze miał dla nich jakieś prezenty. Pani Lang i David także rozpoznali wóz, gdyż pomachali sędziemu.

David Lang nie zrobił więcej niż kilkanaście kroków, gdy nagle... zniknął na oczach wszystkich obecnych. Pani Lang krzyknęła. Dzieci stanęły oniemiałe. Odruchowo wszyscy pobiegli w stronę miejsca, gdzie kilka sekund temu widzieli Langa. Sędzia August Peck ze swoim szwagrem wyskoczyli z bryczki i pobiegli przez pole. Cała piątka dotarła do miejsca zniknięcia Langa prawie jednocześnie. Nie było ani jednego drzewa, krzewu czy wzniesienia, które przysłaniałyby pole widzenia. Nie było też żadnego zagłębienia, które mogłoby tłumaczyć zniknięcie Davida Langa.

Pani Lang zaczęła histeryzować i w spazmach została odprowadzona do domu. Zaalarmowano sąsiadów, bijąc w olbrzymi dzwon, który stał na bocznym dziedzińcu.

Dorośli z maniackim uporem w kółko przeszukiwali teren, choć było oczywiste, iż Dawid Lang, gdyby tam był, w żaden sposób nie mógłby pozostać nie zauważony. Przed zapadnięciem zmroku dziesiątki ludzi były na miejscu zdarzenia – wielu z latarniami. Przeszukano każdy centymetr terenu, na którym po raz ostatni, kilka godzin wcześniej, widziano Langa. Ludzie chodzili po twardej, suchej ziemi w nadziei znalezienia jakiejś dziury czy zagłębienia, w które David mógłby wpaść – ale nic nie znaleźli.

Davida Langa nie było. Zniknął na oczach swojej żony, dwojga dzieci i dwóch mężczyzn w bryczce. W jednej sekundzie był tam, idąc przez oświetlone słońcem pole... a w następnej chwili po prostu go nie było.

Przez wiele tygodni władze musiały utrzymywać ciekawskich z dala od farmy. Pani Lang była przykuta do łóżka z powodu szoku, jaki przeżyła. Cała służba, z wyjątkiem starego kucharza rodziny – Sukie, odeszła.

Późniejsze przesłuchania świadków ujawniły, że wszyscy widzieli to samo, w tym samym czasie i tym samym miejscu. Okręgowy inspektor zbadał teren, na którym zniknął Lang i ustalił, że stało się to na grubym wapiennym podłożu, bez żadnych zagłębień, czy dziur. Nigdy nie odbył się pogrzeb Davida Langa, ani żadne ceremonie żałobne. Jego żona, która żyła jeszcze przez wiele lat, miała wciąż nadzieję, że kiedyś, w jakiś sposób, David Lang jednak powróci.

Ostatecznie pani Lang pozwoliła sędziemu Peckowi dzierżawić całą farmę z wyjątkiem krytycznego miejsca przed domem. Ten kawałek pastwiska pozostał nienaruszony do końca jej życia.

Z czasem podniecenie, jakie towarzyszyło nadzwyczajnemu zniknięciu Dawida Langa, przygasło. Jednakże stało się coś jeszcze.

Było równie dziwne, jak samo zniknięcie, a przytrafiło się dzieciom Langa pewnego cichego i ciepłego wieczoru kwietniowego 1881 roku , około siedmiu miesięcy po zniknięciu ojca.

W miejscu, w którym ich ojciec był widziany po raz ostatni, dzieciaki zauważyły koło wypalonej słońcem trawy o średnicy mniej więcej 5 m. Tego wieczora, gdy stali obok owego miejsca, jedenastoletnia Sarah zawołała ojca; ku ich zdumieniu rozległ się jego głos wołający o pomoc. Głos wołał i wołał... aż zamarł gdzieś w oddali – na zawsze.

# Tajemnicze obiekty

# ZAGADKA KAMIENNYCH KUL

W wielu miejscach Ameryki Środkowej leżą na ziemi kamienne kule. Ich rozmiary rozciągają się od kilku centymetrów do około 3,4 metra średnicy, zaś waga dochodzi do kilkunastu ton. Niektóre, nawet największe, sa prawie idealnie okrągłe - z dokładnością do 5 mm - i patrząc na nie, trudno oprzeć się wrażeniu, że musiały być zrobione przez człowieka.

Kto je wykonał, kiedy i w jakim celu ?

W 1945 r. w meksykańskim stanie Veracruz, na terenie liczących około 3000 tysięcy lat ruin olmeckich, dr Matthew W.Stirling odkrył liczne bazaltowe kule o średnicy około 80 cm. Później, w pobliżu Palmar Sur (Costa Rica) znalazł znacznie większe, tym razem granitowe kule, o średnicy przekraczającej wzrost dorosłego mężczyzny. Nie leżały bezładnie porozrzucane, lecz były pogrupowane w rzędy i tworzyły konfiguracje najwyraźniej celowe.

Po dwudziestu latach, w roku 1967, dr M.Stirling otrzymał telefon, który sprawił, że tajemnica kamiennych kul zaczęła się rozjaśniać - choć nie wyjaśniła się do końca. Dzwonił inżynier górnictwa, Ernest Gordon, powiadamiając, że natknął się w Meksyku na kilka olbrzymich kul o rozmiarach od 1,8 do 2,5 m średnicy. Spoczywały na zboczu góry w stanie Jalisco, w środkowo-zachodniej części Meksyku, w pobliżu starej kopalni srebra zwanej Piedra Bola. Wiele lat temu inżynier pracował w owej kopalni jako nadzorca i już wówczas widział jedną z takich kul. Znajdowała się u wejścia do kopalni. Zaciekawiony był jej pochodzeniem, jednakże nie mógł przeprowadzić żadnych badań z powodu kręcących się w pobliżu bandytów. Kiedy po latach ponownie znalazł się w kopalni, odkrył cztery nowe kule.

Dr M.Stirling i E.Gordon, wraz z żonami, zorganizowali ekspedycję badawczą, do której przyłączyła się - nomen omen - dr Doris Stone (słowo "Stone" oznacza kamień), autorka pierwszego naukowego artykułu poświęconego zagadce kamiennych kul z Costa Rica.

Po przybyciu na miejsce, uczestnicy wyprawy wspięli się po zboczu i w pobliżu wierzchołka ujrzeli wspaniałe, choć naruszone zębem czasu, olbrzymie kamienne sfery. Były częściowo zasypane, więc zatrudniono miejscowych robotników, trzech braci Lopezów, którzy zajęli się ich odkopywaniem i oczyszczaniem. Wkrótce znaleziono w sąsiedztwie sześć kolejnych kul, a następnego dnia jeszcze większą ich liczbę - tym razem jedenaście.Wszystkie dwadzieścia dwie kule nie leżały przypadkowo porozrzucane, lecz tworzyły foremny prostokąt. Ktoś zadał sobie kiedyś wiele trudu, żeby je tak rozmieścić. Ale kto to był - nikt tego nie wiedział.

Trzeciego dnia jeden z braci, Jesus Lopez, rzucił od niechcenia uwagę, która zaelektryzowała badaczy. "W Aqua Blanca - powiedział - zaraz za szczytem wzgórza jest mnóstwo takich kul leżących na ziemi".

Naukowcy oniemieli. W gorączkowym pośpiechu wynajęto konie i wszyscy ruszyli na poszukiwanie nowych kul. Po przybyciu na miejsce stanęli jak wryci, urzeczeni niezwykłym widokiem.

Jesus Lopez mówił prawdę. Ale to nie wszystko. To bowiem, co zobaczyli, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Początkowo ujrzeli tylko jedną. Zaraz za nią leżała jednak następna. A dalej, w wąwozie, leżały setki dalszych. Wypełniały całą dolinę, tworząc gigantyczną aleję kamiennych kul!

Większość miała 1,8 m średnicy. Wszystko byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby nie ta potworna ich ilość. W tej sytuacji badacze zaczęli wątpić w ich sztuczne pochodzenie... A jeżeli były tworem przyrody, to w jaki sposób powstały? I co zrobić z ich granitowymi siostrami, które w żadnym wypadku nie sprawiały wrażenia tworu natury?

Stanąwszy przed zagadką, z którą nie mogli sobie poradzić, archeolodzy wezwali na pomoc geologów: dr. Williama Melsona ze Smithsonian Institution i dr. Roberta Smitha z U.S. Geological Survey.

W marcu 1968 roku do Aqua Blanca wyruszyła nowa wyprawa. Przeprowadzono liczne badania w "Alei kul" i zagadka została wyjaśniona.

Wielkie kamienne kule z Aqua Blanca powstały 40 milionów lat temu, w trzeciorzędzie, na skutek krystalizacji wyrzuconego w powietrze tufu wulkanicznego. Twórcą kamiennych kul są prehistoryczne wulkany !

Ale co z granitowymi kulami z Costa Rica ? Czy i one są zaskakującym tworem sił przyrody ?

Eksperci ponownie wzięli się do pracy. Tym razem diagnoza była całkowicie odmienna : kule granitowe zostały zrobione ręką człowieka ! Doktorzy W. Melson i Robert Smith nie mieli już wątpliwości : "W sposób naturalny skała granitowa w żadnych warunkach nie utworzy formy idealnie kulistej".

A więc jednak Aztekowie, Olmekowie lub inni dawni mieszkańcy Ameryki Środkowej przyłożyli do tego swoją rękę.

Tajemnica kamiennych kul została tylko częściowo wyjaśniona. Są dwa, różniące się pochodzeniem, rodzaje kul - fakt, który do pewnego stopnia zbijał z tropu dotychczasowych badaczy. Jedne są tworami naturalnymi powstałymi przed milionami lat na skutek wybuchów czynnych w owym czasie wulkanów, drugie są sztuczne, gdyż zostały obrobione ręką człowieka.

Aztekowie wierzyli, że ciała niebieskie są piłkami, w które grają bogowie. Może chcieli ich sobie zjednać, proponując im grę na Ziemi, na przygotowanym przez nich boisku? Na myśl, że bogowie grają w niebiańską piłkę, mogły ich naprowadzić kamienne kule z Aqua Blanca i innych miejsc, o których nie mieli pojęcia, że powstały na skutek wybuchów wulkanów? Czyżby myśleli, że bogowie ich porzucili, zostawiając boiska zapełnione kamiennymi piłkami ? A może układając kule w geometryczne formacje, tak kule naturalne jak i przez nich samych obrobione, odtwarzali w ten sposób wygląd nieba?

# NIERDZEWNA KOLUMNA

Na przedmieściach Delhi, stolicy Indii, wśród ruin budowli Kutub Minar, stoi ośmiometrowej wysokości żelazna kolumna. Stoi tak sobie prawie od 1600 lat i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewien zaskakujący i trudny do wytłumaczenia fakt: ten żelazny słup jest w ogóle nie podatny na korozję.

Wszystkie wykonane przez człowieka żelazne przedmioty, w większym lub mniejszym stopniu, są zżerane przez rdzę, co jest jednym z poważniejszych problemów technicznych współczesnej cywilizacji. Oczywiście, nowoczesna technologia zna sposoby wytwarzania nierdzewnej stali, ale są one całkiem świeżej daty. Nic nikomu nie wiadomo, by ponad półtora tysiąca lat temu ktoś potrafił wytwarzać żelazo odporne na korozję; żelazne przedmioty odkrywane przez archeologów każdorazowo pokryte są rdzą, a mnóstwo innych zabytków przeszłości z powodu korozji po prostu się rozpadło. Tymczasem żelazna kolumna z Delhi drwi sobie z korozji, zmuszając do zrewidowania naszej wiedzy na temat metalurgicznych umiejętności naszych przodków.

Kolumna została prawdopodobnie zbudowana około 415 r. nowej ery przez króla Kumaraguptę I na cześć jego ojca Czandragupty II. Sam zachowany do dziś walec był jedynie cokołem, na którym stał posąg Garudy – człowiekoptaka, rumaka boga Wisznu. Co się stało z posągiem Garudy i czy również on wykazywał odporność na rdzewienie – nie wiadomo. Zniknął gdzieś w mrokach historii i ocalał tylko jego cokół, dostarczając trudnej do rozwiązania zagadki.

Starożytni Hindusi byli ludźmi pod wieloma względami zacofanymi technicznie, ale ich wiedza metalurgiczna musi zadziwiać. Mnich buddyjski Fa Sien podróżujący po Indiach w V w.n.e. donosił, iż mieszkańcy tego kraju posługują się żelaznymi łańcuchami, na których zawieszają mosty.

W czasach rzymskich Indie były jednym z dwóch najbardziej rozwiniętych ośrodków metalurgicznych ówczesnego świata; drugi znajdował się na terenach dzisiejszej Austrii. To właśnie z Indii wysyłano do Damaszku sztaby żelaza, z którego sporządzano słynną stal damasceńską, dzięki której niejedna armia odniosła zwycięstwo nad wojskami wyposażonymi w żelazne klingi gorszej jakości.

W jaki sposób dawni mistrzowie hinduscy potrafili produkować żelazo odporne na korozję?

Niektórzy uczeni tłumaczą zaskakującą właściwość kolumny Kumaragupty I niezwykłą czystością użytego do jej budowy żelaza (co nie jest wszak żadnym wytłumaczeniem, ponieważ właśnie chodzi o to, w jaki sposób przed wiekami potrafiono wytwarzać tak czyste żelazo) w połączeniu z suchym klimatem. Suchy klimat także wzbudza sprzeciw, jako że klimat Indii wcale nie jest taki suchy, zważywszy na padające tam często ulewne deszcze. Wszystkie inne żelazne obiekty na terenie Indii są podatne na korozję, mimo iż znajdują się w takim samym klimacie, a więc diabeł nie tkwi w klimacie, lecz w czym innym.

Zdumiewającą odporność na korozję cokołu Garudy próbowano też tłumaczyć jakąś reakcją chemiczną zachodzącą między żelazem a potem tysięcy rąk wiernych dotykających kolumny. Wyjaśnienie to również nie wygląda najlepiej, ponieważ nawet najbardziej wierny z wiernych nie jest w stanie sięgnąć dłonią na wysokość 8 metrów, a kolumna jest odporna na korozję na całej swojej długości.

Nierdzewna kolumna Kumaragupty I nie doczekała się porządnych badań naukowych, nie bardzo więc wiadomo, czy została ona odlana czy też sporządzono ją na drodze zespolenia określonej liczby żelaznych kręgów, które po doprowadzeniu do gładkości połączono ze sobą, tworząc coś w rodzaju lekko zwężającego się ku górze walca. Gdyby kolumna została odlana, byłoby to tym bardziej zdumiewające, gdyż trudno uwierzyć, by metalurdzy sprzed półtora tysiąca lat byli w stanie odlać 10-cio tonowy walec z nierdzewnego żelaza.

Żeby zamienić żelazo w płyn, potrzebna jest temperatura 1530 stopni C. Aż do XIV w. znane były tylko prymitywne piece - dymarki niezdolne do zamiany żelaza w płyn; temperatura, którą wytwarzały, była w stanie zamienić twarde żelazo w brudną, ciastowatą masę, z której niepodobna uzyskać żelaza przyzwoitej jakości. Znana nam technologia dopiero w XVIII w. umożliwiła roztopienie rudy żelaza do stanu płynnego, jednakże wchodziły tu w grę jedynie ważące kilkadziesiąt kilogramów bryły, a nie masa o wadze około 10 ton. A ponieważ nawet dziś, pod koniec XX wieku, trudno uzyskać (o ile to w ogóle możliwe) niepodatne na korozję żelazo metodą prostego odlewania "na wolnym powietrzu" - trzeba by właściwie przyjąć, że zagadkowa kolumna Kumaragupty I nie została wykonana techniką odlewniczą.

Kto wyjaśni żelazną zagadkę sprzed piętnastu wieków?

# CZASZKA Z KRYSZTAŁU

W 1970 r. w Muzeum Indian Amerykańskich w Nowym Jorku można było podziwiać kryształową czaszkę naturalnych rozmiarów Wykonano ją z jednego kawałka kryształu górskiego (kwarcu) z wielką dbałością o szczegóły anatomiczne – czaszka ma wewnętrzne żyłki i otwory, zaś pewne detale sugerują, że modelem była czaszka kobiety. Dolna szczęka stanowi oddzielną całość i jest ruchoma. Łuki policzkowe mają wydrążone kanaliki dla wpadających promieni światła, a podstawa czaszki jest pocięta, tworząc pryzmat, co daje razem fantastyczne efekty optyczne. Czaszka mierzy 12,7 cm wysokości, 17,8 cm długości i 12,7 cm szerokości. Kto sporządził to małe arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej, w jakich czasach i dla jakich celów – tego nie wiadomo.

Została rzekomo odkopana w Ameryce Środkowej w ruinach miasta Majów Lubaantun w 1927 r. przez Annę Mitchell-Hedges, adoptowaną córkę znanego w swoim czasie badacza i podróżnika Fredericka Mitchella-Hedgesa. Ze względu na szacunek, jakim cieszyła się rodzina Hedgesów, miejsce oraz okoliczności odkrycia nie są kwestionowane. Sprawa pochodzenia czaszki nie jest jednak wolna od wątpliwości.

Majowie, Aztekowie, Mikstekowie i inne ludy Ameryki Centralnej często posługiwali się motywem czaszki, co było związane z ich wierzeniami dotyczącymi śmierci i powtórnych narodzin. Na zajmowanych przez nich terenach znajduje się czaszki wykonane z kości, muszli, gliny, drewna, a także kwarcu – jednakże żadna z nich nawet nie zbliża się do znalezionej w Lubaantun – tak pod względem mistrzostwa wykonania, koncepcji artystycznej, jak i stopnia wyrafinowania. Ten, kto ją zaprojektował i wykonał, musiał być prawdziwym mistrzem – choć pewien fakt sugeruje, że mogła mieć więcej niż jednego twórcę.

Badana pod mikroskopem czaszka nie nosi żadnych śladów skrawania czy użycia metalowego narzędzia. Powierzchnia jest gładko wypolerowana – prawdopodobnie kryształowy blok, z którego ją wykonano, był ścierany piaskiem. Czy Majowie posiadali jakieś urządzenia służące do tego celu, czy też robiono to wyłącznie ręcznie – też nie wiadomo. Jeżeli nie posługiwano się jakiegoś rodzaju "wiertarką" z nasadką ścierną lub innym przyrządem mechanicznym, który mógłby radykalnie przyspieszyć proces obróbki materiału (co samo w sobie byłoby archeologiczną sensacją), ręczne ścieranie twardego kwarcytu i wymodelowanie wszystkich detali, włącznie ze zrobieniem otworów i żyłek wewnętrznych, musiałoby zająć około 150 lat ciągłej, żmudnej pracy – kilka pokoleń.

Zabobonni Indianie, którzy w liczbie trzystu pracowali w Lubaantun pod kierunkiem Anny Mitchell-Hedges, na widok czaszki padli na kolana, całowali ziemię i modlili się przez dwa tygodnie.

Także mniej zabobonne osoby, spośród tych, które zetknęły się z kryształową czaszką, przypisywały jej niezwykłe właściwości.

Frank Dortland, restaurator zabytków sztuki, który przez sześć lat przeprowadzał z czaszką różne doświadczenia, stwierdził, że pewnego razu ujrzał czaszkę otoczoną świetlistą aurą; chociaż zwykle jest ona przezroczysta, czasami miały się w jej wnętrzu ukazywać obrazy przedstawiające twarze, maski, góry i inne rzeczy. Niekiedy czaszka miała ponoć wydzielać dziwną, specyficzną woń, zaś w domu Dortlanda, gdzie się znajdowała, miały się rozlegać wysokie, kryształowo czyste dźwięki, jakby produkowane przez małe dzwoneczki.

Prawdopodobnie owe magiczne efekty, rzekomo wytwarzane przez kryształową czaszkę, jak np. dźwięki dzwoneczków, należy przypisać wyobraźni obcującego z nią przez tak długi czas restauratora; w każdym razie, podczas trwającej przez cały rok wystawy w Muzeum Indian Amerykańskich nie stwierdzono żadnych cudownych efektów. Tym niemniej jest prawdą, że – ze względu na swoją wyrafinowaną budowę (kanaliki, wydrążenia i pryzmat u podstawy) – oświetlana i obracana czaszka wytwarza wspaniałe zjawiska optyczne.

Wydaje się prawie pewne, iż rzeczywiście pochodzi ona z Ameryki Środkowej, jak twierdzi jej odkrywca Anna Mitchell-Hedges. Czy wykonano ją pięćset, tysiąc czy dwa tysiące lat temu, nie sposób powiedzieć, gdyż współczesne metody datowania nie pozwalają ocenić wieku kawałka kryształu w latach absolutnych. Ze względu na wysiłek, jaki włożono w jej wykonanie i najwyraźniej celowy zamysł, by czaszka wytwarzała efekty świetlne, musiała ona odgrywać jakąś wielką rolę. Być może w rytuałach religijnych. Świadczyłby o tym fakt, iż odkopano ją w ruinach czegoś, co wygląda na kompleks świątynny.

Frank Dortland, Anna Mitchell-Hedges i wielu innych, którzy obcowali z czaszką i podziwiali wspaniałe zjawiska świetlne, które to arcydzieło sztuki produkuje, sądzą, że przedmiot ten służył do wpływania na ludzkie uczucia, myśli i nastroje.

# ŻYWE SKAMIELINY

Żywe istoty w środku kamienia? To niemożliwe! A jednak...

22 kwietnia 1881 r. Joe Molino pracował na głębokości 18 m w kopalni Wide West, w pobliżu Ruby Hill, w Newadzie. Wwiercał się właśnie w skałę, by usunąć niereguralny kawałek kamienia, który wystawał z bocznej ściany tunelu. Kamień obluzował się i spadł mu na nogę, co rozwścieczyło górnika do tego stopnia, że sięgnął po młot i rozwalił bryłę na pół. Ku jego zdziwieniu w kamieniu było zagłębienie wielkości dużej pięści pełne białych robaków. Joe wyjął je. Nie dawały wprawdzie znaku życia, ale nie minęło kilkanaście minut, gdy kilka robaków zaczęło się poruszać, zaś w przeciągu godziny grupka zdziwionych górników przyglądała się robakom pełzającym wolno po podłodze tunelu. Kierownictwo kopalni wysłało ten zadziwiający eksponat do U.S. Bureau of Mines (Biura Kopalnianego Stanów Zjednoczonych). Otrzymali odpowiedź, że zdarzenie było zapewne wynikiem jakiegoś nieporozumienia, ponieważ to co opisali, nie mogło mieć miejsca.

Tak samo zagadkowy był przypadek pospolitego, czerwonoszarego żuczka, którego znaleziono pogrzebanego w dobrze doń pasującej grudce rudy żelaza, wydobytej ze sławnej kopalni Longfellow koło Clifton w Arizonie w 1892 roku. Żuka i grudkę rudy wysłano do geologa w El Paso, Z.T. White'a. Położył on żuka na kawałku papieru i umieścił w szklanym naczyniu, które stało w bibliotece. Po tygodniu geolog zaobserwował we wnętrzu żuka jakieś ruchy.

Posługując się szkłem powiększającym, White dostrzegł, że z ciała dużego chrząszcza wypełza mały. Natychmiast wezwano świadków. Nowonarodzony żuczek został umieszczony w słoiku i żył przez kilkanaście miesięcy. White wysłał następnie bryłkę rudy i obydwa żuki do Smithsonian Institute w Washingtonie, którego specjaliści wyrazili jedynie zakłopotanie.

W 1873 r. w kopalni Black Diamond, na górze Diablo, opodal San Francisco, górnicy odkryli dużą, żywą żabę, jakby wtopioną w warstwę wapienia, który wysadzili w powietrze. Gdy żabę wyjęto z jej kamiennego grobu, w wapieniu pozostał odcisk jej ciała. Żaba była ślepa i mogła poruszać tylko jedną nogą. Żyła jeden dzień. Okaz wysłano do Akademii Nauk w San Francisco. Niestety, nikt nie potrafił przedstawić żadnego sensownego wyjaśnienia.

Żywe skamieliny odkrywa się w najdziwniejszych miejscach. Na przykład w październiku 1893 r. w tartaku The Brown and Hall Sawmill w Acton, w Ontario, piłowano ogromny pień sosnowy. Kiedy jego wierzchnie kawałki zostały odcięte, drwale ujrzeli czarną plamę w drewnie. Zaprzestali pracy, gdyż sądzili, że trafili na kawałek metalu. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy zamiast metalu odkryli małą 10 centymetrową dziuplę, a w niej żywą ropuchę. Dziupla była zupełnie gładka i niemalże sferyczna, tak jakby ropucha przez cały czas skrobała w niej.

Ścięte drzewo liczyło około 200 lat, zaś część, w której znaleziono żabę, znajdowała się jakieś 18 m nad ziemią i miała grubość około 80 cm.

Innym tego rodzaju odkryciem było znalezienie małej żabki w granitowym bloku w 1829 r. podczas wymiany filarów pod dokami w George's Basin w Liverpoolu. Jeden z wyciągniętych z wody granitowych bloków został rozcięty i w jego wnętrzu, odkryto małą żabkę. Stworzonko żyło kilka godzin, podczas których usiłowało powstać, aż w końcu znieruchomiało.

Brytyjscy naukowcy, którzy badali ropuszkę i jej "grób", nie znaleźli żadnego rozsądnego wyjaśnienia tej niezwykłej zagadki.

# MUMIA Z WYOMING

Najmniejszą mumią na świecie, a zarazem jedną z największych zagadek archeologicznych jest mumia człowieka, który miał zaledwie 35 cm wzrostu – tak stara, że nie znaleziono dotąd żadnej innej z podobnie odległej epoki.

Uczeni z różnych krajów świata oglądali tę mumię i zdumiewali się. Nie przypomina ona niczego, co widziano do tej pory. Stoi na półce w Casper w stanie Wyoming i nasuwa przypuszczenie, że nauka mogła przeoczyć cały gatunek istot człekokształtnych.

W październiku 1932 roku dwóch poszukiwaczy złota pracowało w wąwozie u stóp gór Pedro, około 100 km na zachód od Casper. Znaleźli "kolor" w twardej ścianie wąwozu i przygotowali większy ładunek dynamitu, żeby dostać się w głąb skały.

Potężny wybuch odsłonił wejście do naturalnej jaskini w granitowej skale, szerokiej i wysokiej na 1,2 m i długiej na 4,5 m. Kiedy dym i pył rozwiały się, górnicy zeszli do jaskini i przeżyli największy szok w swoim życiu: stali twarzą w twarz z mumią maleńkiej istoty ludzkiej.

Człowieczek siedział w kucki na kamiennym stopniu, ręce złożone miał na kolanach. Jego skóra była ciemnobrązowa i bardzo pomarszczona, a twarzyczka prawie małpia. Jedna powieka opadła na oko i miało się wrażenie, jakby ten dziwny stworek mrugał do ludzi, którzy go znaleźli.

Poszukiwacze złota ostrożnie podnieśli go, owinęli w koc i zawieźli do Casper, gdzie wiadomość o odkryciu niezwykłej mumii wzbudziła powszechne zainteresowanie. Naukowcy byli nastawieni sceptycznie, ale zaciekawieni. Archeologia nie znała dotąd przypadku, żeby żywa istota została pochowana w litym granicie. Jednakże mieli przed sobą namacalny dowód, że było to możliwe.

Istniały przypuszczenia, że nie był to zmumifikowany żywy organizm, lecz falsyfikat, ale prześwietlenia rentgenowskie wykazały, że była to autentyczna istota ludzka, a przynajmniej podobna do człowieka. Na zdjęciu wyraźnie było widać czaszkę, kręgosłup, żebra oraz kości rąk i nóg, a także komplet zębów.

Maleńkie stworzenie za życia miało 35 cm wzrostu, zmumifikowane waży około 34 dkg. Czoło jest bardzo niskie, nos płaski z szerokimi nozdrzami, usta bardzo szerokie, wargi wąskie zastygłe w sardonicznym półuśmiechu.

Wydział Antropologii Uniwersytetu Harvarda ogłosił, że mumia jest bez wątpienia prawdziwa. Dr Henry Shapiro, dyrektor działu archeologii Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej stwierdził, że rentgen odsłonił bardzo mały szkielet ludzki pokryty wyschłą skórą, bardzo stary, nieznanego gatunku i pochodzenia. Według doktora Shapiro dziwna mumia jest najmniejszą ze wszystkich istot ludzkich, których szczątki dotąd znaleziono.

Kustosz działu egiptologicznego Muzeum w Bostonie zbadał mumię i stwierdził, że przypomina ona mumie egipskie, mimo braku opasek, którymi w Egipcie zawijano ciała, by uniemożliwić dostęp powietrza. Kolejny ekspert, dr Henry Fairfield, przypuszcza, że mumia z gór Pedro może być jednym z antropoidów, które zamieszkiwały Amerykę Północną w pliocenie.

Czy nie jest to przypadkiem mumia dziecka? Antropolodzy są zdania, że stworzenie to osiągnęło swój pełny wzrost przed śmiercią Także biolodzy, którzy widzieli zdjęcie, stwierdzili, że w chwili śmierci człowieczek miał około sześćdziesięciu lat. Ale kiedy żył? Nikt tego nie wie i żaden z uczonych nie wypowiedział swojej opinii na ten temat.

Oczywiście, również jaskinia została dokładnie zbadana. Uczeni nie znaleźli tam jednak żadnych śladów ludzkiej obecności, żadnych przedmiotów, rzeźb, pisma – nic oprócz kamiennego stopnia, na którym mumia spoczywała przez niezliczone wieki. Możliwe, że stworzenie to było traktowane jako kuriozum już za swoich czasów wśród własnego plemienia. Natura niekiedy wydaje na świat coś niezwykłego – mógł więc być to człowiek niewiarygodnie zminiaturyzowany i z tego powodu otaczany szacunkiem. Może na to wskazywać niezwykłość pochówku.

Zmumifikowanego liliputa znaleziono także w 1920 roku na skraju Jaskini Mamutów w Kentucky. Ale miał on aż 90 cm wzrostu i został pochowany zaledwie sto lat wcześniej.

Tajemnica mumii z gór Pedro nie została wyjaśniona i być może nigdy się to nie stanie. Jej istnienie rzuca cień na ustalenia archeologii i antropologii. Niektórzy wolą więc zostawić ją w spokoju na wystawie w Casper i nie próbować wyjaśnić jej zagadki.

# KONIEC TAJEMNICY CAŁUNU TURYŃSKIEGO

Legandarny Całun Turyński, rzekome płótno grobowe Chrystusa sprzed dwóch tysięcy lat, okazał się XIV-wiecznym fałszerstwem!

Przez wiele lat Kościół uporczywie odmawiał zgody na przeprowadzenie badań wieku całunu, jako powód podając konieczność zniszczenia podczas analiz części płótna. Wprawdzie fragmenty płótna pobrane w tym celu byłyby tylko małymi skrawkami i to wyciętymi z brzegu tkaniny, bez szkody dla samego odbicia rzekomej postaci Chrystusa, ale ponieważ w grę wchodziła cenna relikwia, stanowisko Kościoła można zrozumieć. Oczywiście prawdziwy powód był inny: obawiano się, że Całun nie wytrzyma próby i okaże się zwykłym oszustwem – co też się stało.

W międzyczasie sama metoda datowania, którą miano się posłużyć, polegająca na mierzeniu w badanej substancji zawartości węgla radioaktywnego, rozwinęła się na tyle, że można już było wyznaczyć wiek Całunu na podstawie doprawdy mikroskopijnych skrawków tkaniny. W 1988 r. trzy renomowane laboratoria przeprowadziły analizę zawartości węgla radioaktywnego w płótnie i uzyskały ten sam wynik: płótno pochodzi z lat 1260–1390. Całun Turyński powstał w Średniowieczu i nie jest płótnem, w które mogłoby być zawinięte ciało Chrystusa!

Rezultat analizy okazał się druzgocący dla wszystkich wierzących, iż Całun jest autentykiem, chociaż nie zaskoczył tych, którzy twierdzili, że płótno jest zwykłą mistyfikacją.

Twierdzenia takie nie były nowe.

Od samego początku podejrzenia wzbudzał fakt, że ani w

Biblii, ani w żadnych innych źródłach pisanych, ani nawet w tradycji ustnej nie ma wzmianki, by po śmierci ciało Chrystusa zostało zawinięte w jakieś płótno dużych rozmiarów. Sprawa Całunu budziła wątpliwości już w XIV wieku, kiedy to płótno pojawiło się nagle, jakby wychynęło z niebytu, w średniowiecznej Francji i było obnoszone w procesjach jako widomy dowód męki Chrystusa. Miejscowy biskup Henryk de Poitiers przeprowadził dochodzenie i wykrył (jak pisze jego następca biskup Piotr D'Arcis w liście do papieża Klemensa VII w 1489 r.) - "oszustwo oraz sposób, w jaki wspomniane płótno zostało chytrze pomalowane".

Niestety. W liście biskup nie wdawał się w szczegóły i nie przedstawił sposobu, w jaki średniowieczny artysta, którego znaleziono i przesłuchano, sporządził wizerunek ludzkiej postaci na płótnie, powołując w ten sposób do życia zagadkę, nad którą bezskutecznie łamały sobie głowę rzesze współczesnych naukowców.

Próby odkrycia sposobu powstania obrazu postaci ludzkiej były podejmowane od dawien dawna, zarówno przez sceptyków, jak i osoby wierzące w autentyczność Całunu, ale nikomu to się nie udało. Tajemnica pogłębiała się i rosło przekonanie wierzących, że odbicie postaci ludzkiej musiało powstać w jakiś cudowny sposób, zwłaszcza gdy badania prowadzone przez naukowców amerykańskich ujawniły, że wizerunek zawiera w sobie informacje pozwalające sporządzić jego trójwymiarową wersję.

Podobny szok przeżył w 1898 r. turyński prawnik, Secondo Pio, który jako pierwszy sfotografował Całun. Kiedy wywołał klisze, jego zdumionym oczom ukazał się nie zamglony obraz ludzkiej postaci, jak jest w oryginale, lecz wyraźny, realistyczny wizerunek młodego mężczyzny ze śladami krwi spływającej z rąk i nóg (rany po ukrzyżowaniu), krwią spływającą z prawego boku (od włóczni wbitej w bok Jezusa przez rzymskiego żołnierza) i śladami krwi na głowie (rany spowodowane koroną cierniową). Obraz na kliszy był tak realistyczny, ponieważ obraz na płótnie okazał się negatywem – miejsca ciemne na płótnie występowały jako jasne i odwrotnie. Pio fotografując oryginalny negatywowy obraz, otrzymał na swojej negatywowej kliszy pozytyw, ponieważ klisza odwraca barwy. Całun Turyński okazał się więc negatywowym odbiciem ludzkiej postaci, co miało wskazywać na najwyraźniej cudowny charakter jego powstania, a na dodatek okazał się negatywem, z którego, po obróbce komputerowej, można wydobyć trójwymiarowość, czego ze zwykłą fotografią czy obrazem nie da się zrobić. Zwolennicy autentyczności Całunu triumfowali.

I oto przyszedł rok 1988 i trzy światowej sławy laboratoria techniczne, w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii, wydały swój wyrok: Całun Turyński powstał w Średniowieczu i jest falsyfikatem. Wyrok ten zamyka raz na zawsze usta zwolennikom autentyczności Całunu, chyba że ktoś jest wyjątkowym głupcem lub ignorantem.

Ale pozostawała jeszcze druga tajemnica: w jaki sposób średniowieczny artysta spowodował pojawienie się na płótnie wizerunku ludzkiej postaci? Mimo przeprowadzonych w ostatnich latach licznych prób sporządzenia repliki obrazu, oczywiście z jego "cudownymi" właściwościami, nie udało się jej uzyskać. Sposób wystąpienia obrazu na Całunie pozostawał okryty całunem tajemnicy.

Całun jest cienkim płótnem lnianym o wymiarach 4,36 x 1,10m. Po jednej jego stronie znajdują się dwa wizerunki przedstawiające przód i tył nagiego mężczyzny o wzroście 1,8 m. Obie sylwetki zwrócone są do siebie głowami, tak jakby powstały w ten sposób, iż na rozłożoną na ziemi tkaninę położono na plecach człowieka i przykryto je drugą połacią. Dolna część płótna, na której spoczywało ciało, dała odbicie tyłu, zaś górna, którą ciało zostało przykryte – przodu.

Wizerunek z całą pewnością nie został namalowany. Wskazuje na to brak kierunkowości, jaka musiałaby wystąpić w przypadku użycia pędzla. Analiza chemiczna nie wykryła także śladu farby. Brak śladów farby dowodzi, że średniowieczny artysta nie posłużył się również techniką polegającą na nakładaniu farby palcami.

Jak wykazały inne próby, obraz na płótnie nie mógł także powstać na skutek stykania się z samymi zwłokami – martwe ciało ludzkie włożone między płótno nie tworzy odbicia sylwetki ani żadnych szczegółów.

Dopiero w ostatnich latach badania Całunu dały odpowiedź na zasadnicze pytanie: przez co utworzony jest obraz? Okazało się, że włókna celulozy płótna są odwodnione i to właśnie tworzy obraz postaci. Dało to dowód do przypuszczeń, iż ciało Chrystusa wyemitowało jakiś rodzaj energii cieplnej czy też świetlnego promieniowania i utrwaliło swój obraz. Nawet trzeźwi uczeni zaczęli przebąkiwać, że obraz powstał na skutek jakiegoś rodzaju termonuklearnego błysku, a w każdym razie jakiegoś nieznanego nauce procesu fizycznego.

Przeprowadzono też próby polegające na umieszczeniu gorącego posągu między dwiema warstwami płótna. Powstający na skutek gorąca obraz przypominał barwą wizerunek z Całunu, ale był bardzo niewyraźny i nie dawał efektu trójwymiarowości. Przypuszczano, że być może jakiś wpływ miały wonności i substancje eteryczne, którymi obłożone było ciało Chrystusa. Także i te próby nie doprowadziły do powstania repliki wizerunku z Całunu Turyńskiego. Zaiste, nadzwyczaj chytry musiał być to sposób, skoro przez pół tysiąca lat nikt nań nie wpadł.

Najnowsze wieści w sprawie Całunu Turyńskiego nadeszły z Polski i wskazują, że chyba nadszedł wreszcie koniec jego największej tajemnicy. Zbigniew Blania-Bolnar, znany do tej pory ze swoich związków ze sprawami cywilizacji pozaziemskich, przedstawił sposób, przy pomocy którego średniowieczny artysta mógł spreparować trójwymiarowy, negatywowy wizerunek ciała ludzkiego na płótnie.

W artykule *How the Shroud of Turin was made?* (*Jak został zrobiony Całun Turyński*) czytamy:

"Jak należało się spodziewać, Całun Turyński okazał się średniowiecznym falsyfikatem. Pozostaje jeszcze wyjaśnić sposób wywołania na tkaninie wizerunku ciała ludzkiego, charakteryzującego się pewnymi, rzekomo niemożliwymi do wyjaśnienia i zreplikowania, właściwościami: obraz powstał na skutek przyłożenia raczej energii niż substancji, odznacza się negatywowością i swego rodzaju trójwymiarowością.

Fakt, że wizerunek powstał w średniowieczu każe przyjąć, iż artysta posłużył się jakąś bardzo prostą techniką. Często najprostsze metody mają to do siebie, że trudno jest na nie wpaść i wówczas nazywa się je metodami genialnie prostymi...

Głównym powodem, dzięki któremu Całun Turyński mamił nas przez tyle lat, jest przyjęcie fałszywego założenia, iż obraz powstał po wewnętrznej stronie obu płatów płótna. Założenie to jest wywołane bezwładnością myślenia, skądinąd zrozumiałą, gdyż, skoro mówiło się o całunie jako płótnie, w które owinięte było ciało Chrystusa, nieodparcie nasuwało się przekonanie, że wizerunek musiał powstać po stronie wewnętrznej. Ta pułapka skierowała myślenie na fałszywe tory i jeśli ktoś już w nią wpadł, sporządzenie repliki obrazu stawało się niemożliwe.

Tymczasem wcale nie jesteśmy zmuszeni przyjąć, że obraz powstał po wewnętrznej stronie płótna. Sceptycznie nastawieni specjaliści zajmujący się Całunem badali obiekt, który podejrzewali, że nie jest płótnem grobowym Chrystusa, a ponieważ przyjmowali, że wizerunek powstał od wewnątrz, tym samym bezwiednie zakładali, że Całun jest płótnem grobowym Jezusa.

Pułapka okazała się bardzo skuteczna... W istocie, obrazy na płótnie wywołano na zewnętrznej stronie płótna.

Druga, choć wątła, wskazówka sposobu spreparowania wizerunku z Całunu Turyńskiego to określenie użyte przez biskupa Piotra D'Arcisa na opis zastosowanej przez fałszerza techniki. W oryginale mamy łacińskie słowo "depingere", które oznacza przede wszystkim "malowanie", ale także, że coś zostało "odbite". Owo "namalowanie" sprawiło, że tyle czasu i energii poświęcono próbom wykrycia chemicznych składników farb malarskich, których w końcu i tak nie wykryto. Obraz został więc w jakimś sensie – odbity.

Trzecia, bardzo ważna wskazówka, to przyczyna wystąpienia wizerunku. Obraz powstał na skutek emisji energii cieplnej, a więc mówiąc prozaicznie na skutek gorąca. Oprócz analizy obrazu potwierdza to także fakt, że ślady po nadpaleniu spowodowane pożarem w 1532 roku w zasadzie nie różnią się od miejsc, na których znajduje się wizerunek.

Czwarta, być może najważniejsza wskazówka, jakimś trafem przeoczona, to fakt, że odstęp między dwiema głowami wizerunków jest bardzo mały – głowy te prawie stykają się ze sobą. Zamiast rozważać karkołomne i niekonieczne hipotezy o tajemniczym promieniowaniu, czy nieznanym procesie energetycznym, należało zwrócić uwagę na to, że odstęp ów jest tak mały. Jeśli ciało Chrystusa leżało między dwoma płatami płótna grobowego i wyemitowało jakiś rodzaj energii, np. energię cieplną, to odstęp między głowami obu wizerunków powinien być równy grubości głowy Jezusa.

Teraz są już w ręku wszystkie kawałki łamigłówki, z wyjątkiem jednego – narzędzia, którym posłużono się do spreparowania odbicia.

W jaki sposób średniowieczny artysta spreparował Całun?

Sporządził on płaskorzeźbę (grubość płaskorzeźby równa jest odstępowi między głowami wizerunku), po czym umieścił ją między płatami płótna. Mocno nagrzanym żelazkiem (lub kawałem blachy) prasował płótno tak, by zaczęło się przypalać. Następnie odwrócił całość na drugą stronę i przeprasował, przypalając płótno pokrywające drugą stronę płaskorzeźby. Po wyjęciu płaskorzeźby wystarczyło złożyć płótno wizerunkami do środka, aby wszystko zgadzało się z twierdzeniem, że obrazy spowodowało ciało Chrystusa znajdujące się wewnątrz płatów płótna.

Nie wykluczone, że fałszerz użył dwóch oddzielnych płaskorzeźb, tj. z reliefem tylko po jednej stronie (druga strona byłaby wówczas gładka), chociaż ze wstępnych prób wynika, że aby otrzymać wyraźny obraz, relief musi być bardzo płytki, a tym samym "podwójna" płaskorzeźba mogłaby płasko leżeć na warstwie płótna.

Takie elementy jak, ślady po biczowaniu, rany zadane koroną cierniową, rany po gwoździach na rękach i nogach oraz rana w boku zostały uwzględnione przez fałszerza podczas przygotowywania płaskorzeźby. To samo dotyczy krwawych wybroczyn, które dodatkowo mogły być "podretuszowane" prawdziwą krwią ludzką. Wydaje się, że dla wywołania silnego efektu i podniesienia wiarygodności artysta rzeczywiście posłużył się krwią, na co mogą wskazywać (choć dyskusyjne) wyniki badań laboratoryjnych. Nie powinien też właściwie dziwić fakt, co podnosili zwolennicy autentyczności Całunu, że ewentualny fałszerz musiałby wykazać ogromną troskę o, skądinąd mało znane, a prawdziwe szczegóły, takie jak: posługiwanie się przez Żydów monetami kładzionymi na oczach zmarłych, splatanie warkocza z tyłu itp. Odpowiedź na to jest prosta. W XIV wieku wiedza o krzyżowaniu ludzi i rytuałach grzebalnych Żydów była jeszcze całkiem świeża, a ponadto każdy artysta, który przyjmuje zamówienie, powinien dowiedzieć się tego i owego, jeżeli tylko traktuje zamówienie poważnie.

Eksperyment analogiczny do sposobu wykonania Całunu Turyńskiego można przeprowadzić domowym sposobem. Jedna z zabaw dziecięcych polega na tym, że bierze się monetę, kartkę papieru i ołówek. Papier umieszcza się na monecie i pociera ją boczną stroną grafitu, otrzymując negatywowy, trójwymiarowy obraz monety. Moneta jest płaskorzeźbą, papier płótnem, a ołówek rozgrzanym żelazkiem.

Dlatego też można sądzić, że tajemnice Całunu Turyńskiego najprędzej odkryłyby dzieci."

# Tajemnicze istoty
# i
# stworzenia

# PRZEDZIWNI NAPASTNICY

Wiadomo, że niejedna farma była oblegana – w różnych czasach, miejscach i przez różnych napastników. Ale oblężenie, które przeżyła rodzina Suttonów nocą 21 września 1955 r. na swojej farmie w Kelly-Hopkinsville w Kentucky, może z powodzeniem przejść do historii oblężeń jako bez wątpienia najdziwniejszy wypadek tego rodzaju. Chociaż ofiary widziały swoich napastników, po dziś dzień nie wiedzą, kim byli, a jeśli chodzi o ścisłość, nikt nie potrafi tego powiedzieć. Najbardziej przerażające było to, że oblegający nie byli ani ludźmi, ani nie należeli do żadnego ze znanych gatunków zwierząt!

Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Jeden z członków jedenastoosobowej rodziny Suttonów wrócił na farmę z wiadomością, że w pobliżu widział lądowanie dziwnego obiektu latającego. Opowiadanie spotkało się z lekką drwiną i dowcipkowaniem, jednakże po upływie godziny cała rodzina została postawiona na równe nogi przeraźliwym ujadaniem psa na podwórku. Dwóch uzbrojonych mężczyzn wyszło przed dom, żeby zobaczyć, kto nadchodzi...

Do drzwi powoli zbliżała się niezwykła postać: mały, otoczony poświatą człowieczek, z olbrzymimi, okrągłymi jak talerzyki oczami i rękami uniesionymi nad głową w taki sposób, że mógłby wyglądać na kogoś "kogo właśnie obrabowują". Bardziej prawdopodobne, że tym gestem istota chciała pokazać, że nie ma żadnych złych zamiarów. Suttonowie należeli jednak do tych zdecydowanych i twardych ludzi z Kentucky, którzy "najpierw strzelają, a pytanie, kto idzie, zostawiają na potem".

Obaj mężczyźni wystrzelili prawie jednocześnie, gdy świetlista istota znajdowała się około 6 m od nich; jeden ze strzelby kaliber 22, drugi z rewolweru. Według określenia jednego ze strzelających rozległ się dźwięk, "jakbym trafił w wiadro". Istota wykonała szybki ruch i cofnęła się w ciemność.

Nie minęło wiele czasu, gdy nowy stwór pojawił się w oknie i został przywitany strzałami. Mężczyźni wyszli na ganek, żeby zobaczyć, czy kule trafiły napastnika. Gdy idący przodem zatrzymał się pod wystającym okapem, postępujący za nim dostrzegli, jak z dachu opuszcza się ręka z dłonią zakończoną pazurami i dotyka jego włosów.

Do napastnika znajdującego się na dachu oddano kilka strzałów i jednocześnie otworzono ogień do drugiego stwora, który niespodziewanie pojawił się na gałęzi pobliskiego drzewa. Ten ostatni został trafiony, ale nie spadł, lecz spłynął na ziemię i czmychnął. Nieskuteczność strzałów najwyraźniej przeraziła Suttonów, którzy zabarykowali się w domu i ze strachem obserwowali okna, za którymi od czasu do czasu pojawiali się niesamowici goście.

Po upływie trzech godzin, około 23.00, cała rodzina zebrała się na odwagę i wybiegła na dwór. Jedenaście osób wcisnęło się do dwóch samochodów i pojechało do miasta po policję.

Po powrocie, policja wraz z Suttonami przeszukała teren, jednakże nic nie znaleziono. Wobec tego policjanci wrócili do miasta, zaś znękani farmerzy zabarykadowali się w domu.

Gdy zapadły ciemności i zapanowała cisza, dziwaczne stworzenia pojawiły się ponownie. Tym razem obyło się już bez incydentów, chociaż cała rodzina nie zmrużyła oka do świtu, kiedy to istoty odeszły tam, skąd przybyły.

Zostały opisane jako niewielkie wzrostem, delikatnej budowy ciała, z okrągłymi i wielkimi jak spodki oczami rozstawionymi na 15 cm. Głowy istot były kuliste i kompletnie łyse. Nikt nie był pewien, czy stwory miały szyje, nikt nie potrafił opisać wyglądu nosa, zaś usta prawdopodobnie tworzyły cienką, poziomą kreskę.

Szczególnie osobliwe były ręce – prawie dwukrotnie dłuższe od nóg, z olbrzymimi dłońmi.

Kim lub czym były te niezwykłe stworzenia, niepodobne do niczego znanego na Ziemi, i czego tu chciały? Czy przybyły z innego układu gwiezdnego? Sugerowałaby to relacja jednego z Suttonów, który na krótko przed rozpoczęciem oblężenia widział lądujący nie opodal obiekt latający.

Kimkolwiek były, nie wydaje się, by chciały wyrządzić komuś krzywdę – uniesione do góry ręce pierwszego, zbliżającego się do drzwi cudacznego gościa, wskazują na to dość wymownie. Przestraszeni Ziemianie nie są, doprawdy, zbyt gościnni.

# UFONAUCI

Kim były istoty, które z pokładu wiszącego nad ziemią pojazdu machały rękami w odpowiedzi na pozdrowienia ludzi?

Skąd przybyły i czego tu chciały?

Boainai jest wioską położoną nad brzegiem rzeki Mase w Nowej Gwinei. Na terenie wsi znajduje się Misja Wszystkich Świętych kierowana przez duchownego anglikańskiego, wielebnego ojca Williama Gilla. Pracował tu od trzydziestu lat, a jego podstawowym zajęciem była działalność oświatowa. W wywiadzie udzielonym dziennikarzom australijskim ojciec Gill stwierdził, że zanim zdarzyły się te wypadki, sądził, iż UFO "są wytworem wyobraźni albo jakimiś zjawiskami o charakterze elektrycznym".

Aż nadszedł czerwcowy wieczór 1959 r. i razem z trzydziestoma siedmioma osobami, uczniami misji i nauczycielami, ojciec Gill był świadkiem czegoś, co całkowicie zmieniło jego poglądy na sprawę UFO.

Było to około 18.30. Niebo było czyste, ale zbierały się już deszczowe chmury. Ojciec Gill wyszedł właśnie na dwór z jadalni i spojrzał w niebo, żeby zobaczyć czy wzeszła już planeta Wenus. Wenus była na niebie, ale było tam też coś znacznie dziwniejszego: bardzo jasny, iskrzący się statek latający. Ksiądz Gill mówi:

"...miałem właśnie skręcić za róg domu, kiedy coś na niebie przykuło mój wzrok i spojrzałem w górę w kierunku zachodnim. Zobaczyłem pod kątem około 45° to olbrzymie światło. Sądziłem, że niektórzy ludzie mogą sobie coś takiego wyobrażać, ale nigdy nie ja. A to się właśnie stało. Zawołałem Erica Kodawarę i powiedziałem: «Co widzisz tam w górze?!» Powiedział: «Zdaje się, że to jest światło». A na to ja: «Idź i powiedz nauczycielowi Stevenowi Moi. Każ mu przyjść szybko». Eric zebrał ludzi ilu tylko mógł i wszyscy staliśmy i wpatrywaliśmy się w to. Później podeszliśmy bliżej, na boisko, a zjawisko trwało dalej. Mam je opisane. Zdecydowałem się wówczas bardzo szybko na wzięcie notatnika i ołówka; napisałem, że jeżeli coś ma się zdarzyć, zdarzy się teraz i z pewnością jutro obudzę się i będę myślał, że to był sen, że nie widziałem tego naprawdę. Jeżeli zapiszę, to będę przynajmniej wiedział, że nie śniłem".

Obiekt wyglądem przypominał wielki dysk o średnicy około 13 m u podstawy i 7 m na szczycie. Miał okrągłą nadbudówkę, a na niej jeszcze jedną okrągłą, znacznie mniejszą, która wydawała się pełnić rolę mostka kapitańskiego. Od spodu były cztery "nogi" skierowane parami ukośnie w dół. Wydawały się być przymocowane na trwałe i przypominały nogi statywu.

Obiekt zniżył się i zawisł nad ziemią jakieś 100–150 m. Kiedy cała misja stała, patrząc z rozdziawionymi ustami na to cudo widniejące nad ich głowami, z wnętrza Latającego Spodka wyszli... ludzie. Pojawili się na szczycie dysku, stojąc na mostku kapitańskim. Ich liczba zmieniała się: było ich czterech, później dwóch, potem jeden, potem trzech, następnie znowu czterech...

Ze środka pokładu wychodził promień niebieskiego światła. Ludzie na pokładzie byli pochyleni do przodu, czasem prostowali się, czasem spoglądali w dół w kierunku patrzących, ale interesowało ich tylko to, co działo się na pokładzie. Przyglądający się im z dołu mieli wrażenie, że istoty z Latającego Spodka coś naprawiają. Niebieskie światło, jak promień skierowanego w niebo reflektora, zapalało się i gasło...

Zaczęto dawać sygnały latarką. Najwyraźniej w odpowiedzi obiekt zaczął poruszać się ruchem wahadła. Kiedy skierowano nań światło latarki, obiekt najpierw uniósł się, a potem zaczął opadać i znalazł się bardzo nisko nad ziemią. Wszyscy myśleli, że za chwilę wyląduje, ale nie zrobił tego i wszyscy byli bardzo rozczarowani...

Ojciec Gill stwierdza: "Kiedy jeden z ludzi znajdujących się na pokładzie przechylił się przez coś, co wydawało się poręczą i zdawał się patrzeć na nas – uniosłem rękę nad głowę i pomachałem. Figurka zrobiła to samo! Jak kapitan statku, który macha do kogoś na przystani. Samej poręczy nie widziałem, ale figurka stała w takiej pozycji, która sugeruje istnienie poręczy. Widzieliśmy z dołu, że człowiek ten był wychylony. W pewnej chwili Anamias, nauczyciel, zamachał nad głową obiema rękami i dwie postaci na górze również zamachały oburącz nad swoimi głowami. Potem Anamias i ja zamachaliśmy ponownie i wszystkie postaci odmachały nam. Nie ma żadnych wątpliwości, że odpowiadały w ten sposób na nasze sygnały dawane rękami".

Uczniowie misji byli zaskoczeni, ale i zachwyceni. Mali chłopcy wykrzykiwali i gestami zapraszali istoty do zejścia na dół, ale one nie zeszły.

Długotrwała obserwacja Latającego Spodka i pracujących na jego pokładzie istot poprzedzona była licznymi, wcześniejszymi doniesieniami o dziwnych latających światłach na niebie. Pod wpływem tych relacji ojciec Gill napisał list do przyjaciela kierującego sąsiednią misją, list, w którym jeszcze powątpiewał:

"Drogi Dawidzie,

Spójrz na te niezwykłe dane. Jestem prawie przekonany do teorii «odwiedzin». Nie mam żadnych wątpliwości co do istnienia tych rzeczy..., ale mój prosty umysł ciągle domaga się naukowego dowodu, zanim będę mógł uwierzyć, że prawdopodobnie UFO są czymś więcej, niż jakąś formą zjawisk elektrycznych lub czymś związanym z wybuchami bomb atomowych... Zbyt trudno jest mi to wszystko zrozumieć; wolę poczekać, aż jakiś bystry chłopak złapie coś takiego, żeby można było to pokazywać w Martin

Square...

Twój wątpiący William"

Po obserwacji istot, z którymi wymieniane były pozdrowienia, drugi list był już inny.

"Drogi Dawidzie,

Życie jest dziwne, nieprawdaż? Wczoraj napisałem do Ciebie list, wyrażając opinie o UFO. Teraz, po niespełna 24 godzinach, zmieniłem w pewnym sensie swoje poglądy. Ostatniej nocy obserwowaliśmy przez około 4 godziny działalność UFO i nie ma wątpliwości, że był on kierowany przez jakiegoś rodzaju istoty. Chwilami było to absolutnie zapierające dech. Oto sprawozdanie. Proszę, prześlij je dalej, ale pamiętaj o zachowaniu wielkiej ostrożności, gdyż nie mam kopii...

Cześć

Przekonany Bill"

Nic tak dobrze nie wpływa na zmianę przekonań, jak zobaczenie czegoś na własne oczy.

# YETI

Wyśmiewanie się z opowieści tubylców o niewiarygodnych bestiach nie jest rzeczą rozsądną... Tubylcy czasem wiedzą, co mówią. Potwierdziło się to w drugiej połowie XIX w., kiedy amerykański badacz Paul Du Chailliu przywiózł z jednej ze swych wypraw skórę i szkielet gigantycznego goryla, ku wielkiemu zakłopotaniu uczonych.

Do tej pory nikt nie znalazł ani skóry, ani sierści legendarnego Człowieka Śniegu Himalajów – mimo to są naukowcy, którzy wierzą, iż może się to zdarzyć w każdej chwili.

Ludy zamieszkujące ten surowy region naszego globu nazywają te stwory yeti, co znaczy ohydny, odrażający, straszny. Zgodnie z tym co podają tubylcy, yeti żyją wysoko, w niedostępnych kryjówkach Himalajów. Problem polega na tym, że od czasu do czasu stwory te schodzą w dół, do wiosek. Według opowieści Szerpów, yeti nie ograniczają się do jedzenia żab ze stawów w dolinach, czy też delikatnych pędów drzew lub krzewów. Zaspokajają swój głód również świeżym mięsem – czasem kozą, czasem młodym jakiem, a nawet porwanym dzieckiem albo samotnym pastuchem, który popełnił ten błąd, iż spał samotnie w słońcu.

Ponieważ to właśnie brytyjska kolonia w Indiach rozciągała się aż do budzących grozę Himalajów, Brytyjczycy byli pierwszymi, którzy zetknęli się z relacjami o tych dziwnych stworach. Uznali je za wymysły przemęczonej wyobraźni. Pierwsza mała rysa na tej wyrosłej przez lata ogromnej ścianie ignorancji i wątpliwości pojawiła się w roku 1913, kiedy grupa chińskich myśliwych zraniła i wzięła do niewoli jakiegoś dziwnego, człekopodobnego stwora, którego Tybetańczycy nazwali Człowiekiem Śniegu.

Chińczycy mówili, że stwór o czarnej, małpiej twarzy, pokryty srebrnożółtą, długą na kilka centymetrów sierścią, o nadzwyczaj silnych dłoniach i bardzo podobnych do ludzkich stopach, był trzymany w klatce w Patang, w prowincji Sinkiang. Stwór chrząkał i wydawał gardłowe dźwięki, ale większość czasu spędzał, zaciskając usta lub wydając swego rodzaju głośne gwizdanie. Po jakichś 5 miesiącach stworzenie zachorowało i zmarło.

Wybuch I Wojny Światowej uniemożliwił wszelkie naukowe ekspedycje w ten rejon. W 1937 r. brytyjski badacz, Frank Smythe, przybył do Tybetu z doniesieniem o człekopodobnych dzikich stworach nieznanego gatunku, które panoszyły się w górnych partiach Himalajów, żywiąc się robakami i gryzoniami albo większymi zwierzętami, jeśli tylko mogły je upolować.

Smythe znalazł ich tropy na wysokości około 4200 m; jego przewodnicy – Szerpowie odmówili pójścia dalej, kiedy zauważyli ślady.

Pomiary odcisków wykazały, że były one zdumiewająco podobne do ludzkich, z tą różnicą, że palce stopy były odbite na pięcie stopy poprzedniej. Rozmiar: około 33 cm długości i 13 cm szerokości.

Od tego czasu wiele ekspedycji znajdowało różne ślady wskazujące, że Człowiek Śniegu faktycznie istnieje i jest nadzieja, że któregoś dnia zostanie wreszcie schwytany.

Brytyjski major Alan Cameron, który brał udział w wyprawie na Everest w 1923 roku, szedł razem z grupą himalaistów drogą w kierunku szczytu, kiedy jeden z przewodników zauważył sznur żywych istot wolno poruszających się wzdłuż jednego z klifów, dobrze ponad linią śniegu. Dwa dni później, kiedy grupa Camerona dotarła do tegoż miejsca, znalazła ogromne, podobne do ludzkich odciski stóp na śniegu.

Więcej dziwnych tropów na linii śniegowej lodowatych stoków Everestu napotkała pod koniec 1936 r. pierwsza ekspedycja Shiptona. H.W. Tilman, członek ekspedycji, który szedł owymi tropami przez wiele kilometrów, zanotował, że jest wykluczone, by ślady te mogło pozostawić jakieś czworonożne zwierzę. Tilman w końcu zgubił trop na grani gołych skał.

W 1958 r. amerykański naukowiec, dr Norman Dyrenfurth, donosił z Katmandu w Nepalu, że znalazł dowody, które przekonały go, iż Ludzie Śniegu są albo jakimś gatunkiem *homo sapiens*, albo nieznanych istot człekokształtnych. Przeszukiwał on jaskinie, w których istoty te żyły bez ognia, zbierał resztki jedzenia, włosy, zarówno srebrnoszare jak i rudawobrązowe, sporządzał gipsowe odlewy odcisków stóp i gromadził inne drobiazgi, by udowodnić, że nieuchwytni Ludzie Śniegu są realnymi istotami: duże osobniki mają wzrost około 2,4 m, a małe - 1,2 m.

W 1958 r. pewien antropolog wysunął przypuszczenie, że odciski stóp Człowieka Śniegu są odciskami pozostawionymi przez tubylców, których palce wystają ze znoszonych sandałów, na co "Chicago Tribune" odpowiedziała: "Jest to dobre wytłumaczenie dla kogoś, kto tam nie był..."

Niezwykłe zainteresowanie yeti wykazał pewien sierżant milicji z Azerbejdżanu.

Latem 1947 r. w pobliżu małej wsi azerbejdżańskiej sierżant Ramazan, uważany za człowieka uczciwego i zdyscyplinowanego funkcjonariusza, wracał nocą ze służby, kiedy niespodziewanie spoza drzew wyskoczyło wielkie, nagie, owłosione stworzenie, obezwładniło go i zaniosło na rękach pod drzewo. Najwyraźniej siedziała tam towarzyszka życia napastnika – nieco niższa od samca, z obwisłymi piersiami i długimi włosami na głowie. Zarówno samiec, jak i samica byli mocno owłosieni – z wyjątkiem przerażających, ciemnych małpich twarzy. Dzikie stwory wydawały nieartykułowane dźwięki i zaczęły z zainteresowaniem obmacywać sierżanta, zwracając szczególną uwagę na błyszczące guziki jego munduru. Oba małpoludy próbowały przekonać się nawzajem, że zdobycz jest niepodzielną własnością jednego z nich. Warczały, popychały się, a raz nawet się pobiły. Dopiero o świcie stworzenia oddaliły się i zniknęły w lesie. Skromny milicjant z Azerbejdżanu może więc powiedzieć o sobie, że jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem, o którego pobiły się yeti!

Doniesienia o Człowieku Śniegu napływały w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, co pozwala przypuszczać, iż yeti nie wyginęły i dalej wiodą swoje życie w mało dostępnych zakątkach Azji. Najświeższe doniesienie pochodzi z 1990 r. Złożył je nie byle kto, bo sam R. Messner – zdobywca wszystkich ośmiotysięczników i najlepszy himalaista świata. Podczas swojej ostatniej wyprawy napotkał i oglądał na własne oczy Człowieka Śniegu, co – nie bez pewnych wahań – ujawnił na konferencji prasowej. Po zdobyciu wszystkich ośmiotysięczników, Messner ma teraz nowy cel w życiu: organizuje specjalną wyprawę w Himalaje, której celem jest schwytanie yeti.

Czy obejrzymy wkrótce na ekranach telewizorów legendarnego Człowieka Śniegu? A jeśli tak, to czy okaże się on bardziej zwierzęciem, czy bardziej człowiekiem?

# SASQUATCH

Coś zostawia te przeklęte ślady i ja to wykryję – zaprzysiągł sobie Rene Dahinden, kanadyjski tropiciel Dzikiego Człowieka Lasów żyjącego ponoć w bezludnych rejonach dawnej Kolumbii Brytyjskiej i północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Jak dotąd nikomu nie udało się dostarczyć żywej lub martwej, olbrzymiej istoty, która, podobnie jak jej azjatycki kuzyn-yeti, pozostawia jedynie ślady swoich stóp, i tylko od czasu do czasu uda się ją komuś zobaczyć.

Nie musi być w tym jednak nic podejrzanego. Tereny, na których żyją rzekomo północnoamerykańscy Dzicy Ludzie Lasów, są nie zamieszkane i porośnięte dziewiczą puszczą. Zobaczyć ich mają szansą tylko ci nieliczni, którym zdarzy się przebywać w tych okolicach, chyba że owe stworzenia zapędzą się w pobliże ludzkich osiedli.

Opowieści o Człowieku Lasów krążą od dawien dawna. Stworzenie to dobrze znane było Indianom, którzy nazwali je Sasquatch, zaś w Stanach Zjednoczonych nazywa się je Bigfoot. Obie te nazwy znaczą-Wielka Stopa. Mimo tak długiej historii i stosunkowo licznych, na przestrzeni wielu lat, spotkań z nimi, nie wiadomo, czy chodzi tu o nieznany nauce gatunek gigantycznej, człekopodobnej małpy czy raczej o jakąś rasę praludzi. Według zeznań naocznych świadków, bardziej przypominają istoty ludzkie niźli małpy.

Nikomu nie udało się schwytać Wielkiej Stopy, ale być może prawdą jest, że stało się coś dokładnie przeciwnego: Sasquatch schwytał cywilizowanego człowieka...

Najdziwniejsza historia, jaką można znaleźć w bogatych materiałach Rene Dahindena, dotyczy Alberta Ostmana, sezonowego drwala z Fort Langley, który twierdzi, że... został porwany przez dorosłego samca Sasquatcha i był więziony w jego kryjówce!

Miało się to wydarzyć w 1924 roku w bezludnym rejonie leśnym, przeszło 160 km na północ od Vancouver w Kanadzie. Ostman skończył właśnie pracę i wziął urlop, zamierzając zająć się poszukiwaniem zapomnianej kopalni złota. W tym celu wynajął starego Indianina jako przewodnika i ruszyli na poszukiwania.

Indianin był przestrszony możliwością napotkania Sasquatcha. Pewien biały człowiek, który przynosił regularnie złoto z opuszczonej kopalni, nagle w zagadkowy sposób zniknął i Indianin podejrzewał, że kryje się za tym Bigfoot. Jednakże Ostman, który nigdy nie słyszał o Dzikim Człowieku Lasów – wyśmiał go.

Kiedy osiągnęli brzeg małej zatoczki, Ostman rozbił obóz i przykazał Indianinowi, by czekał na niego przez trzy tygodnie, sam zaś udał się na poszukiwanie złota. Miał ze sobą śpiwór, strzelbę typu Winchester, a wśród drobiazgów w plecaku także kilka blaszanych pudełek z tytoniem do żucia – rzecz, która później odegra ważną rolę.

Po kilku dniach samotnej włóczęgi znalazł się w całkowicie dzikim terenie. Trudno było wyobrazić sobie, że oprócz zwierząt można tu spotkać jakąś żywą istotę, a jednak... Pewnego ranka Ostman spostrzegł, że niektóre przedmioty są porozrzucane. Nic nie zginęło, ale w nocy ktoś najwyraźniej grzebał w jego rzeczach!

"Następnej nocy – relacjonuje drwal – załadowałem starannie strzelbę. Miałem jeszcze pełne pudełko zawierające 20 naboi, nie licząc całego magazynka i 6 naboi luzem w kieszeni kurtki. Strzelbę schowałem pod śpiwór.

Kiedy obudziłem się rano, plecak był wypróżniony. Ktoś wywrócił go do góry nogami. Wisiał dalej na tyczce, zaczepiony na ramiączku, tak jak go powiesiłem. Później zauważyłem, że zginęło pół paczki suszonych śliwek. Zniknął także placek. Poprzedniej nocy myślałem, że odwiedził mnie jeż, ale gdyby tak było, powinna być ruszona sól – jeże bardzo ją lubią. Sól była jednak nietknięta, więc uznałem, że musiało to być coś innego".

Z powodu złej pogody Ostman nie opuszczał obozowiska przez trzy dni. Wizyty tajemniczego gościa powtarzały się noc w noc. Jednak następnej nocy nie było już mu dane przespać.

"Obudziłem się, ponieważ coś mnie podniosło do góry. Byłem jeszcze na wpół przytomny i w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Kiedy zebrałem myśli, przypomniałem sobie, że jestem na wyprawie i leżę w śpiworze. Moją pierwszą myślą było, że ześlizguję się po śniegu, ale nie było żadnego śniegu. Następnie miałem wrażenie, że jadę na koniu, ale to coś, co mnie niosło, najwyraźniej kroczyło. Dyszało ciężko i czasami wydawało z siebie kaszlnięcie. Teraz już wiedziałem, że musi to być Sasquatch – jeden z tych mieszkających w górach olbrzymów, o których mówił Indianin".

Po pewnym czasie niesamowita podróż na plecach skończyła się i Ostman został położony na miękkiej ziemi. Było jeszcze ciemno i nie dawało się rozróżnić szczegółów, dopóki blask wschodzącego słońca nie oświetlił niezwykłej scenerii. Wokół drwala stały cztery przerażające istoty.

Wszystkie były olbrzymiego wzrostu i pokryte czarnymi długimi włosami. Tworzyły najwyraźniej rodzinę: stary Sasquatch, który przytaszczył Ostmana, był najpotężniejszy, mając prawie 2,4 m wzrostu. Jego samica była o 30 cm niższa i wyglądała na jakieś 250–270 kg wagi. Młody samiec mierzył podobnie jak jego matka 2,1 m wzrostu i miał około 140 cm obwodu w klatce piersiowej. Najmiejsza była młoda samica, najwyraźniej w wieku dziecięcym, gdyż nie miała jeszcze rozwiniętych piersi. Jedynymi częściami ciała nie pokrytymi włosami były: wewnętrzna strona dłoni i podeszwy stóp, górna część nosa i okolice oczu. Uszu nie było widać, gdyż zasłaniała je szczecina włosów. Włosy na głowach miały około 15 cm długości; na ciele były krótsze, ale znacznie grubsze.

Kiedy Ostman oprzytomniał i wyzwolił się z pierwszego strachu, rozejrzał się z ciekawością dookoła. Znajdował się w głębokiej, maleńkiej kotlince o wysokich ścianach skalnych. Na północnym wschodzie znajdował się otwór szeroki na dwa i pół metra, a wysoki na sześć metrów w najwyższym punkcie. Był to otwór, którym dostali się do środka.

Jakkolwiek przestraszony, Ostman wkrótce uspokoił się. Miał większość swoich rzeczy, łącznie z plecakiem, w którym znajdowało się jedzenie i kawa, oraz strzelbę z pełnym magazynkiem i dodatkowymi nabojami.

Przez dwa dni wytężał umysł, próbując wymyślić, w jaki sposób uciec, a ponieważ nic zadowalającego nie przychodziło mu do głowy, po prostu podszedł do otworu prowadzącego na wolność. Jednakże stary Sasquatch z okrzykiem, który brzmiał jak: "Soaka, soaka", popchnął go z powrotem. Ostman był zdecydowany strzelać, ale obawiał się, czy kula z Winchestera powali tak ogromne cielska.

W czasie swojej niewoli dokonał pewnych spostrzeżeń co do sposobu odżywiania się włochatych istot i ich trybu życia. Nigdy nie widział, by jedli mięso. Zbierali korzonki, orzechy i inne jadalne rośliny. Spali na wymoszczonych mchem i trawą łożach znajdujących się na czymś w rodzaju półki skalnej. Mieli też w rodzinie podział czynności.

Okazja do ucieczki nadarzyła się siódmego dnia niewoli. Ostman rozpalił ogień i zrobił sobie kawy. Kiedy zjadł i napił się, wyciągnął jedno ze swoich pudełek z tytoniem do żucia. Stary Sasquatch sięgnął po nie ręką i odebrał mu je, po czym zjadł całą jego zawartość, wylizując pudełko.

"Po kilku minutach – mówi Ostman – zaczął przewracać oczami i patrzył prosto przed siebie. Było jasne, że zrobiło mu się niedobrze. Złapał dzbanek z wystygłą już kawą i wypił ją, ale nie przyniosło mu to ulgi. Włożył głowę między kolana i zaczął się kiwać. Następnie zaczął kwiczeć jak zraniona świnia."

"Złapałem strzelbę. Powiedziałem do siebie «Teraz albo nigdy. Jeżeli będzie chciał mnie zatrzymać, wypalę mu między oczy». Ale jemu potrzebna była woda i powlókł się w stronę źródełka. Zapakowałem wszystkie moje rzeczy do plecaka. Młody Sasquatch pobiegł po matkę, która też zaczęła kwiczeć. Ruszyłem w kierunku otworu wejściowego. Samica była tuż za mną. Odwróciłem się i dałem ognia ponad jej głową".

Nikt go nie ścigał. Wkrótce zobaczył szczyt znajomej góry. Kiedy po upływie półtora dnia oddalił się od kryjówki Sasquatchy na dużą odległość, poczuł, że jest uratowany.

Oto najdziwniejsza historia związana z Dzikimi Ludźmi Lasów. Historia sezonowego drwala Alberta Otsmana, który przez tydzień był jeńcem rodziny Sasquatchy.

# NEANDERTALCZYK W BRYLE LODU?

Czy gdzieś na Ziemi żyją jeszcze praludzie – przodkowie współczesnego człowieka, rzekomo wymarli przed dziesiątkami tysięcy lat?

W połowie lat sześćdziesiątych mieszkańcom Stanów Zjednoczonych dane było oglądać zakonserwowane w lodzie zwłoki jakiejś na pół zwierzęcej, na pół ludzkiej istoty. Za 1 dolara i 75 centów niejaki Frank Hansen pokazywał ciekawskim człekopodobne ciało pokryte dość rzadkimi, ale długimi włosami. Według plotki, przemycono je w chłodni statku do połowu fok gdzieś z Syberii, być może z Kamczatki, i sprzedano w jednym z chińskich portów, skąd trafiło do USA.

Wożono je z miejsca na miejsce specjalnie do tego celu przystosowaną furgonetką i wystawiano na pokaz w metalowej trumnie z pokrywą z czterowarstwowego szkła. Pojemnik miał zainstalowane urządzenie chłodnicze i podświetlenie umożliwiające lepszą widoczność przez przezroczystą warstwę lodu. Zakonserwowany osobnik został uśmiercony strzałem w prawe oko, lewe zaś wydawało się być wysadzone z oczodołu siłą uderzenia kuli. Prawdopodobnie drugi strzał zgruchotał mu dłoń i przedramię lewej ręki uniesionej nad głową, jakby w geście obronnym. Rany były wyraźne, z ręki sterczały odłamki kości.

Jeżeli osobnik ów został zastrzelony, to oczywiście musiało się to zdarzyć całkiem niedawno; tak więc przypuszczenie, że w pewnych bezludnych rejonach Ziemi zachowały się jeszcze niedobitki praludzi, zyskiwałoby na wiarygodności, tym bardziej, że istnieją także ustne relacje świadków, którzy rzekomo zetknęli się oko w oko z podobnymi istotami.

Tajemnicze zwłoki, być może człowieka prehistorycznego, były oglądane nie tylko przez ciekawskich laików, lecz także fachowców – dwójkę biologów: Amerykanina Ivana Sandersona i Belga Bernarda Heuvelmansa.

Badali je przez trzy dni w grudniu 1968 roku w miejscowości Rollingston w stanie Minnesota podczas urządzonych tam pokazów. Właściciel zwłok nie chciał się zgodzić na ich rozmrożenie w celu wykonania sekcji ani użycie aparatu rentgenowskiego twierdząc, że faktycznie to nie on jest właścicielem, lecz ktoś inny, kto zapłacił za trupa mnóstwo pieniędzy – on miał zajmować się tylko organizowaniem pokazów.

Zanim F. Hansen zorientował się, że nie ma do czynienia z maniakami, lecz zawodowcami, Heuvelmans i Sanderson zdążyli dokonać skrupulatnych oględzin i przeprowadzić pomiary – po czym zabroniono im wstępu do furgonu.

Istota, której zwłoki oglądali, mierzyła 180 cm wzrostu i była potężnej postury – ocenili jej wagę na około 115 kg. Tułów osobnika, inaczej niż u współczesnych ludzi, zwężał się nie w pasie, lecz w biodrach. Szyja wydawała się bardzo krótka, co jest zgodne z naszą wiedzą o człowieku neandertalskim, uzyskaną na podstawie wykopalisk. Również żuchwa podobna była do żuchwy okazów kopalnych – masywna, szeroka i pozbawiona tzw. guzowatości bródkowej. Tak samo jak neandertalczyk, zamrożona istota miała szeroką twarz z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi.

Zagadkowy osobnik miał ciemnożółtawą karnację skóry, a jego ciało pokryte było długimi na 70 centymetrowymi włosami, porastającymi z rzadka co 1–2 milimetry. Nie owłosione były: twarz (chociaż na policzkach występowały rzadkie pojedyncze włoski), wewnętrzna strona dłoni, podeszwy, pachy i narządy płciowe. Te ostatnie wyraźnie typu ludzkiego, a nie małpiego. Dotyczy to również paznokci, które wydawały się jakby starte.

Włosy na piersiach układały się na prawo i lewo od "przedziałka" na środku klatki piersiowej.

Co ciekawe, dwie opuszki na podeszwie znajdowały się za paluchem, z czego wynika, że ruchami jego kierowały oddzielne mięśnie i, w odróżnieniu od małpy, istota ta stąpała głównie na przyśrodkowej stronie stóp.

Zgadza się to z odciskami stóp małpoluda z czasów czwartorzędu odkrytymi na Węgrzech oraz ze śladami rzekomo żyjących jeszcze praludzi w górach Kaukazu i Tien-szan. Przy tym, na wewnętrznej stronie dłoni, opuszka umiejscowiona była nie poniżej kciuka (jak u nas), ale przy małym palcu. Tak więc prehistoryczny człowiek chodził także na czworakach, podobnie jak małpa, opierając dłonie na zewnętrznych krawędziach.

Jedna rzecz wydaje się nadzwyczaj charakterystyczna. Według przypuszczeń naukowych przodkowie człowieka współczesnego umieli wydawać okrzyki, gwizdy, jęki, ryki i temu podobne dźwięki, ale nie byli jeszcze w stanie posługiwać się mową artykułowaną, tj. nie potrafili wymawiać słów. Rozwój mowy wykazuje silny związek z wykształceniem się praworęczności. Tak więc fakt, iż zabita istota zasłoniła się odruchowo przed strzałem lewą ręką, sugeruje, że była leworęczna – poszlaka, iż może się to wiązać właśnie z brakiem mowy.

Ivan Sanderson i Bernard Heuvelmans są przekonani, że zwłoki, które oglądali, były ciałem z krwi i kości, a nie gumową lub plastikową kukłą spreparowaną dla osiągnięcia korzyści finansowych. Prócz wielu zaskakujących podobieństw do kopalnych szczątków człowieka neandertalskiego i opisywanych przez świadków żywych praludzi, przemawiał za tym także wyraźny trupi odór rozkładającego się, mimo wszystko, ciała w miejscu, gdzie warstwa lodu była bardzo cienka. Obaj badacze nie mają wątpliwości, że oglądali jakiś okaz istoty zbliżonej do człowieka, a nie małpę. Podobnego zdania jest także radziecki naukowiec B. Porszniew, od wielu lat zajmujący się zbieraniem dowodów potwierdzających istnienie w bezludnych rejonach żywych, pierwotnych istot człekopodobnych, które wcale, jak twierdzi, nie wymarły z kretesem.

Co się stało z eksponatem F. Hansena? – nie wiadomo. Hansen przepadł gdzieś bez wieści, zabierając ze sobą tajemnicę, której rozwiązania prawdopodobnie także on sam nie znał. Być może zwłoki uległy rozkładowi i po prostu wyrzucił je...

# WĄŻ KAPITANA SEABURY'EGO

Opowadania o wężach wodnych zwykle uważane są za fantazję, ale tylko przez osoby, które nie zetknęły się ze sprawą statku "Monongahela" i jego niesamowitego połowu.

"The New Bedford Morning Mercury" był pierwszą gazetą, która opublikowała sprawozdanie z tej wyprawy w jednym z lutowych numerów 1853 r. – prawie rok po całym wydarzeniu.

Dane mówią, że kapitan Seabury, żeglarz doświadczony w wielu wyprawach, był dowódcą statku "Monongahela" tego fatalnego poranka 13 stycznia 1852, kiedy to jeden z majtków zwrócił jego uwagę na coś niezwykłego w wodzie, około pół mili od zatoki portowej. Kapitan Seabury spojrzał przez lunetę. Zobaczył ogromnego stwora jakiegoś dziwnego gatunku, który wił się w wodzie jakby w agonii. Statek płynął wolno w lekkich, choć zwodniczych, podmuchach bezwietrznej strefy Pacyfiku.

Żeby dokładniej przyjrzeć się morskiemu potworowi kapitan wysłał trzy łodzie. Sam również popłynął. Gdy przepływali obok stworzenia, wydał wszystkim łodziom rozkaz do ataku i jako pierwszy wbił swój harpun głęboko w ciało potwora. Jak zwykle w takich wypadkach, załogi wszystkich łodzi wiosłowały co sił, żeby uciec z zasięgu rozwścieczonego zwierzęcia.

W chwilę później ogromna głowa, długa na przeszło 3 m, wynurzyła się z kipieli i runęła na łodzie. Dwie z nich wywróciły się do góry dnem w ułamku sekundy. Potwór zanurkował. Kapitan Seabury uskoczył przed liną, którą stwór ciągnął z wbitym w jego cielsko harpunem. Patrzył z przerażeniem, że lada moment zabraknie liny, a wtedy razem z łodzią zatonie. Nagle stwór zatrzymał się, jakby osiągnął dno albo wyczerpał siły.

W czasie gdy toczyła się walka, "Monongahela" podpłynęła bliżej. Potwór nadal nie dawał żadnych oznak życia. Seabury rozkazał sztywno zamocować linę na "Monongaheli", a sam popłynął na spotkanie z kapitanem Samuelem Gavittem na "Rebecca Sims", która płynęła nie opodal.

Następnego ranka, zgodnie z tym co mówił kapitan Gavitt, "Monongahela" rozpoczęła wciąganie liny. Marynarze zdążyli wciągnąć zaledwie połowę liny, gdy ogromne zwłoki wypłynęły na powierzchnię. Był to gigantyczny, potworny zwierz, niepodobny do żadnego stworzenia żyjącego na ziemi lub w wodzie.

Kolosalne cielsko potwora miało około 15 m grubości i 35 m długości. Szyja o średnicy 3 m zakończona była 3 metrowej długości głową przypominającą łeb gigantycznego aligatora, zaś w olbrzymich szczękach naliczono 94 zęby. Wszystkie miały 8 cm długości i były wygięte do tyłu jak zęby węża.

Stworzenie było brązowoszare, z biegnącym wzdłuż całego ciała jasnym pasem o szerokości 1 m. Nie miało ani płetw, ani też żadnych innych kończyn. Przyjęto więc, że stwór poruszał się przy pomocy swego długiego na 4,5 m ogona – guzowatego tworu podobnego do ogona jesiotra.

Kapitan Seabury wydał rozkaz, by zwierzę rozciągnięto na pokładzie i przygotowano przyrządy do rozbierania wielorybów. Odcięto ogromny i budzący grozę łeb, zaś resztę zwłok wrzucono do morza. Przedtem jednak sporządzono rysunek potwora, pod którym cała załoga złożyła podpisy. Łeb został włożony do ogromnego słoja. Kapitan Seabury napisał raport o pojawieniu się i zabiciu potwora, a nastąpnie przekazał go kapitanowi Gavittowi, aby ten dostarczył go do "New Bedford", gdyż "Monongahela" musiała już ruszać w swój rejs.

Sprawozdanie kapitana dotarło bezpiecznie i zostało bez większego entuzjazmu wsadzone między inne akta. Ale, co stało się z "Monongahelą" i jej bezcennym skarbem – nigdy się nie dowiemy. Wiele lat później na brzegach wyspy Umnak znaleziono kawałek burty z nazwą statku. Los "Monongaheli" i potwora stały się kolejną tajemnicą morza.

# UPIORNY PTAK Z DOLINY RIO GRANDE

Armando Grimaldo upiera się, że kiedy to się stało, "nie był pijany, nie palił marihuany, ani nic z tych rzeczy". Siedział po prostu spokojnie na podwórku farmy swojej macochy i palił papierosa. Jego żona spała w domu. Była 22.30, 14 stycznia 1976 roku. Miejsce wydarzeń: Raymondville, w Dolinie Rio Grande, w Teksasie.

"To stało się nagle – mówi. Usłyszałem dźwięk podobny do łopotu skrzydeł nietoperza i coś w rodzaju gwizdu. Psy zaczęły ujadać. Rozejrzałem się dookoła, ale nic nie zobaczyłem. Nie mam pojęcia, dlaczego nie spojrzałam do góry. Uważam, że powinienem to zrobić, ale zamiast tego ruszyłem, żeby sprawdzić, czy nic się nie dzieje na tyłach budynku. Wtedy poczułem, że coś złapało mnie w szpony. Odwróciłem się, zobaczyłem to i chciałem uciekać. Nigdy w życiu nie byłem jeszcze śmiertelnie przerażony – to było pierwszy raz. To była najbardziej przerażająca rzecz, jaka kiedykolwiek mnie spotkała".

Grimaldo widział to dostatecznie długo, aby móc to później opisać. Było jego wzrostu (175 cm) i miało skrzydła o rozpiętości 3–3,5 metra. Z twarzy, czy jak to nazwać, przypominało małpę lub nietoperza. Miało okrągłe, czerwone, pałające oczy wielkości 5-7 cm. Miało też czarno-brązową skórę pozbawioną piór czy futra – tak samo odrażająco gładką jak skóra nietoperza.

Grimaldo zrobił niewiele więcej, niż mógł zrobić w tej sytuacji. Krzycząc ze strachu, padł twarzą na ziemię i zasłaniał się rękami przed atakiem latającego napastnika. Kiedy zerwał się do ucieczki, jego palto, spodnie i koszula były porozrywane. Wskoczył pod drzewo, zaś stwór, dysząc ciężko, zrezygnował z dalszego ataku i odleciał, wtapiając się w ciemność.

Christina, żona Grimalda, została wyrwana ze snu łomotaniem w drzwi wejściowe i krzykami jej męża, że coś spadło na niego z nieba i chciało go porwać lub zabić. Zadzwoniła po policję, która błyskawicznie znalazła się na miejscu wydarzenia. Policjanci zastali Grimaldo w stanie szoku – bełkotał w kółko jak obłąkany pajaro... pajaro... pajaro (po hiszpańsku: ptak). Był w tak złym stanie, że zabrano go do szpitala. Przez dwa następne dni był chory i leżał w łóżku.

Grimaldo nie był pierwszym Teksańczykiem, który natknął się na podobnego stwora latającego. Nie sprawdzone pogłoski o upiornym Wielkim Ptaku krążyły w Dolinie Rio Grande przynajmniej od listopada 1975 roku. Miejscowe gazety pisały o niesamowitym stworzeniu wysokim, według robionych na gorąco ocen, na jakieś 1,3 metra, z ciałem ptaka, ale z ludzką głową.

Natychmiast powiązano te doniesienia z pewnym dziwnym wypadkiem z 26 grudnia 1975 roku, który miał miejsce na farmie Joe Suareza, także mieszkańca Raymondville. Wieczorem zamknął, jak zwykle, w corralu swoją kozę i poszedł spać. Kiedy rankiem wyszedł z domu, by ją wypuścić – leżała martwa, w kałuży krwi, prawie rozerwana na kawałki. Coś musiało ją tak zmasakrować całkiem niedawno, jako że krew była nie zaschnięta i jeszcze ciepła. Policja, która przybyła dokonać oględzin, stwierdziła, że brakowało serca i płuc, a głowa kozy została odcięta. Zwrócono też uwagę na jeden wielce wymowny szczegół: na ziemi nie było żadnych śladów, jakby coś, co poszarpało kozę, spadło z nieba.

1 stycznia 1976 roku, czternaście dni przed obserwacją Grimaldo, najwyraźniej ten sam upiorny ptak widziany był w okolicy Harlingen przez dwójkę dzieciaków: jedenastoletnią Tracey Lawson i jej kuzynkę, czternastoletnią Jackie Davies.

W przeciwieństwie do pozostałych, incydent ów wydarzył się nie w godzinach wieczornych lub nocnych – lecz w biały dzień.

Dziewczynki bawiły się na podwórku domostwa Lawsonów, zaś ich rodzice spali po noworocznej zabawie. W pewnej chwili Tracey zauważyła coś niezwykłego, stojącego w odległości paruset metrów. Wbiegła do domu, zabrała lornetkę i kiedy nastawiła ostrość, zobaczyła coś w rodzaju olbrzymiego czarnego ptaka o "przerażającym wyglądzie". Miał ponad 1,5 m wysokości, wielkie czerwone oczyska i ogromne skrzydła. Twarz wydawała się szarawa i była podobna do twarzy goryla. Dziób był gruby i ostro zakończony. Głowa łysa. W pewnej chwili stwór wydał z siebie przenikliwy, głośny krzyk – coś w rodzaju skrzeczenia: eeeeeee...!

Następną rzeczą, jaką zobaczyły dziewczynki, było to, jak stwór biegł lub nisko leciał, pojawiając się i znikając między zabudowaniami. Dziewczęta wbiegły do domu i przestraszone nie wychodziły na dwór, dopóki nie obudzili się rodzice, którzy nie potraktowali jednak ich opowieści poważnie. Z wyjątkiem ojczyma Jackie. Ciągle wprawdzie sceptyczny, poszedł jednak w miejsce wskazane przez dziewczęta, a kiedy wrócił nie był już tak pewny siebie: na ziemi były ślady .

Pierwsze trzy tuż za płotem. Czwarty jakieś dwadzieścia metrów dalej w głębi pola, a piąty dwadzieścia metrów za nim. Ślady były trzypalczaste i zagłębione prawie na 4 cm w ziemi. Stan Lawson, ojciec Tracey, człowiek ważący 80 kg, postawił swoją stopę obok odcisku ptasiego pazura i stanął na jednej nodze: jego but praktycznie nie zagłębił się w gruncie. "To coś, musiało nieźle ważyć" – powiedział później. Zauważył, że coś dziwnego stało się też z jego psem. Jak nigdy dotąd siedział cicho w swojej budzie, jakby bał się wyjść. Zdołał go namówić do wyjścia dopiero wówczas, gdy przyniósł mu jedzenie. Tej nocy za otwartym oknem swojej sypialni usłyszał dźwięk przypominający łopot ogromnych skrzydeł. Podbiegł do okna, odsunął zasłonę i wyjrzał, ale nic nie zobaczył. Nie pamięta, czy było to już przedtem, ale kiedy obudził się rano, zasłona w oknie była rozdarta.

Chyba już nigdy nie dowiemy się, co tej nocy grzmotnęło w dach samochodu sierżanta policji Sama Esparzy mieszkającego w najbliższym sąsiedztwie domu Lawsonów. Wiadomo natomiast co uderzyło w dach ciężarówki niejakiego Alverico Guajardo, również mieszkańca Doliny Rio Grande, który, w przeciwieństwie do leniwego sierżanta policji, wybiegł natychmiast z domu, kiedy usłyszał, że "coś walnęło w ciężarówkę, jakby ktoś rzucił w nią workiem cementu".

Guajardo wyszedł na zewnątrz i nie mając latarki, wsiadł do swojego samochodu osobowego, wolno okrążył ciężarówkę i skierował reflektory w podejrzane miejsce. Kiedy rozbłysło oślepiające światło zobaczył "coś z innej planety". Kiedy światła uderzyły weń, stwór podniósł się i runął w kierunku kierowcy, błyskając czerwonymi oczami wielkości srebrnej dolarówki. Przez następne dwie lub trzy minuty stworzenie stało i wlepiało swoje oczy w człowieka, który ze strachu nie mógł zrobić żadnego ruchu.

Stwór mierzył około 1,3 metra wzrostu, miał czarną skórę i dziób o metrowej długości. Z jego gardła wydobywał się "przerażająco brzmiący dźwięk" i widać było, jak krtań pulsuje. Ramiona otaczały długie, nietoperzopodobne skrzydła. Na koniec stworzenie cofnęło się i zaczęło odchodzić. Kiedy Guajardo zebrał się wreszcie w garść i ruszył w stronę najbliższego domu, ptasiopodobny upiór znikał w mroku nocy.

Następnego ranka reporter miejscowej gazety "Brownsville Herald" po przeprowadzeniu wywiadu z Guajardo powiedział: "To nie jest żadna głupia gadka. Ten facet naprawdę coś widział. Jest najbardziej przekonującym świadkiem spotkania z Wielkim Ptakiem, z jakim kiedykolwiek rozmawiałem. Jeśli któraś z tych historii jest prawdziwa – to właśnie ta".

Od czasu do czasu przyroda płata figle i rodzi się jakiś dziwoląg: a to kot ze skrzydłami, to cielę z dwiema głowami lub inne biologiczne niesamowitości. Czy w tym wypadku przyroda sprawiła nam takiego figla i w Dolinie Rio Grande szalał jakiś ptasi odpowiednik Quasimodo – ohydnego dzwonnika z Notre-Dame? Od kiedy człowiek zaczął przeprowadzać próby z bombami atomowymi, mutacje wśród roślin i zwierząt wyraźnie się nasiliły. A może było to coś całkiem innego? Kto wie co wylezie na nas jutro z ciemności...

# ODCISKI STÓP DIABŁA

Spokojni mieszkańcy wyspy Canvey nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Wyciągnęli bestię z płytkiej wody i pociągnęli wzdłuż plaży, następnie przykryli wodorostami i posłali po lokalne władze.

Miejscowe władze zwróciły się po pomoc do Londynu, zaś rząd Wielkiej Brytanii zadanie wyjaśnienia tak dziwnej zagadki powierzył parze kompetentnych zoologów. Zoolodzy przebadali niezwykłego stwora wzdłuż i wszerz, zrobili zdjęcia i przyznali, że coś takiego widzą pierwszy raz w życiu.

Stworzenie wyglądało na zwierzę morskie, ale miało stopy i nogi uformowane w taki sposób, iż mogłoby chodzić, gdyby tylko sobie tego zażyczyło. W wyprostowanej pozycji mierzyło około 80 cm, miało grubą, brązowo-czerwoną skórę i miąższowatą głowę z parą wystających oczu. Naukowcy przeprowadzili pomiary, porobili zdjęcia... i poddali się. Zwłoki stwora zostały spalone.

Ale jeśli ktoś sądził, że w ten sposób sprawa bestii z wyspy Canvey zostanie zapomniana, to się pomylił.

11 sierpnia 1954 roku wielebny Joseph Overs przechadzał się po plaży na Canvey Island, kilka kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono stwora. Naraz natknął się na groteskowe martwe ciało zwierzęcia, przewalające się w małej sadzawce utworzonej przez przypływ. Ten dobry człek zerknął tylko na owo stworzenie i natychmiast wysłał jednego z młodzieńców po policję. Policjanci wyciągnęli zwłoki na brzeg i, jak za pierwszym razem, posłali po ekspertów.

Stworzenie, które znaleziono poprzednio, miało jakieś 80 cm wysokości. Drugie – nieco poniżej 1,3 m. Ważyło około 11 kg i było w stanie nadającym się do przeprowadzenia badań. W raporcie, który zakłopotani naukowcy przedłożyli rządowi brytyjskiemu, stwierdza się, że stworzenie miało dwoje oczu, otwory nosowe i rozwartą jamę gębową z silnymi i ostrymi zębami.

To coś posiadało także skrzela, ale zamiast łuską, pokryte było różową skórą, twardą jak skóra zdrowej świni. Ale chyba najbardziej wartym zanotowania był fakt, iż stwór ów, tak samo jak poprzedni, miał dwie krótkie nogi z jak najbardziej prawidłowo wykształconymi stopami zakończonymi pięcioma małymi palcami ułożonymi w kształcie litery U.

Ponieważ nikt nie był w stanie zidentyfikować niesamowitych stworzeń, raport z ich badań nigdy nie został podany do publicznej wiadomości. Jednakże wiele osób, które zetknęły się z owymi zagadkowymi stworami, skojarzyło je sobie z wydarzeniami pewnej lutowej nocy 1855 r., kiedy to okolice angielskiego hrabstwa Devonshire nawiedził dziwny gość, który mógł być spokrewniony ze stworzeniami znalezionymi 100 lat później na brzegach wyspy Canvey.

W historii tej chodzi o ciąg małych odcisków stóp na śnieżnym kobiercu, jaki utworzył się nocą 7 lutego w całej okolicy. Śnieg przestał padać owej nocy gdzieś około 23.00 i między tą godziną a świtem Devonshire dało gościnę jakiemuś zagadkowemu przybyszowi ...czemuś, co biegło przez ogrodzenie, pola, po ścianach i dachach domów... pozostawiając za sobą nieprzerwaną linię odcisków stóp, jakby chciało udokumentować swoją obecność.

Co to mogło być?... Jaka istota mogła żwawo wędrować po ziemi, ścianach i dachach domów bogobojnych i dobrych ludzi Devonshire, gdy wszyscy spali. Skąd to coś przyszło i dokąd poszło? Skąd przybyło, pozostanie zagadką, ale dokąd poszło, zostało zapisane na śniegu: od Topsham i Bicton na północy do Dawles i Totnes na południu... szlak długi na ponad 160 kilometrów.

Piekarz z Topsham był pierwszą osobą, która zauważyła ów dziwny trop. Spostrzegł on jakieś niezwykłe znaki na śniegu, które prowadziły koło drzwi jego małego sklepiku, po czym ostro skręcały w prawo w stronę półtorametrowej wysokości muru – delikatna czapa śniegu na murze była naruszona przez te same małe odciski. Piekarz nie był zbytnio zaniepokojony tą dziwną rzeczą. Inni nie byli jednak tak spokojni.

Przed zmrokiem w całej okolicy podniósł się alarm – niektórzy z mieszkańców przypisywali odciski na śniegu samemu diabłu. Małe znaki w kształcie podkowy w równych odstępach 20 cm ciągnęły się od... Exmouth... poprzez pola i dachy domów... do zatoki w pobliżu Powderham Castle... aby pojawić się na nowo po drugiej stronie zatoki i tam ciągnąć się aż do Totnes... wiele kilometrów na południe.

Londyński "Times" i inne gazety poświęciły wiele kolumn tej dziwnej historii w Devonshire. Pojawiły się próby wyjaśnienia tego zjawiska. Trop ten przypisywano wilkom, ptakom, a nawet kangurom. Jednak żadna z hipotez nie mogła być zaakceptowana, gdyż żadna nie pasowała do faktów. Jedno tylko było pewne: ktoś lub coś biegło przez pola, przebiegając przez dachy, na odcinku 160 kilometrów, po czym weszło do wody i nikt już o nim nigdy nie usłyszał.

Chyba że były to istoty tego samego rodzaju, których przedstawicieli znaleziono na brzegu wyspy Convey w 1953 i 1954 roku. Ale nawet gdyby tak było, nie rozwikłana pozostaje główna tajemnica spowita mrokiem naszej niewiedzy – zagadka samych tych istot.

# Tajemnicze miejsca

# ZAGADKA SKAŁY W DIGHTON

Od wielu lat wysiłki uczonych, żeby odczytać napis wyryty na Skale w Dighton, nie przynoszą żadnych rezultatów. Jeśli kiedykolwiek próba odczytania go powiedzie się, wówczas historia wzbogaci się o nowy, fascynujący rozdział.

Napis na Skale w Dighton liczy sobie ładnych kilka wieków; co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ktoś pracowicie spędził kilka miesięcy, wykuwając w Skale znaki, cokolwiek one oznaczają, metalowym nieznanym bliżej narzędziem, na brzegu morza, gdzie rzeka Taunton wpada do ujścia Assonet, w Massachussetts. Wierzchołek Skały wystaje nad powierzchnię wody nawet w czasie przypływu. Pismo widać najlepiej kiedy słońce świeci ukośnie.

Spory o wyrytą treść na Skale trwają od 1690 roku. Wtedy to słynny kaznodzieja, Cotton Mather, napisał: "Jedną z ciekawostek Nowej Anglii jest potężna skała, częściowo zakryta wodą podczas dużego przypływu. Na jej płaskim szczycie widnieje dziesięć głęboko wyrytych wersetów, niemal na trzy i pół metra wysokich, zapisanych dziwnymi znakami, których kształt przywodzi na myśl ludzi, którzy byli tu przed nami".

Nikt z żyjących nie wie kiedy, ani jak powstał ten zagadkowy pomnik. Od czasów Cottona Mathera nie ustają domysły co do pochodzenia i przeznaczenia zagadkowego napisu; niektóre hipotezy są bardzo interesujące i warto o nich opowiedzieć, nawet jeśli nie dają właściwego rozwiązania.

Autorem pierwszej próby rozwiązania zagadki Skały w Dighton był hrabia De Gebelin z Paryża, który przyjechał, zachwycił się i odjechał, żeby przemyśleć całą sprawę. Po jakimś czasie oznajmił, że rozszyfrował znaki. Według niego żelgarze z Kartaginy, którzy żyli przez pewien czas wśród Indian na wybrzeżu Massachussetts, napisali na Skale o tym, jak radzili się wyroczni, czy pozostać, czy też wrócić do Kartaginy. Było to przypuszczenie ciekawe, ale mało prawdopodobne.

W 1807 roku Samuel Harris Junior z Harvardu przedstawił inną interpretację. Twierdził, że napis sięga czasów starożytnych i jest sporządzony w języku hebrajskim. Podobno dopatrzył się fenickich liter i słów oznaczających kapłana, króla i bóstwo.

Następne rozwiązanie zostało ogłoszone po dwudziestu czterech latach. Ira Hill, nauczyciel z Maryland, zaintrygowany dziwnym pismem, spróbował dać jeszcze jedno wyjaśnienie. Zwrócił uwagę na fragment Starego Testamentu, opowiadający o tym, jak Hiram i Salomon wysłali ekspedycję po złoto Ofiru. Hill był przekonany, że tekst na Skale w Dighton jest opowieścią o tej wyprawie, która zresztą zamiast do Ofiru dotarła do Massachussetts.

Szczęśliwie dla późniejszych badaczy, w 1690 roku pewien pastor zrobił dokładny szkic napisu skalnego. Dzięki niemu badania nad tekstem są możliwe nawet dzisiaj, gdyż wichry i fale zdołały zniszczyć niektóre fragmenty napisu.

Wszyscy zgadzają się, że znaki zrobione są celowo i pochodzą z odległych czasów. Nie wydaje się, żeby ich autorem mógł być Indianin, ponieważ użyto narzędzia nie znanego plemionom Ameryki Północnej. Warto również zaznaczyć, że napis wyryto po tej stronie skały, która zwrócona jest ku morzu, czyli umieszczono go tak, żeby każdy statek poszukujący przystani i wody pitnej mógł go z łatwością zauważyć.

W 1837 roku duński uczony Carl Rafn opublikował pracę wiążącą historię napisu z wyprawą Leifa Szczęśliwego, który dopłynął w roku 1000-ym do wybrzeży Ameryki Północnej. Według Rafna i jego współpracowników na Skale w Dighton widnieją runy opisujące zwycięską wyprawę Thorfina, przywódcy skandynawskich kolonistów, który z drużyną 151 wojowników pokonał Indian. Ta interpretacja ma jednak słaby punkt; napis zawiera rzymskie cyfry 131, które Rafn wziął za runiczną liczbę 151.

Napis na Skale w Dighton tak elastycznie poddaje się zupełnie sprzecznym interpretacjom, jakby wykuty był nie w głazie, lecz wyżłobiony w gumie. Do tak odległych od siebie teorii, jak biblijna wyprawa i podbój Wikingów, doszła jeszcze jedna, przedstawiona przez indiańskiego mędrca – Chingwauka z plemienia Alqonquin. Poproszony przez historyka Henry'ego Schoolcrafta o wypowiedź na temat Skały w Dighton, Chingwauk natychmiast wystąpił z teorią, że napis upamiętnia wielką bitwę między dwoma narodami indiańskimi. Ta odpowiedź wydaje się jeszcze bardziej fantastyczna niż poprzednie.

Najnowszą próbą odczytania napisu jest praca profesora E.B. Delabarre z Brown Uniwersity. Profesor najpierw systematycznie obala poprzednie teorie, a potem stwierdza, że znaki opisują historię Migulea Cortereala, "z woli Bożej przywódcy Indian". Być może jest to prawda. Cortereal nigdy nie powrócił do Portugalii. Starannie wyryte na skale znaki być może opowiedzą jego historię temu, kto potrafi po czterech wiekach je odczytać.

Profesor Delabarre jednak przyznał: "O treści napisu z Dighton można dyskutować bez końca, wszystko zależy od tego, jak się nań spojrzy".

# SKARB W STUDNI

Jeśli pragniesz złota, prawdziwego złota, które chcesz wydobyć i stać się jego właścicielem, to Oak Island – Wyspa Dębów może okazać się dla ciebie żyzną oazą. Jak przysłowiowy miraż na pustyni, złoto często jest ułudą, jednak na Oak Island znajduje się ono bez wątpienia! Jedynie nieliczni szczęśliwcy dotknęli go. Pozostali poszukiwacze, choć wyposażeni w nowoczesny sprzęt, obserwowali tylko, jak wskazówki elektronicznych urządzeń drgały w rytmie ich poddenerwowanych serc i musieli przyznać się do porażki. Skarb z Oak Island jest bowiem tak sprytnie ukryty, że obraca wniwecz wszelkie wysiłki wydobycia go od prawie dwustu lat. Skarb jest, a nie można go dotknąć.

Wyspa Dębów jest małym, skalistym wzgórzem wystającym z chłodnych, błękitnych wód zatoki Mahone w południowej Nowej Szkocji. Do 1795 roku nikt nie przykładał wagi do tego skrawka ziemi. W kwietniu tegoż roku, pewnego pogodnego, niedzielnego poranka trzech młodych ludzi powiosłowało w stronę wyspy. Mieli tego żałować do końca życia.

Tony Vaugham, Danny McGinnis i Jack Smith wiedzieli, że Oak Island była wykorzystywana jako kryjówka i przystań przez piratów, którzy w owych czasach stanowili prawdziwą plagę mórz. Piraci zarzucali kotwicę w jednej z dogodnych głębokich zatoczek na północnym krańcu wyspy, wystawiali czujkę na najwyższym drzewie i spokojnie mogli zająć się przeładunkiem łupów ze statku w jakieś względnie bezpieczne miejsce.

Jak niosła plotka, pojawiali się tam Teach, Morgan, Steve Bonney i wielu innych słynnych morskich rozbójników. Przybywali oni i handlowali z obrotnymi mieszkańcami Nowej Szkocji, a miejscowym władzom płacili hojnie za przymykanie oczu na ich postoje na Wyspie Dębów.

Z czasem piratów powywieszano bądź przegnano z mórz i kiedy Smith, Vaugham i McGinnis przypłynęli na wyspę w 1795 roku, wiedzieli, że nie było tam żadnych morskich rozbójników, oficjalnie czy nieoficjalnie, przynajmniej od siedmiu lat. Wiedzieli również, że piraci pozostawili po sobie wiele śladów: pistolety, noże, a czasami z piasku na małej plaży – gdzie grali w kości, bili się i pili – można było wygrzebać jedną lub dwie złote monety.

To Tony Vaugham zwrócił uwagę swych towarzyszy na przetarte miejsce na konarze wielkiego dębu i na zagłębienie w ziemi dokładnie pod tym konarem. Zgodnie stwierdzili, że przez konar były prawdopodobnie przerzucane grube liny, na których opuszczano coś do dołu, dokładnie potem zasypanego.

Pracując spokojnie w wolnym czasie, trzech młodych ludzi w ciągu kilku lat wykopało studnię o głębokości 11 m. W 1803 roku Smith powiedział doktorowi Johnowi Lyndowi o ich dziwnym znalezisku i o grubych warstwach mat z włókien kokosowych, które odkryli 11 m pod powierzchnią ziemi. Dzień, w którym dr Lynd po raz pierwszy stanął nad studnią, stał się jego przekleństwem – w ciągu następnych lat wydał cały swój majątek, poszukując skarbu, co do istnienia którego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Opłaceni przez doktora robotnicy wyciągali z kolejnych poziomów studni warstwy ciężkiej tarcicy dębowej, warstwy okrętowego kitu i wiele grubych, twardych warstw włókna kokosowego sprowadzonego prawdopodobnie przez piratów z Indii Zachodnich, odległych o 3600 km. Pod warstwą tarcicy dębowej, na poziomie 25 m, robotnicy znaleźli płaski kamień pokryty niezrozumiałymi hieroglifami. Złota nadal nie było...

Gdy fundusze niemal całkowicie się wyczerpały, dr Lynd spróbował ostatniej szansy. Sprowadził wielki świder, który wwiercił się 31 m w głąb ziemi, przedarł przez warstwę kruchego wapienia oraz twardego drewna, a następnie dotarł do podziemnej komory. Kolejny obrót świdra ścigającego się z wodą, której poziom w studni zaczął gwałtownie wzrastać, przyniósł kilka drobinek złota i kawałek papieru, a w chwilę później... katastrofę. Woda wdarła się do studni z taką siłą, że zatopiła trzech robotników.

Dr Lynd zbankrutował. Niczego nie osiągnął, a poświęcił swój majątek i dziewięć lat życia, by udowodnić, że złoto znajdowało się w czymś w rodzaju piwnicy zbudowanej przez ludzi, na głębokości około 30 m, pod starym, naznaczonym dębem.

Minęło czterdzieści sześć lat. Dr Lynd był w stanie spróbować swych sił ponownie. W epoce gorączki złota w 1840 roku, stary i wyniszczony reumatyzmem, zebrał niewielką grupę ludzi, którzy poparli go finansowo. Robotnicy ponownie otworzyli zawalony szyb, pogłębili go i dotarli do warstwy cementu. Świder przedarł się do tej samej komory, wydobył fragment złotego łańcucha i... kiedy sukces wydawał się być na wyciągnięcie dłoni, woda znów zalała szyb, niwecząc całe przedsięwzięcie.

Inni poszukiwacze skarbów, w tym prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt, stracili tam mnóstwo czasu i pieniędzy. Potwierdzili oni, iż złoto rzeczywiście jest na Oak Island, że sprytnie chroni je morska woda doprowadzona pomysłowo kanałami i że... prawdopodobnie tam pozostanie. W 1957 roku inżynierowie stwierdzili: złoto na Oak Island jest w takim samym stopniu prawdziwe, co nieosiągalne.

Nie zraziło to jednak poszukiwaczy. W 1959 roku Bon Restall zamieszkał na Oak Island, oczyścił pięćdziesięciometrowy stary szyb i wykopał osiem ośmiometrowych dołów, by zakorkować kanały doprowadzające wodę. Zginął w 1965 roku wraz ze swym synem i dwoma robotnikami na skutek śmiertelnego zatrucia spalinami pompy wodnej, podczas pracy w jednym z szybów.

W tym samym roku skarbowi z Wyspy Dąbów rzucił wyzwanie Robert Dunfield, geolog z Los Angeles, który sprowadził na wyspę 70-tonowy żuraw. Mimo podjęcia olbrzymiego wysiłku, musiał uznać się za pokonanego.

W 1971 roku do wydobycia skarbu zawiązała się spółka Triton Alliance, z kapitałem liczącym pół miliona dolarów. W wyniku prac z jamy wydobyto kamienne serce, w którym naukowcy ze Smithsonian Institute w Waszyngtonie rozpoznali znak piratów umieszczany przez nich u wejścia do schowków zwanych "pirackimi bankami". Do jamy spuszczono także kamerę telewizyjną, która zarejestrowała obraz jakiejś pieczary, w niej trzy skrzynie i pływającą w wodzie rękę ludzką. Ale na tym sukcesy Triton Alliance właściwie się zakończyły.

Dziś w 1990 r. jama skarbów, dzieło jakiegoś nieznanego, genialnego inżyniera sprzed wieków, ciągle pozostaje nie zdobyta, zaś zagadka, kto i co w niej ukrył – jest nadal nie wyjaśniona.

# GŁOŚNE PIASKI

Są takie miejsca na Ziemi, gdzie zwykły piasek ma prawie magiczne, muzyczne właściwości. O piaskach buczących, ryczących, szczekających, piszczących i świszczących mówi się w mrocznych legendach, podaniach ludowych i opowieściach wędrowców od ponad 1500 lat – najwcześniejsze wzmianki znaleziono w kronikach Chin i Środkowego Wschodu. Marco Polo opisuje, jak zetknął się z tym zjawiskiem podczas podróży przez pustynię Gobi; Charles Darwin wspomina o nim, pisząc o podróży po Chile; pojawia się ono także w twórczości Henry'ego Davida Thoreau.

Legendy bardziej działające na wyobraźnię mówią o "pieśni pustyni", o jękach bóstw podziemia wśród nocnej ciszy, o magicznych zaklęciach duchów, o biciu w bębny w podziemnych grotach lub o głosach dzwonów zasypanego przez piachy klasztoru.

W rzeczywistości dźwięki powstają, gdy piasek przemieszcza się w dół spadzistych powierzchni niektórych rzadkich wydm lub piaszczystych zasp, znanych jako buczące wydmy. Brytyjski fizyk R.A. Bagnold dwukrotnie doświadczył tego osobiście w południowo-zachodnim Egipcie: "...Zdarzyło się to cichą, spokojną nocą. Nagle, wibrujące buczenie było tak głośne, że musiałem krzyczeć, aby usłyszał mnie mój towarzysz. Wkrótce potem odezwały się inne dźwięki i do pierwszych odgłosów dołączyły one swą muzykę na tak podobną nutę, że wyraźnie wyczuwalny był powolny takt. Ten przedziwny chór trwał przez około 5 minut – po czym ponownie nastała cisza i ziemia przestała drżeć".

Optycznie nie można odróżnić wydm piasku buczącego od wydm zwykłego piasku. Podstawowe różnice między ziarenkami poszczególnych rodzajów piasków ujawnia dopiero skaningowy mikroskop elektronowy.

W literaturze wymienia się trzydzieści jeden miejsc występowania buczących wydm, w większości przypadków na Środkowym Wschodzie i w Afryce. W USA są cztery takie miejsca: w stanach Kalifornia i Nevada oraz dwa na Hawajach.

Aby piaski buczące wydawały dźwięki, niezbędnym warunkiem jest susza. Deszcz lub nawet wilgotność wykluczają buczenie. Buczenie może powstawać spontanicznie, w wyniku naturalnego przemieszczania się piasku na zawietrznej stronie wydm, tam gdzie utworzył on zbocze osiągające maksymalny kąt pochylenia. Można je także spowodować, np. spychając piasek w dół. Da się wtedy słyszeć głośny, grzmiący odgłos, przypominający dźwięki staccato zagrane na tubie kontrabasowej.

Ciągłe przemieszczanie się piasku na wydmie buczącej powoduje wydawanie odgłosów o niskich częstotliwościach (około 50–100 Hz, czyli cykli na sekundę), które mogą przypominać czyste tony organów rurowych albo skrzypiec basowych. W niektórych przypadkach występowanie alikwot może sugerować brzęczenie trzmieli albo warkot przelatującego nad głową śmigłowca. Wydawaniu dźwięków przez wydmy towarzyszą fale sejsmiczne – wibracje ziemi, które mogą być odczuwane przez stopy czy dłonie jako łagodne wstrząsy elektryczne.

Intensywność i czas trwania takich dźwięków zależy od pola powierzchni przemieszczającego się piasku. Przemieszczanie się kilku metrów kwadratowych piasku powoduje wydawanie dźwięków słyszalnych na odległość 50–100 metrów, podczas gdy duże "lawiny" na wydmach w Chinach lub na Środkowym Wschodzie "odpowiedzialne za odległy turkot wozów, bicie w bębny albo grzmoty pioruna", są słyszalne i odczuwane na odległość do 16 kilometrów.

Natomiast bardziej znane dźwięki plażowego piasku piszczącego – krótkie tony o częstotliwości około 1000 Hz – słyszalne są na odległość nie większą niż kilkadziesiąt metrów. Najkorzystniejsze warunki plażowego muzykowania spełnia suchy piasek tuż ponad poziomem maksymalnego przypływu, zwłaszcza w ciepłe i słoneczne dni po przelotnym deszczu.

Pomimo że nie ma już dziś wątpliwości co do muzycznych właściwości piasków, jak dotąd nie jest znana dokładna i pewna metoda, dzięki której mechaniczna energia przemieszczających się wyszlifowanych ziarenek zamieniona zostaje na łączące się ze sobą wibracje.

Teorie dotyczące piasków wydających dźwięki są w najlepszym przypadku tymczasowe. Ostatnie badania naukowe koncentrowały się na dokładnej analizie wielkości, kształtów i struktury ziarenek oraz na sposobach, w jakich odpowiednia mieszanina cząsteczek gromadzi się na plaży lub wydmie. Dokonano rejestracji zarówno akustycznych, jak i sejsmicznych efektów działania wydm buczących, a podobne badania piasku piszczącego zostały przeprowadzone w laboratoriach. Nie ma obecnie żadnej powszechnie uznawanej teorii – tylko hipotezy i domysły...

# STREFA CISZY

Meksyk jest krajem tajemnic. Zaś jedną z najbardziej intrygujących zagadek tego kraju jest "Strefa ciszy", nazwana tak z powodu zaniku transmisji radiowych w tym rejonie.

"Strefa ciszy" znajduje się na południe od miasta Jimenez. Otoczona jest przez stany: Chinauhna, Durango i Coahuila; dokładnie leży na 23°40' szerokości i 103°45' długości geograficznej. Rozciąga się na 22 km na północ i około 300 km na południowy-wschód od miasta Chinauhna.

Oprócz ciszy radiowej w strefie tej występują także inne niezwykłe zjawiska, które spowodowały ogromne zainteresowanie mieszkańców Meksyku i zagranicznych naukowców. Wszystko zaczęło się na początku lipca 1970 roku w bazie nuklearnej w stanie Utah, gdzie odbywały się przygotowania do realizacji ważnego projektu.

Rakieta Atena z głowicą nuklearną została wystrzelona o świcie 11 lipca 1970 r. Zaprogramowany tor pocisku miał zaprowadzić rakietę na teren White Sands w Nowym Meksyku w godzinę po wystrzeleniu. Zgubiono jednak ślad rakiety, która nie dotarła do miejsca swojego przeznaczenia. Po wielu skrupulatnych badaniach stwierdzono, że rakieta musiała spaść w rejonie na północ od miasta Gomez Palacio w stanie Durango w Meksyku. Przez wiele tygodni armia robotników przeczesywała każdy metr tego pustynnego rejonu. 2 sierpnia 1970 roku rakieta została znaleziona wewnątrz krateru, koło miasta Ceballos, w stanie Durango.

Dzięki grupie amerykańskich techników szczątki rakiety Atena zostały usunięte.

Nie rozwiązano jednak głównego problemu, ciągle bowiem nie znano odpowiedzi na pytanie: dlaczego rakieta zboczyła z kursu? Dlaczego poleciała i spadła dokładnie w "Strefie ciszy"? Czy nie jest podejrzane, że amerykańska technologia, umożliwiająca dotarcie człowieka na Księżyc na odległość 400.000 km, pozwoliła rakiecie zboczyć z kursu o 1.200 km? Czy był to niemożliwy do przewidzenia błąd, czy też kryje się za tym coś innego?

Przypadek rakiety Atena jest być może jeszcze jednym z niezliczonej ilości dziwnych zjawisk, które zdarzają się w tej strefie. W każdym razie owo wydarzenie na nowo rozbudziło zainteresowanie tajemnicami tego rejonu: pojawiają się tu jakieś światła o wielkiej intensywności w środku nocy, występuje wyjątkowa akumulacja meteorytów, przerwy w przekazywaniu fal radiowych, fantastyczne mutacje fauny i flory...

Siedem lat wcześniej Harry Augustus De La Pena, inżynier metalurg i chemik w jednej osobie, przebywał w tym rejonie przeprowadzając badania w poszukiwaniu złóż ropy, kiedy jego radio przestało odbierać stację z Ceballos. Po przejechaniu pewnej odległości, transmisja znów się pojawiła, jak gdyby nic się nie stało. Zaintrygowany De La Pena zorganizował ekspedycję. Wziął w niej udział również inny naukowiec, dr Luis Maeda – szef Wydziału Antropologii w Centrum Kulturowym w La Laguna.

Wyposażeni w silny odbiornik udali się do tego rejonu i zjawisko zaniku fal wystąpiło ponownie. Odbiornik milczał.

Hipoteza De La Peny była następująca: zanik fal jest spowodowany olbrzymią koncentracją magnetycznego żelaza pod ziemią, które wytwarza coś na podobieństwo wiru magnetycznego. Teoria ta nie została potwierdzona. Współwystępowanie innych zjawisk skomplikowało tylko tajemnicę. Badania wykazały, że pewne okazy fauny i flory z tego rejonu różnią się całkowicie od swoich odpowiedników z sąsiednich rejonów. Tych różnic również nie potrafiono wyjaśnić. Zaobserwowano, że żółwie z terenu Ceballos mają na skorupach wzór trójkąta, w przeciwieństwie do normalnego wzoru, jakim jest nieregularny pięciokąt i sześciokąt. Krocionogi z tego rejonu mają purpurową pigmentację, różną od normalnych okazów. Także flora wykazywała podobne mutacje. Badacze stwierdzili, że takie zjawiska występują w tym rejonie nader często. W wyniku badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Kalifornijskim, żółwie z Ceballos zakwalifikowano jako nowy gatunek. Dalsze badania odkryły jednak coś nieprawdopodobnego: gdy "nowy gatunek z Ceballos" rozmnożył się poza "Strefą ciszy", potomstwo odzyskało swój normalny wzór na skorupie! Badacze wysunęli teorię, że mutacje spowodowane są wysokim poziomem energii w tym rejonie, ale nikt nie mógł zgodzić się co do źródła tej energii – czy pochodziła z wnętrza Ziemi, czy z przestrzeni kosmicznej?

De La Pena przychylał się do opinii, że było to spowodowane wpływem promieniowania kosmicznego.

Wkrótce kolejne, coraz bardziej zadziwiające zagadki zaczęły zaskakiwać naukowców. W "Strefie ciszy" występują kawałki czarnych skał z bardzo błyszczącą teksturą. Miejscowi nazywają te skały *guijolas*. Analizy laboratoryjne wykazały, że *guijolas* zawierają wiele minerałów metalicznych; stwierdzono również, że te dziwne skały pochodzą z przestrzeni kosmicznej. Nie było na nich pyłu, nie były zakopane lub osadzone w gruncie, po prostu leżały na ziemi.

Ustalono także, że "Strefa ciszy" jest czymś w rodzaju otwartych drzwi do przestrzeni kosmicznej. W rejonie tym występuje wyjątkowa obfitość meteorytów. Niektóre z nich są szczególnie interesujące. Jeden z meteorytów spadł na miasto Allende 8 lutego 1969 roku. Badania przeprowadzone przez amerykańskich naukowców pozwoliły ustalić, że materia, z której był on zbudowany, była najstarszą ze wszystkich, które kiedykolwiek znaleziono lub o których wiedziano, że istnieje we wszechświecie.

W innym przypadku napotkano na powierzchni meteorytu tak dziwne figury, że aż chciałoby się powiedzieć, iż nie mogły powstać w sposób naturalny.

W czasie, gdy przeprowadzano te wszystkie badania, amerykańscy meteorolodzy z Przylądka Kennedy'ego zauważyli w kosmosie meteor. Meteor zbliżał się szybko do Ziemi i najwyraźniej był na linii kolizji z sondą kosmiczną Mariner. Tuż przed kolizją meteor jakby przepuścił sondę, a później podjął znów swój kurs w kierunku Ziemi. Następnie wszedł na orbitę okołoziemską i kiedy dotarł nad "Strefę ciszy", spadł, czy też wylądował.

To nowe wydarzenie wywołało falę kolejnych pytań. Czy był to naprawdę zwykły meteor, czy też coś kierowane przez istoty rozumne?

Innym dziwnym zjawiskiem są oślepiające światła przemieszczające się nocą w "Strefie ciszy". Przypominają one silne światła pojazdu, ale bardzo szybko podnoszą się i opadają, a później poruszają się poziomo nad równiną. Niektórzy obserwatorzy brali je za światła potężnego pojazdu robiącego nocne wycieczki, ale nikt nigdy nie znalazł żadnych śladów.

Starzy mieszkańcy mówią, że światła należą do wozu zwanego Band Wagon. Jest to legenda opowiadana od wielu pokoleń. Mówi ona o dyliżansie z dawnych czasów, który przejeżdżał przez wszystkie miasteczka tego regionu. Według legendy, Band Wagon wraca z zaświatów, aby nawiedzać okolice, przez które jeździł. Teoria De La Peny odnośnie owych świateł brzmi następująco: światła są skutkiem tego, iż miliony lat temu obszar ten był oceanem, zaś później jeziorem (Jezioro Myran). Istnieje więc możliwość występowania dużych koncentracji siarki i fosforu, które w połączeniu z dużym natężeniem pola magnetycznego mogą wytworzyć luminiscencję opisywaną przez wiele osób.

Dr W. Richard Downs z NASA jest przekonany, że zjawiska te spowodowane są powstawaniem, na skutek obrotu Ziemi, elektronicznych i magnetycznych wirów w pewnych rejonach naszej planety. Jeden z takich obszarów ma znajdować się między 26° i 20° szerokości geograficznej.

"Stefa ciszy" leży między tymi równoleżnikami. Podczas orbitalngo ruchu Ziemi, wir z Ceballos działa jak pompa ssąca, chwytająca ciała niebieskie znajdujące się w jej bliskości.

Wnętrze wiru może być podobne do tunelu umożliwiającego bezpośrednie wejście promieniowaniu kosmicznemu, które – jak się przypuszcza – jest przyczyną zadziwiających mutacji w "Strefie ciszy".

Niektórzy ludzie wierzą, że rejon wokół Ceballos jest portem pozaziemskich statków kosmicznych, najbliższym dojściem do naszej planety dla obcych astronautów. Wielu pyta, czy różnokolorowe światła widziane w "Strefie ciszy" są naprawdę naturalnym zjawiskiem. A może pochodzą ze statków kosmicznych, które przechodzą przez magnetyczny tunel?

Jakakolwiek byłaby prawda, zagadki "Strefy ciszy" czekają na kogoś, kto w bezsporny sposób potrafi je wyjaśnić.

# NAJDZIWNIEJSZE MIEJSCE NA ZIEMI

Kiedy znajdziesz się w tym miejscu, masz wrażenie, że przyroda zwariowała. Jeśli jedziesz konno, zwierzę instynktownie trzyma się z dala od tego miejsca. Ptaki raptownie zmieniają kierunek lotu i udają się w mniej denerwujące okolice. Nawet drzewa sprawiają wrażenie, że uległy wpływom siły, spod której nie mogą się wyzwolić: wewnątrz tego kręgu grawitacyjnego szaleństwa gałęzie rosną w dół, a pnie pochylają się w kierunku magnetycznej północy, chociaż nieopodal inne drzewa rosną prosto do góry.

Jest to słynne miejsce zwane Wirem Oregońskim. Leży nad brzegiem potoku Sardine, około 50 km od Grant's Pass w stanie Oregon. Wiadomo powszechnie, co się tam dzieje, ale nie wiadomo jak ani dlaczego.

Wir mierzy w przybliżeniu 50 metrów średnicy, ale badania wskazują, że jego rozmiar zmienia się co dziewięćdziesiąt dni. Ma kształt mniej więcej kolisty. Wewnątrz kręgu stoi stara drewniana szopa, która służyła niegdyś za stację pomiarową, lecz opuszczono ją w 1890 roku, gdy przyrządy przestały działać. Wówczas budynek stał na zboczu pagórka, około dwunastu metrów od brzegu wiru. Od kiedy ludzie wyprowadzili się, część pagórka przesunęła się do takiego położenia jak obecnie.

Szopa jest skrzywiona, ale trudno powiedzieć, czy to z powodu przyciągania, czy też za sprawą ruchów pagórka.

Kiedy wchodzisz do środka, znajdujesz się jakby w innym świecie. Czujesz potężne przyciąganie z dołu, jakby grawitacja nagle wzrosła. Mimowolnie pochylasz się pod kątem około dziesięciu stopni w kierunku kręgu. Jeśli chcesz się wyprostować, masz niepokojące uczucie, że coś ciągnie cię do środka; przyrządy wskazują, że tak właśnie się dzieje.

Wielu naukowców prowadzi eksperymenty w wirze, próbując rozwiązać jego zagadkę. Stalową kulę o wadze czternastu kilogramów powieszono na łańcuchu spuszczonym ze stropu stodoły. Turyści mogą zobaczyć, że kula wisi pod kątem, podważając prawo grawitacji. Odchyla się wyraźnie w kierunku środka kręgu. Z łatwością można ją pchnąć w tę stronę, natomiast trudno jest odciągnąć ją w kierunku obwodu wiru.

Wewnątrz nawet dym z papierosów zachowuje się inaczej. Wypuszczony w szopie obłok dymu zaczyna wirować coraz prędzej, dopóki nie zniknie.

Turystom pokazuje się i inne sztuczki. Na pochyłej desce stawia się pusty słoik, który sam wędruje pod górę. Dziecięca piłka z gąbki lub gumy, położona na ziemi blisko brzegu wiru, toczy się powoli do środka kręgu. Garść papierowych skrawków rzuconych w powietrze wiruje, jakby za sprawą niewidzialnego wiatraka.

To odległe leśne miejsce, gdzie natura zachowuje się jak szalona, dobrze znane jest Indianom, którzy solennie zapewniali pierwszych białych osadników, że okolica jest przeklęta. Blade twarze musiały jednak same to zobaczyć, a kiedy zobaczyły – zaczęły dociekać. I robią to do dziś.

# Część II

# Niezwykłe zdarzenia

# MORDERSTWO PRZY POMOCY HIPNOZY

Czy jeden człowiek jest w stanie zawładnąć umysłem drugiego człowieka i sprawić poprzez hipnozę, że ten drugi popełni zbrodnię? Większość specjalistów temu przeczy, lecz sąd orzekł, że tego morderstwa dokonano "przy pomocy hipnozy".

Przez całe trzydzieści trzy lata swego życia Palle Hardrupp nigdy nie popadł w konflikt z prawem. Teraz też czuł, że rewolwer w jego kieszeni jest obcy, zimny i trudny w obsłudze. Cztery razy przeszedł obok banku, jak w odrętwieniu – jedną ręką bawiąc się rewolwerem, a drugą przytrzymując pod szyją postawiony kołnierz płaszcza, bo 29 marca 1951 roku był w Kopenhadze dniem zimnym i mokrym.

Bank, który Palle wybrał jako cel rabunku, był niewielki – choć trafniej byłoby powiedzieć, iż niewielki był bank, który został dla niego wybrany. To hipnotyzer bowiem raz po raz nakazywał, by Palle wziął rewolwer i poszedł do banku: "Weź rewolwer i idź do tego banku". Wreszcie Palle, odrętwiały i niezdarny, z rewolwerem w kieszeni, zatrzymał się przed drzwiami.

Jego umysł toczył przegraną bitwę z wolą innego człowieka, kiedy potykając się wszedł do banku i podszedł do pierwszego okienka. Kasjer, Kaj Moller, spojrzał w górę i uśmiechnął się – lecz uśmiech zamarł mu na wargach, gdy dostrzegł dziwny, szalony błysk w oczach Hardruppa. Palle nie wie, czy zażądał od kasjera pieniędzy – a Kaj Moller nigdy już nic nie powie, gdyż wycelowany w jego twarz pistolet wypalił dwa razy i Moller padł martwy.

Pracownicy banku rzucili się na podłogę w swoich kantorach, zaś klienci wybiegli przez frontowe drzwi – tylko Hans Wisbom, dyrektor banku, ośmielił się spojrzeć w twarz bandyty uzbrojonego w rewolwer. Swą odwagę przypłacił życiem, padając na podłogę z kulą w mózgu. Palle Hardrupp przez chwilę tępo wpatrywał się w swoją ostatnią ofiarę, po czym wsunął rewolwer z powrotem do kieszeni i potykając się wyszedł z budynku, coś do siebie mamrocząc.

Gdy oskarżony o podwójne morderstwo Palle został przyprowadzony na rozprawę sądową, miał do opowiedzenia dziwną historię. Wyjaśnił ławie przysięgłych, jak to poddał się hipnozie Bjorna Nielsena i opowiedział, w jaki sposób Nielsen przez trzy miesiące, po trzy razy w tygodniu, wmawiał mu, że musi ograbić bank, mimo że nie chciał on obrabować tego ani żadnego innego banku. Nakazywał mu też zastrzelić kasjera, gdyby ten nie dał pieniędzy, chociaż on – Palle Hardrupp – nie chciał zastrzelić nikogo, z żadnego powodu.

Pod narastającą presją, jak powiedział sądowi, czuł się nie lepiej niż trup przywrócony do życia – jak istota, która straciła panowanie nad własną wolą, zmuszona do popełnienia zbrodni, której nie była w stanie się przeciwstawić.

Mimo iż sąd przyjął za prawdę twierdzenie Nielsena, że nie było go w pobliżu miejsca zbrodni, kiedy została ona popełniona, to uwierzył też w opowieść Hardruppa, że był on tylko robotem, sterowanym i kierowanym, poprzez hipnozę, siłą woli Nielsena. Nielsen został postawiony w stan oskarżenia za zaplanowanie napadu i nakłanianie do zabójstwa.

Było to oskarżenie bezprecedensowe. Aby dowieść winę Nielsenowi, prokurator musiałby udowodnić, że Nielsen rozmyślnie zmusił Hardruppa do popełnienia zbrodni sprzecznej z jego wolą oraz że wielokrotnie hipnotyzował Hardruppa, aby stopniowo przygotować jego umysł do przyjęcia polecenia dokonania zbrodni. Było to bardzo trudne, gdyż istnieje powszechna opinia, że hipnozą nie można posłużyć się w celu zmuszenia lub nakłonienia kogoś do popełnienia czynu, którego osoba ta nie popełniłaby z własnej woli, nie będąc pod wpływem hipnozy.

Jednak dwaj szanowani obywatele zginęli z rąk osobnika będącego pod wpływem hipnotyzera! Czy władze będą w stanie udowodnić, że Nielsen za pomocą hipnozy spowodował ich śmierć?

Rozprawa sądowa pod wieloma względami była sensacją. Tak jak przypuszczano, Palle Hardrupp został uznany winnym morderstw i usiłowania obrabowania banku. Skazano go na pobyt w zakładzie dla chorych psychicznie, z szansą opuszczenia go po dwóch latach, jeśli wykaże oznaki wyjścia ze stanu, w jakim był w momencie popełnienia zbrodni.

Jednakże Nielsen to zupełnie inna sprawa. Żeby doprowadzić do jego skazania konieczne były opinie biegłych i przekonujące dowody. Głównym biegłym powołanym przez prokuratora był dr Paul Reiter, były dyrektor zakładu dla obłąkanych i ordynator oddziału psychiatrycznego Szpitala Miejskiego w Kopenhadze. Według jego opinii, Hardrupp popełniając zbrodnię, działał w sprzeczności ze swym normalnym sposobem rozumowania i swoimi pragnieniami; działał właściwie jak na wpół świadomy szaleniec – ubezwłasnowolniony przez wielokrotny, sugestywny wpływ hipnotyczny, nakłoniony do popełnienia zbrodniczego czynu przez impuls z zewnątrz.

Co więcej – jak twierdził dr Reiter – każdy człowiek może być zdolny do popełnienia każdego czynu i hipnotyzer może namówić większość ludzi do zbrodni – przez wielokrotne przedstawienie tej zbrodni jako godnego i uczciwego czynu. W przypadku Hardruppa, jak wykazał prokurator, Nielsen sprytnie wmówił ofierze swego podstępu, że pieniądze zrabowane z banku będą użyte do walki z komunizmem.

Inni wybitni psychiatrzy poparli dr. Reitera. Podczas badań psychiatrycznych Nielsen przyznał, że ponosi moralną odpowiedzialność za podwójne morderstwo, że wymyślił i przeprowadził ten plan tylko po to, aby sprawdzić swe zdolności hipnotyzerskie.

Bjorn Nielsen dostał wyrok dożywotniego więzienia za zbrodnię bez precedensu: za popełnienie morderstwa przy pomocy hipnozy.

# NIESPOKOJNY UMARŁY

Zajmijmy się teraz dziwnym wydarzeniem, jakie miało miejsce po południu 24 sierpnia 1943 r., kiedy to grupa członków masonerii otworzyła zapieczętowany grób na wyspie Barbados.

Był to grobowiec sir Evana McGregora, który został pochowany w roku 1841. Jednakże masoni nie byli zainteresowani sir Evanem. Chcieli spłacić dług Aleksandrowi Irvinowi – ojcu masonerii na Barbados. Szczątki Irvina złożono w tym samym grobie co McGregora, tyle że wcześniej.

Sama krypta została wycięta w kamieniu. Jej górna część wystawała na jakieś 1,2 m ponad powierzchnię, opierając się na podmurówce z cegły i betonu, wkopanej na około 1,2 m w głąb ziemi. Do grobowca można było wejść schodząc po sześciu stopniach, po uprzednim otwarciu zapieczętowanych drzwi. Kiedy ciężka płyta została usunięta, okazało się, iż wejście do krypty jest zamurowane.

Podczas rozbierania muru, gdy oczekujący wolnomularze oblewali się potem, robotnicy zwrócili uwagę na metalowy przedmiot, który ujrzeli przez szczelinę powstałą po wyjęciu pewnej liczby cegieł.

Kiedy usunięto więcej cegieł, okazało się, że metalowym przedmiotem jest pokryta ołowianą blachą trumna, wsparta o tylną ścianę jedynych drzwi krypty i odwrócona do góry nogami. Wolnomularska delegacja była zdziwiona. W jaki sposób ważąca 270 kg ołowiana trumna sir McGregora przesunęła się ze swego miejsca po przeciwnej stronie krypty, zapieczętowanej przed mniej więcej stu laty? I co spowodowało trzy malutkie dziurki w ołowianej pokrywie w miejscach, gdzie była ona łączona cyną?

Choć masoni byli bardzo zmieszani, mieli mało czasu do zastanawiania się nad tą zagadką, gdyż czekała ich już następna. W grobowcu nie było śladu po trumnie ze zwłokami Alexandra Irvina! Zniknęła z niszy grobowca, gdzie z całą pewnością była, kiedy chowano zwłoki McGregora. Oba ciała zostały złożone jedno obok drugiego, w ciężkich ołowianych trumnach i ustawione na betonowych półkach. Teraz jedna z trumien zniknęła, a druga, w sobie tylko wiadomy sposób, zdołała przesunąć się ze swego pierwotnego miejsca i stanąć przy zapieczętowanych drzwiach.

Wolnomularze postawili straż przy grobie, zaś sami poszli szukać rozwiązania zagadki. Powiadomione władze wyspy natychmiast zwołały kilku uczonych mężów, którym zlecono przeprowadzenie dochodzenia. Śledztwo i wnikliwa analiza wszystkich danych wykazały, że obaj mężczyźni na pewno zostali pochowani w tej samej krypcie, a grobowiec został zapieczętowany.

Naoczni świadkowie potwierdzili, że kiedy robotnicy rozpoczęli otwieranie grobu 24 sierpnia 1943 roku, pieczęcie nie były naruszone, zaś wygląd grobowca nie nasuwał żadnych podejrzeń co do jakiejkolwiek dewastacji. Jednakże w jakiś niewytłumaczony sposób w zapieczętowanym, doskonale utrzymanym grobowcu wydarzyły się bardzo dziwne rzeczy.

Tego rodzaju niepokoje w grobowcach nie są rzeczą wyjątkową. Także na Barbados, choć na innym cmentarzu, wiele kilometrów od tego, na którym pochowano zwłoki Irvina, władze miały utrapienie z przerażającymi figlami, jakie wyprawiały trumny w krypcie rodziny Chase.

Co jakiś czas zmarli członkowie owej rodziny byli chowani w grobowcu, jednakże za każdym razem, gdy otwierano zapieczętowaną kryptę, trumny wcześniej tam złożone znajdowały się w niesamowitym nieładzie. Za każdym razem pokrywa grobowca i pieczęć były nie naruszone.

Trumna z ołowiu, do której zostały złożone zwłoki Thomasa Chase, była tak ciężka, że dopiero ośmiu silnych mężczyzn mogło ją unieść, a mimo to znaleziono ją przewróconą do góry nogami po drugiej stronie krypty w stosunku do miejsca, gdzie była uprzednio złożona. Dziwnym, ale zapewne ważnym znakiem był fakt, że tylko dwie trumny pozostawały za każdym razem nie poruszone: pani Goddard, pierwszego lokatora tego grobowca, i małej dziewczynki, wnuczki pani Goddard. Straże, które postawiono obok grobowca, nie były w stanie zapobiec powtarzaniu się tych dziwnych zajść wewnątrz... w końcu ciała rodziny Chase usunięto i pochowano w innym miejscu.

Na starym cmentarzu Christ Church na Barbados krypta rodziny Chase wciąż stoi – ze swoją ciężką pokrywą, koralową pieczęcią i zwieńczeniem w kształcie znaku zapytania – pamiątką po niespokojnym umarłym.

# ZAGADKA ŚMIERCI NAPOLEONA

Współczesna medycyna do dziś poszukuje rozwiązania sprawy, która nie daje spokoju historykom od ponad stu pięćdziesięciu lat – zagadki śmierci Napoleona.

W miasteczku Baleycourt, nad Mozą, we Francji, wyblakła strona z kroniki miejskiej prawdopodobnie zawiera klucz do tajemnicy. Na stronie tej zapisano imię Francois Eugene Robeaud i adnotację: "urodzony w tym mieście w 1771 roku... zmarł na Wyspie Świętej Heleny..." Data jego rzekomej śmierci na piaszczystej, spalonej słońcem wyspie jest nieczytelna, jakby zamazana dawno temu – niewykluczone, że celowo, ponieważ w świetle pewnych faktów wydaje się całkiem możliwe, iż człowiek ten zmarł na Wyspie Świętej Heleny 1 maja 1821 roku, uchodząc za Napoleona Bonaparte, do którego był uderzająco podobny.

Bonaparte zawsze przykładał wielką wagę do zapewnienia sobie sobowtórów. Miał ich w sumie czterech. Jednego z nich otruto tuż przed bitwą pod Waterloo, drugi został kaleką po upadku z konia, trzeci zginął od zabłąkanej kuli i tylko czwarty, Robeaud, dożył chwili, kiedy fortuna odwróciła się od cesarza. Zamieszkał ze swoją siostrą, niepozorną starą panną, w małym domku w Baleycourt.

Napoleona zesłano na Świętą Helenę u wybrzeży Afryki. I Anglicy i Francuzi byli zgodni co do tego, że Napoleonowi nie można pozwolić uciec, jak zdarzyło się to na Elbie. Francuzi strzegli go na samej wyspie, podczas gdy Anglicy patrolowali wody wokół wyspy.

Napoleon miał przyjaciół, pieniądze i cierpliwość. Połączone, stanowiły potęgę, która mogła go uwolnić. A oto co się stało.

W 1818 roku francuski generał Gourgard zrezygnował z dowództwa na Świętej Helenie i został zastąpiony przez generała Bertranda. Gourgard wrócił do Paryża, oficjalnie po to, żeby przejść na emeryturę. Jakieś dwa miesiące później do Baleycourt przybył wspaniały powóz. Woźnica zapytał o drogę do domu Francois Robeaud. Kto jechał powozem i po co szukano cesarskiego sobowtóra, nigdy się nie dowiedziano. Robeaud i jego siostra nadal zajmowali się gospodarstwem.

Powóz? To tylko pewien lekarz chciał kupić kilka królików dla przyjaciela. Doprawdy, nic ważnego.

W miesiąc po tym wydarzeniu Robeaud i jego siostra zniknęli. Była jesień 1818 roku. Nigdy już nie pojawili się w Baleycourt. Siostrę widziano później w Tours, gdzie żyła w dostatku. Twierdziła, że rachunki płaci za nią znajomy lekarz i że robi to z czystej dobroci, przez posłańca. A co z bratem? Wyjaśniła, że Francois jest na morzu, ale nie powiedział jej, dokąd ani na jak długo się udaje. Francois taką ma naturę, że mało mówi o sobie.

Żeby uciec ze Świętej Heleny Napoleon potrzebował czterech rzeczy: sobowtóra, statku, przyjaciół i pieniędzy. Teraz miał już wszystko.

Zimą 1818 roku, w miesiąc po zniknięciu Robeaud, żona generała Gourgarda napisała do przyjaciółki: "Odnieśliśmy sukces. Napoleon opuścił wyspę!".

W ostatnich dniach 1818 roku zamożnie ubrany nieznajomy, podający się za pana Revard, przybył do Werony. Mówił, że jest kupcem z północnej Francji, wdowcem i że chce otworzyć interes – konkretnie zakład jubilerski specjalizujący się w brylantach. Znalazł wspólnika, Petrucciego, który właściwie sam prowadził interesy i żartobliwie zwracał się do Revarda "Wasza Cesarska Mość", gdyż Revard był niezwykle podobny do Napoleona.

Zgodnie z zeznaniami Petrucciego i innych osób, złożonymi pod przysięgą w sierpniu 1823 roku, Revard przyjął u siebie posłańca. Po przeczytaniu listu sprawiał wrażenie ogromnie wzburzonego. Powiedział Petrucciemu, że musi wyjechać w bardzo ważnej sprawie. Dwie godziny później, wsiadając do powozu, wręczył Petrucciemu zapieczętowany list i polecił mu doręczyć go królowi Francji, jeśli nie powróci w ciągu trzech miesięcy.

Dwanaście dni później, 4 września 1823 roku, tuż po jedenastej w nocy, pałac Schonbrunn w Austrii cały płonął od świateł. Syn Napoleona chorował ciężko na szkarlatynę. Strażnik usłyszał szelest w zaroślach i zobaczył ciemną postać skradającą się do zamku. Wystrzelił, a intruz padł, ranny śmiertelnie w brzuch.

Dowódca straży spojrzał na zwłoki tylko raz i wezwał pułkownika. Sprawa doszła aż do ambasady francuskiej, ale żona Napoleona zażądała, żeby nieznajomego pochowano w grobowcu jej rodziny. Tak się też stało.

Revard nigdy nie powrócił do Werony. Petrucci doręczył jego list królowi Francji. Zapłacono mu hojnie za przysługę i za milczenie.

Na Świętej Helenie śmierć przyszła w końcu po więźnia uważanego za Napoleona – po człowieka, który nie mówił jak Napoleon, ani też nie pisał jak Napoleon. W 1821 roku zmarł on na raka żołądka. Kiedy w 1956 roku rząd brytyjski ogłosił, że jest w posiadaniu fragmentu jelit Napoleona, z próbki jasno wynikało, że cesarz zmarł nie na raka jak więzień ze Świętej Heleny, ale z powodu rany od kuli jak nieznajomy w ogrodzie zamku Schonbrunn.

# CIEŃ WĘŻA

Od obdartego ulicznika śpiącego w rynsztoku do jednego z najbogatszych ludzi w świecie – to skok nie lada. A stało się to za sprawą... kobry.

Niewielu podróżowało po tej zakurzonej drodze w Indiach. Upał był tak wielki, że nie było czym oddychać. Za to bandytów i złodziei było pełno. Władca tych ziem, zwany gaekwar, był kimś w rodzaju feudalnego księcia. Jego słudzy wymuszali haracz na wszystkich korzystających z tej drogi. Podróż była więc i niebezpieczna i kosztowna, toteż tylko żebracy albo ludzie bardzo odważni szli w upale, powłócząc nogami.

Wczesnym popołudniem, gdy pobierający opłatę za korzystanie z drogi drzemali na swoich posterunkach, brudny, obdarty i wygłodzony chłopiec, potykając się co chwila z wyczerpania, podszedł do małej studzienki i ukradkiem wypił łyk wody. Jego wzrok padł na resztki obiadu wyrzucone przez strażników. Chłopiec chwycił je, otarł z brudu i łapczywie zjadł. Poszedł potem kilkaset metrów w dół drogi, aż dotarł do niewielkiej polanki, nieopodal ścieżki. Rozciągnął się na trawie w miejscu doskonale widocznym z drogi. Nie miał nic, nikt nie mógł mu niczego zabrać i dlatego też mógł się niczego nie bać. Znużony, po kilku chwilach zapadł w głęboki sen.

I wtedy nastąpiło jego spotkanie z przeznaczeniem. Położył się spać jako beznadziejny żebrak, a obudził się jako człowiek przeraźliwie bogaty.

Była połowa lat 1870-tych. Indie znajdowały się pod panowaniem brytyjskim. Miejscowy książę, gaekwar, próbował otruć agenta sławnej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Brytyjczycy chcieli go ukarać, ale książę był zbyt potężny i niebezpieczny, by można było wydać nań wyrok śmierci. Brytyjczycy pozbawili go więc władzy za, jak to nazwali, złe jej sprawowanie, co było wielkim niedomówieniem. Usunięty w cień władca nie miał syna, który mógłby zostać jego następcą, a następca musiał być znaleziony, ponieważ władza gaekwara była dziedziczna. Żona księcia rozesłała ludzi po okolicy z rozkazem znalezienia następcy książęcego tronu.

Tak więc w owo upalne popołudnie, gdy wszystko co żywe pokładło się w cieniu, zniechęceni i zmordowani agenci państwowi wlekli się noga za nogą w poszukiwaniu swojego przyszłego władcy. Szli w milczeniu, aż w końcu dotarli do zakrętu drogi. Idący przodem zatrzymał się nagle jak wryty i chwycił za rękaw swojego towarzysza.

Na polance, kilka metrów od drogi, spał obdarty chłopiec. Spał snem sprawiedliwego nie świadom, że tuż nad nim unosiła swą głowę śmiertelnie jadowita kobra. Cień trójkątnej głowy padał na twarz chłopca... A czyż nie jest napisane, że przeznaczeniem człowieka, nad którym kobra uniesie swoją głowę – jest rządzić!? Agenci nie posiadali się z radości. Ich długie i męczące poszukiwania zostały wreszcie uwieńczone sukcesem. Usiedli po turecku w cieniu najbliższego drzewa i cierpliwie czekali, aż kobra odpełznie. Kiedy to się stało, obudzili zaskoczonego chłopca i powiedzieli mu, jakie to szczęście go spotkało.

Przepowiednia przepowiednią, ale niektórym to nie wystarczało; wszczęto więc dochodzenie i w końcu rzekomo odkryto, że przodkami chłopca-żebraka mieli być królowie dawno wymarłego plemienia z gór – genealogia najwyraźniej spreparowana. Z takim to niejasnym pochodzeniem, za sprawą nieoczekiwanego kaprysu losu, chłopiec został nowym gaekwarem – władcą księstwa znanego jako Baroda.

Kiedy nowy władca osiągnął pełnoletność, całkowicie przejął rządy w swoje ręce. Baroda była dotychczas krainą słynącą z korupcji, wyzysku i zacofania. Trzy miliony poddanych miało prawa niewiele większe niż zwykli niewolnicy. Dojście do władzy nowego gaekwara abslutnie zmieniło charakter tego państwa i warunki życia jego obywateli. Były żebrak zadbał o zapewnienie elementarnej edukacji dla wszystkich swoich poddanych, wprowadził postępowe reformy polityczne i gospodarcze. Baroda rozwijała się jak nigdy, a ludziom dobrze się działo. Nowy władca złamał też zaklęty, odwieczny system kastowy. Dopilnował, by każda wioska była zaopatrzona w czystą, zdrową wodę i miała przynajmniej jedną szkołę i jednego lekarza. Wprowadził i rozwinął parlamentamą formę rządów oraz nowe prawodawstwo, włącznie z zakazem poligamii i małżeństw między dziećmi, co było wyrazem wielkiej odwagi, gdyż sprzeciwiało się zakorzenionej tradycji. Na przełomie wieku Baroda była jedyną wyspą wolności i światła na morzu ludzkiego nieszczęścia i cierpienia, znanym jako Indie.

Były żebrak umiał wykorzystać swój spryt i inteligencję także we własnym interesie. Zakochał się w prześlicznej dziewczynie, która, niestety, była już żoną innego hinduskiego księcia. Dziewczyna pokochała go, ale jako hinduska, nie mogła dostać rozwodu. Za radą gaekwara, dziewczyna przeszła na mahometanizm i będąc Mahometanką dostała rozwód. Ale teraz gaekwar, jako Hindus, nie mógł poślubić Mahometanki... Jego wybranka zmieniła więc ponownie wiarę, znowu stając się Hinduską, i wkrótce mogła się już odbyć ceremonia zaślubin. Taka jest przedziwna, ale prawdziwa historia włóczęgi przemienionego w miliardera dzięki cieniowi węża.

# AZTEKOWIE XX WIEKU

W Yerba Buena, w stanie Tamaulipas w Meksyku, jakieś dwieście kilometrów na południowy zachód od cywilizowanego Brownsville w Teksasie, 31 maja 1963 roku odbył się krwawy rytuał, stary jak historia Meksyku.

Tu w wąwozach skalnych gór Sierra Madre, tylko pięćdziesiąt kilometrów na południe od Monterrey, obchodzono okrutne święto Azteków, w którym oddaje się żywą kobietę na ofiarę bogu Huixtocihuatl. Na terenie zupełnie odciętym od świata, gdzie nie ma elektryczności, telefonu, gazet ani dróg, z wyjątkiem szlaku wiodącego przez zadrzewione zbocza gór do szosy odległej o pół dnia wędrówki, grupa prostych rolników założyła sektę, której celem było przywrócenie dawnej religii Azteków.

Inspektor policji z pobliskiego miasteczka Villagran, Abelardo G. Gomez, twardy, doświadczony weteran policji, zorganizował obławę na członków sekty. Według niego to, co robili ci ludzie, przekraczało okrucieństwem wszystko, co widział w swojej długoletniej służbie w policji.

"Indianie ciągle wymyślają nowe rodzaje religii – powiedział. – Nie wtrącamy się, jeżeli to, co robią nie zakłóca spokoju. Magdalena Solis i jej brat Eleazar przybyli tu z jakiejś konfederacji religijnej w Monterrey. Myślę, że założyli sekty takie jak ta w Yerba Buena, także na wschód od Monterrey, a może nawet aż przy granicy z Teksasem nad rzeką Rio Grande".

Przy kilku butelkach meksykańskiego cerveza inspektor Gomez opowiada o tym co sam widział i czego dowiedział się o sekcie:

Szesnastoletnia Magdalena Solis i jej brat bliźniak, Eleazar, opuścili Meksykańską Konfederację Spirytualistów i wyruszyli na wschód, żeby utworzyć swoje własne sekty wśród prostych Indian na pustyni i w górach. Zachęceni swoimi sukcesami trafili do Yerba Buena i szybko zdobyli sobie zwolenników. W tej odizolowanej społeczności rolników, gdzie większość ludzi nie umie pisać ani czytać, znaleźli podatną glebę dla swoich szatańskich pomysłów.

Opierając swoją religię na obrządkach i rytuałach Azteków i ubierając ją w formy zapożyczone z Konfederacji w Monterrey, bez problemu przekonali biednych rolników o autentyczności tego, co robią i głoszą.

Z opisów inspektora Gomeza wynika, że rolnicy pojeni byli dziwną mieszanką krwi i liści marihuany. Nie wiedzieli, co to za mikstura, ale pijąc ją, po raz pierwszy zapomnieli o codziennych kłopotach i nudzie.

Książki medyczne informują, że po zażyciu marihuany pierwszym uczuciem, jakiego się doznaje, jest wielka radość. Występuje także wzmożona wrażliwość i wyostrzenie wszystkich zmysłów. Dostrzega się piękno świata. Człowiek pod wpływem marihuany czuje jedność ze światem. Ma wrażenie, że wszystko zostało stworzone tylko dla niego. Kiedy działanie jest silniejsze, czuje nawet, że jest bogiem.

Łatwo sobie wyobrazić sukces Magdaleny i Eleazara, kiedy ciemni Indianie po raz pierwszy spróbowali diabelskiego napoju. Ci młodzi ludzie z Monterrey przynieśli im religię, która łagodziła ich cierpienia, przynajmniej na jakiś czas.

Brat i siostra dodali dużo innowacji do ceremonii Azteków. Magdalena stała się wcieleniem sławnej meksykańskiej Uzdrowicielki Wiary, natomiast Eleazar – wcieleniem św. Franciszka z Asyżu.

W dniu 31 maja przypada azteckie święto boga Huixtocihuatl, w czasie którego składało się w ofierze żywą kobietę. Rodzeństwo zorganizowało obchody tego święta ponownie, gdyż uwierzyli, że ich posłannictwem jest przywróceniem religii Azteków, jak mówili – prawdziwej religii Meksyku.

Schwytani członkowie sekty opowiadali, że już przed festiwalem sprawy nie miały się dobrze. Zaczęły się walki o władzę. Niektórym z mniej wierzących rolników przestało się podobać, że muszą składać daniny na utrzymanie przywódców, często zabierane od nich siłą.

Magdalena i Eleazar wybrali dwóch robotników do prowadzenia uroczystości. Za najbardziej odpowiednich uznali braci Santosa i Cayetano Hernandezów, którzy byli żarliwymi wyznawcami wiary, a w dodatku Cayetano miał w sobie dziwną mieszankę dewocji, rozpusty i... był trochę obłąkany.

W nocy 31 maja napój z marihuany i krwi zadziałał jak zawsze. W szczytowym stanie upojenia Cayetano miał olśnienie, że w jaskini –miejscu ich spotkań – zakopane jest złoto, i że poświęciwszy bogu kobietę on, Cayetano, dowie się, gdzie dokładnie to złoto leży. Mając pieniądze, mogliby szerzyć swoją wiarę na innych terenach.

Kiedy zawołano, żeby zgłosiła się kobieta gotowa poświęcić się bogu, większość rolników była już w stanie głębokiego upojenia. Miała to być już 12 ofiara złożona bogu. Jak wcześniej, tak i teraz ofiar nie trzeba było brać siłą. Zgłaszały się same.

Tym razem wystąpiła trzydziestoletnia Celina Salvana, matka dwojga nieślubnych dzieci. Jej przyjaciel z lat dziecięcych, Hector Solis, próbował ją powstrzymać.

"Ale nie chciała go słuchać – powiedział Gomez – chciała być poświęcona bogu i żyć w błogosławieństwie na zawsze".

Solis widocznie nie pił tak dużo jak inni. Celina podała mu kamień, błagając, żeby ją nim zabił. Nie chciał. Bili się, ona upadła, wtedy podbiegli inni, odepchnęli Solisa, a ją tłukli kamieniami, aż straciła przytomność.

Głębiej w jaskini, bracia Hernandezowie z pomocą Eleazara zbudowali drewnianą świątynię, z czterema filarami i słomianym dachem nad wielkim płaskim kamieniem, służącym za ołtarz. Na tym ołtarzu Cayetano i Santos rozcięli miękkie ciało Celiny i wyjęli jej serce, jeszcze bijące i żeby złożyć je w ofierze bogu Huixtocihuatl.

"Widocznie myśleli, że Huixtocihuatl czerpie życie z żyjącego serca ludzkiego". – powiedział inspektor Gomez. – "W rogu jaskini spalili ciało Celiny. Było w tym miejscu wiele kości innych kobiet".

Solis próbował zabić ich wszystkich gołymi rękami. Zobaczywszy, że to nie ma sensu i że Celina już nie żyje, wrócił do swojej chaty, do żony i czwórki dzieci. O świcie wyruszył do Villagran, do kwatery inspektora Gomeza.

"Wypisał mi imiona wszystkich członków sekty. Powiedziałem, żeby wrócił do domu, jakby nic się nie stało. Zebrałem ludzi i wyruszyłem do Yerba Buena".

Solis wrócił. Bracia Hernandezowie czekali już na niego i bez słowa poderżnęli mu gardło.

Kiedy inspektor Gomez i jego ludzie dotarli do wioski, bracia zgromadzili najbardziej fanatycznych wyznawców i wszyscy zamknęli się w chacie. Po kilku minutach wyszedł Cayetano.

"Powiedział, że jest rolnikiem jak inni. Mówił, że nie wie nic o religii, która zabija ludzi. Wiedziałem, że kłamie. Nie na darmo byłem policjantem przez tyle lat. Powiedziałem jednemu z moich ludzi, Luisowi Martinezowi, żeby wziął go na przesłuchanie i wyjąłem z kieszeni listę nazwisk. Kiedy Martinez zrobił krok w jego stronę, Cayetano machnął swoim olbrzymim nożem i prawie obciął mu głowę, zabijając go na miejscu.

Zanim morderca zrobił krok w stronę swojej chaty, naładowaliśmy go ołowiem. Ze środka Santos i inni otworzyli do nas ogień. Strzelaliśmy długo, żeby mieć pewność, że wszyscy w chacie nie żyją. Kiedy weszliśmy do środka, wszyscy leżeli na ziemi, Santos wśród nich".

Gomez i jego ludzie wzięli ponad 40 więźniów, w tym Magdalenę i Eleazara Solis. Dowiedzieli się, że taka sama sekta powstała w sąsiedniej wiosce Delgado. Gomez sam nie dałby sobie rady. Poprosił oddziały federalne z Tampico o pomoc w poszukiwaniu świątyń w okolicznych jaskiniach oraz zbiegłych członków sekty z Yerba Buena.

Rozkazał też spalić słomianą świątynię i pogrzebać znalezione tam kości.

"To było najgrosze zadanie, jakie kiedykolwiek wykonywałem. Teraz już nic nie może mnie zaskoczyć".

Dlaczego to robili?

Była to mała wioska, zupełnie odcięta od świata, zapomniana i omijana przez cywilizację. Tu, w krainie, gdzie czas nie gra żadnej roli, wciąż żywe były idee i kultura Azteków z imperium Montezumy odległego tylko o 400 lat.

Może niektórzy z tych rolników, wypiwszy diabelski napój, szczerze wierzyli, że objawił im się bóg. Dla innych religia była sposobem na frustracje i trudy. Dla jeszcze innych krwawe obrzędy były urozmaiceniem nudnego życia.

Gubernator Praxides Balbo, w dzień czy dwa po obławie na Yerba Buena, kazał wybudować obok jaskini szkołę, "jako symbol walki z ciemnotą".

# KTO TO NAPISAŁ?

Tajemnicze historie były rzeczą dość nową, kiedy to Wilkie Collins namówił swego przyjaciela Charlesa Dickensa, aby zwrócił swój talent właśnie w tym kierunku. Dickens zastanawiał się nad tą propozycją przez wiele miesięcy, zanim zabrał się do pisania swojej pierwszej i jedynej powieści tego typu – *Tajemnicy Edwina Drooda*.

Zaplanował sobie, że książka będzie publikowana w dwunastu comiesięcznych odcinkach w pewnym magazynie, a do tego po raz pierwszy w całej swej karierze Dickens nalegał, aby w wypadku jego śmierci należność była wypłacona jego spadkobiercom.

Jeśli to zabezpieczenie podyktowane zostało przeczuciem, było ono na pewno bardzo trafne, gdyż Dickens zmarł w roku 1870, kiedy to miał zaledwie sześć ukończonych części swej intrygującej, tajemniczej historii. Czytelnicy musieli się zastanawiać i czynią to do dziś, jakie zakończenie tej książki planował Dicknes – niestety, sekret ten zmarł razem z nim, gdyż nie znaleziono żadnych notatek.

Jednakże zagadkę tę rozwiązano za sprawą pewnego wędrownego drukarza, który swego czasu zawitał do Brattleboro w Vermont, w rok po śmierci Dickensa. Thomas P. James był swawolnym, przystojnym, nieodpowiedzialnym kobieciarzem. Pewnego dnia zauważywszy ładną dziewczynę, James poszedł za nią i natychmiast wynajął pokój w domu vis-a-vis kamienicy owej dziewczyny.

Wkrótce odkrył, że dama, od której wynajmował pokój, była zwolenniczką spirytyzmu – rzeczy wówczas bardzo modnej, i przez okrągły rok James uczestniczył w seansach spirytystycznych odbywających się w jednym z saloników. 3 października 1982 r. poinformował swoją gospodynię, że jest w kontakcie z duchem Charlesa Dickensa i że wybitny pisarz dał mu pełnomocnictwo, aby ukończył powieść *Tajemnica Edwina Drooda*.

Dobra kobieta była zupełnie oszołomiona myślą, że jej lekkoduszny młody pensjonariusz został zaszczycony przez tak wybitnego człowieka jak Dickens. Aby mieć w tym choćby odrobinę swego udziału ,zaoferowała ona młodzianowi darmowe jedzenie i pokój do czasu, aż ukończy on swe zadanie. Liczni świadkowie potwierdzali później, że James zwykł wchodzić do swego pokoju, gdzie zagłębiał się w fotelu i zapadał w trans, niejednokrotnie trwający wiele godzin. Po takim seansie wyjaśniał swym przyjaciołom, że on sam nic nie tworzy... że on tylko zapisuje tekst, jaki Dickens dyktuje mu podczas transu.

Czasami materiał, który James zapisał, zajmował wiele stron, innym razem składał się tylko z kilku linijek. Duchy, lub jakkolwiek to nazwiemy, zdawały się mieć problemy z transmisją w czasie złej pogody, a także wówczas, gdy młody, wędrowny drukarz miał myśli i zmysły zajęte jakąś ładną dziewczyną (co zdarzało mu się dość często) – Dickens musiał wtedy cierpliwie czekać... gdziekolwiek by nie był.

Jak można było oczekiwać, zaczęły się plotki i gazety szybko wywąchały całą sprawę, przepowiadając oszustwo czy mistyfikację.

Wszyscy oczekiwali więc z niecierpliwością na opublikowanie manuskryptu, a kiedy 31 października 1873 roku pojawił się on na półkach księgarskich, nawet eksperci literatury byli zaszokowani. Oto leżało przed nimi dzieło nieznanego pisarza, które bez wątpienia wyglądało dokładnie tak, jakby wyszło spod pióra samego Dickensa – albo, jak twierdził James, zostało przez mistrza podyktowane.

Młody, nieznany drukarz stał się sławny niemalże w ciągu jednej nocy. Jedna z gazet nazwała go "prawdziwym następcą samego Dickensa", zaś pewna gazeta bostońska stwierdziła: "James nie byłby w stanie napisać tej książki bez pomocy samego Dickensa – spirytualnej czy jakiejkolwiek innej".

Rozwiązanie tej dziwnej sprawy powierzono wreszcie sir Arthurowi Conan Doyle'owi, genialnemu twórcy nieśmiertelnego Sherlocka Holmesa. W grudniu 1927 r. w jednym z numerów dwutygodnika "Fortnightly Review", Doyle donosił, że James nie wykazał absolutnie żadnego talentu literackiego ani przed, ani też po napisaniu tego dzieła. Jego edukacja zakończyła się w wieku lat 13, co można przyrównać do piątej klasy szkoły podstawowej. Jednakże, w jakiś dziwny sposób udało mu się podjąć zarówno styl, jak i słownictwo oraz sposób myślenia charakterystyczny dla Charlesa Dickensa – stało się coś, co wydawało się niepodobieństwem w wypadku tak słabo, a właściwie w ogóle nie wykształconego pracownika jednej z amerykańskich drukarń.

Thomas James zgasł tak szybko, jak zabłysnął i zmarł w zupełnej nędzy. Tylko w niektórych bibliotekach pozostało kilka kopii tego, co obecnie nazywane jest Jamesowską wersją *Tajemnicy Edwina Drooda* – tajemnica w tajemnicy.

# PRZEKLĘTY SAMOCHÓD

Było to luksusowe auto. Spowodowało jednak śmierć mnóstwa ludzi, zanim los w końcu policzył się i z nim.

Jasnoczerwony sześcioosobowy kabriolet miał niespełna 320 km przebiegu, kiedy dwie osoby z cesarskiej rodziny zawiózł na spotkanie ze śmiercią. Właściwie został on skonstruowany specjalnie dla tej pary z okazji wizyty w małej bośniackiej miejscowości Sarajewo. Zdarzenie to miało miejsce 28 czerwca 1914 roku. Sytuacja polityczna w Europie w każdej chwili groziła wybuchem wojny. Brakowało tylko iskry. Arcyksiążę Ferdynand i jego żona księżna Hohenburg wsiedli do wspaniałego pojazdu, żeby przejechać ulicami Sarajewa. Nigdy nie dowiedziano się, dlaczego nie kazali zawrócić szoferowi po tym, jak rzucono bombę na ich samochód. Bomba odbiła się od drzwi i potoczyła na ulicę. Wybuch zranił cztery osoby z orszaku jadące konno za samochodem. Upewniwszy się, że ranni otrzymują pomoc, książę z małżonką pojechali dalej.

Nastąpiło drugie nie wyjaśnione zdarzenie. Szofer, który doskonale znał Sarajewo, pomylił drogę i wjechał w ślepą uliczkę. Z bramy w zaułku wyskoczył młody człowiek i wymachując pistoletem rzucił się na maskę samochodu, strzelając raz po raz do arcyksięcia i księżnej, którzy zginęli, nim osłupiali strażnicy zdążyli powalić zamachowca na ziemię.

Zamach na parę książęcą był zapłonem I wojny światowej, którą przypłaciło życiem dwadzieścia milionów ludzi. Po zamachu fatalny czerwony samochód nadal sprowadzał śmierć na tych, którzy do niego wsiedli. W tydzień po wybuchu wojny wybitny dowódca piątego korpusu armii austriackiej generał Potiorek zajął dom gubernatora w Sarajewie; przypadł mu w udziale także czerwony samochód arcyksięcia. Nie czekał długo na efekty. Dwadzieścia jeden dni później poniósł klęskę pod Valievo, utracił dowództwo i został odesłany do Wiednia. Wkrótce stał się zrujnowanym wariatem i zmarł w przytułku.

Czerwony samochód przeszedł w ręce innego Austriaka, byłego podwładnego generała Potiorka. Kapitan wkrótce spotkał się ze swoim fatum. Jadąc z dużą prędkością przejechał i zabił dwóch chorwackich chłopów, wpadł na drzewo i kiedy przybyła pomoc, już nie żył. Był właścicicielem samochodu przez dziewięć dni.

Po zakończeniu wojny właścicielem samochodu został nowo mianowany gubernator Jugosławii. Doprowadził on wóz do świetnego stanu, lecz miał cztery wypadki w ciągu czterech miesięcy i w ostatnim z nich stracił rękę. Rozkazał więc zniszczyć samochód; jego reputacja była tak zła, że wydawało się, iż nikt nie będzie chciał nim jeździć. Jednak pojawił się nabywca, doktor Srkis, który śmiał się z przekleństwa. Kupił samochód prawie za bezcen. Ponieważ nie mógł znaleźć szofera, postanowił prowadzić auto osobiście. Cieszył się swoim nabytkiem przez sześć miesięcy i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że przekleństwo ciążące na samochodzie było wytworem ludzkiej wyobraźni. Pewnego ranka samochód znaleziono przy drodze; leżał na dachu, a ciało doktora wyrzucone na zewnątrz było zmasakrowane przez przewracający się pojazd.

Wdowie po doktorze udało się sprzedać samochód bogatemu jubilerowi. Używał auta przez rok, a później popełnił samobójstwo. Następnym właścicielem był znowu lekarz. Wkrótce jednak opuścili go pacjenci z obawy przed fatalnym samochodem. Odprzedał go więc szwajcarskiemu kierowcy wyścigowemu, który wystartował nim w wyścigu w Dolomitach, podczas którego samochód wpadł na kamienny mur i kierowca zginął.

Czerwone auto wróciło do Sarajewa. Nabył je zamożny rolnik, który dał samochód do naprawy i jeździł nim bezpiecznie przez kilka miesięcy. Pewnego dnia samochód stanął na szosie, więc rolnik przywiązał go do furmanki, żeby przyholować do miasta. Ledwo ruszyli, silnik zapalił, samochód odtrącił wóz i konie, przejechał właściciela i stoczył się do rowu na zakręcie. Zniszczony czerwony pojazd kupił Tiber Hirszfeld, mechanik, który naprawił go i pomalował na niebiesko. Nie znajdując nabywcy jeździł nim sam. Pewnego dnia wiózł sześcioro przyjaciół na wesele. Kiedy z dużą prędkością wyprzedzał inny samochód, uderzył w drzewo; Hirszfeld i czterej pasażerowie zginęli w wypadku. Samochód odnowiono z funduszy rządowych i odesłano do muzeum.

Zabił szesnaście osób. Przyczynił się do wybuchu krwawej wojny. Zniszczyła go dopiero następna wojna – dokonała tego aliancka bomba zrzucona na budynek muzeum, w którym stał.

# FATALNY KRĄŻOWNIK

Niemieccy marynarze nie byli z pewnością idiotami. Twierdzili jednakże, że krążownik "Scharnhorst" przynosi nieszczęście i unikali go jak ognia.

Była to jednostka bojowa o wyporności czterdziestu tysięcy ton, którą hitlerowscy naukowcy wyposażyli we wszystko, co możliwe. Ten lśniący nowy okręt miał prędkość umożliwiającą wyprzedzenie cięższych brytyjskich pancerników. Uzbrojony został w działa dalekiego zasięgu i potężne elektroniczne urządzenie do wykrywania celów, zanim one wykryją jego.

Pierwszy sygnał, że okręt może sprawiać kłopoty, pojawił się, gdy zbudowany był zaledwie w dwóch trzecich. Z odgłosem miażdżonego drewna, kadłub przewrócił się na bok, przygniatając śmiertelnie 61 robotników i raniąc 160 innych.

Podnoszenie okrętu trwało trzy miesiące. Trzeba było wręcz zmusić do pracy brygady robotników, ponieważ rozeszła się już plotka, że ten błyszczący, stalowy potwór przynosi nieszczęście.

W końcu jednak nadszedł dzień wodowania. Obecne były hitlerowskie "grube ryby": Hitler, Himmler, Goering, Scheirich, Hess i Doenitz. Wodowanie miało być wielkim wydarzeniem, gdyż Hitlerowi zależało na zastraszeniu już zaniepokojonych sąsiadów możliwościami Niemców w wymyślaniu nowych, śmiercionośnych broni. Przybyli więc wszyscy najważniejsi dostojnicy hitlerowscy... Brakowało tylko głównego bohatera wydarzenia – samego "Scharnhorsta"!

Nocą "Scharnhorst" sam się zwodował, miażdżąc kilka barek, gdy zjeżdżał pochylnią na wody kanału. Zakłopotani hitlerowcy oświadczyli, że okręt zwodowano poprzedniej nocy, żeby ukryć nową, tajną metodę wodowania.

Tak czy inaczej, przynoszący nieszczęście okręt, duma Hitlera, znalazł się w końcu na wodzie.

Po zajęciu Gdańska, Niemcy rozesłali po świecie kroniki filmowe pokazujące, jak "Scharnhorst" zasypuje bezbronny port setkami ton śmierci i zniszczenia. Nie wspomnieli jednak, że podczas ataku na Gdańsk "Scharnhorst" zabił 10 ludzi spośród swojej załogi, kiedy to wybuchło jedno z jego wielkich dział, a gdy przestał funkcjonować system wentylacji, w jednej z wieżyczek armatnich udusiło się 12 podoficerów.

Zła sława "Scharnhorsta" dopełniła się w czasie oblężenia Oslo. Podczas gdy hitlerowskie okręty wojenne zasypywały pociskami kolejny bezbronny port, "Scharnhorst" został wielokrotnie trafiony. Płonął w dwunastu miejscach i musiał zostać odholowany w bezpieczne miejsce przez "Gneisenau".

Powrót do macierzystego portu był bardzo trudny, gdyż okręt musiał ukrywać się przed brytyjskimi bombowcami w dzień, a w nocy ukradkiem płynąć wzdłuż wybrzeża. Taką właśnie ciemną nocą wpłynął wreszcie na wody Elby, był więc już prawie u kresu swej podróży.

Z nieznanego powodu jego radar nie wykrył obecności jednego z największych na świecie statków transatlantyckich, znajdującego się na jego kursie. Wachtowy uruchomił wprawdzie syrenę alarmową, jednakże zbyt późno, i sam zginął w czasie kolizji, zaś potężny "Bremen" osiadł na mieliźnie, aby już do końca wojny pozostać tam, stanowiąc cel dla alianckich bombowców.

Gdy prace remontowe zostały zakończone i "Scharnhorst" znów był zdolny do pełnienia służby, gwiazda Hitlera już przygasła. Ogromny "Bismarck" zatonął w wyniku ataku z morza i powietrza. "Tirpitz" trafiony torpedami leżał w norweskim fiordzie. Hitler nie miał innej możliwości, jak tylko ponownie wysłać "Scharnhorsta" do akcji, mimo że przynosił nieszczęście.

Znowu więc płynął po Elbie nocą, omijając doszczętnie zniszczony bombardowaniami wrak transatlantyku "Bremen", udając się na północ, wzdłuż wybrzeży Norwegii – aby atakować znienacka alianckie konwoje na Morzu Arktycznym. Wyglądał jak "mur" i mógł nim być dla drugiego statku.

Te same ciemności, które skrywały "Schamhorsta" przed brytyjskimi samolotami, ukryły też uszkodzoną brytyjską łódź patrolową przed nim samym. Krążownik z impetem i hałasem przepłynął w odległości dosłownie kilkuset metrów od małego, unieruchomionego awarią silników statku i w ogóle go nie zauważył.Lecz łódź patrolowa nadała ostrzeżenie. W ciągu kilku minut brytyjska flota zmieniła kurs i pełną mocą silników ruszyła w kierunku celu.

"Schamhorst" był jednak zbyt szybki dla swoich przeciwników i po oddaniu kilku strzałów skrył się w atramentowych ciemnościach. Mimo to brytyjski dowódca zaryzykował i oddał salwę całą burtą na odległość 16 000 metrów; nieszczęsny "Schamhorst" zrobił obrót i znalazł się dokładnie w zasięgu pocisków . Raz po raz następowały kolejne uderzenia i trafiony okręt poszedł na dno.

Większość załogi zginęła w lodowatej wodzie, ale dwóm marynarzom udało się dotrzeć do brzegu na pneumatycznej gumowej tratwie. Znaleziono ich tam po paru miesiącach. Zginęli od wybuchu małego piecyka na ropę naftową! Wymknęli się Brytyjczykom i wzburzonemu morzu – ale nie mogli uciec od klątwy "Schamhorsta".

# NIE KOŃCZĄCA SIĘ KATASTROFA

Dwudziestu dwóch mężczyzn walczyło z szalejącym morzem o swoje życie, lecz ilekroć osiągnęli jakieś drobne zwycięstwo, musieli ponownie stawać do walki.

Przypadek szkunera "Mermaid" i dwudziestu dwóch ludzi, którzy byli na jego pokładzie, znajduje się w obszernych kartotekach Lloyda w Londynie, lecz chociaż zawierają one opisy przeróżnych przypadków, to żaden nie może się z nim równać.

Wszystko zaczęło się bardzo przyjemnie rankiem 16-go października 1829, kiedy "Mermaid" wypłynęła z zatoki w Sydney, podążając do zatoki Collier na północnym wybrzeżu Australii. Wiał łagodny wiatr, słońce lśniło na wierzchołkach fal, kiedy przecinała je "Mermaid". Na pokładzie statku było osiemnastu krzepkich marynarzy, trzech pasażerów i kapitan Samuel Nolbrow, który stał przy sterze. Nie zdając sobie z tego sprawy, rozpoczynali podróż, która nie miała sobie równej w historii wypraw morskich.

W czwartym dniu po wypłynięciu z Sydney kapitan przekazał ster pierwszemu oficerowi i zszedł pod pokład na mały łyczek alkoholu z zapasów, które skrzętnie dla siebie zgromadził. Członkowie załogi porozchodzili się po pokładzie, gdyż w takiej sytuacji nie mieli nic lepszego do roboty. Barometr nie zapowiadał w żaden sposób tego, co miało się wydarzyć. Wydawało się, że pogoda będzie ładna, a podróż minie bez przeszkód, aż – na krótko przed godziną drugą po południu – statek został unieruchomiony przez ciszę morską. Ciężkie, szare chmury zasłoniły tarczę słoneczną.

Zaniepokojony bezruchem, kapitan Nolbrow odstawił butelkę i zataczając się wrócił na pokład, gdzie zobaczył jak barometr gwałtownie opada. Na chwilę przed tym, zanim zapadła ciemność, skończyła się cisza i zerwał się gwałtowny wiatr, który wkrótce przeszedł w szalejący sztorm. "Mermaid" walczyła o życie, gdyż znalazła się w krętej cieśninie Torres – wąskim kanale, który pochłonął wiele statków i załóg.

Wysokie fale roztrzaskały dziób statku i wrzały wokół sternika, który dla bezpieczeństwa przywiązał się do masztu. Poprzez spazmatyczne błyski światła kapitan Nolbrow widział dostatecznie dużo, żeby zdać sobie sprawę, że walczy z szalejącą burzą w z góry przegranej bitwie. Wszyscy byli na pokładzie, kiedy olbrzymia fala cisnęła "Mermaid" o wierzchołek rafy i statek został rozłupany na pół niczym dojrzały melon. W kilka chwil później dwudziestu dwóch mężczyzn grzęzło w absolutnej ciemności.

Pośród wzburzonego oceanu była dla nich tylko jedna nadzieja: skalisty wierzchołek, który sterczał nad wodą około stu metrów od tonącego statku. I cud nad cudami – kiedy zajaśniało znów światło dnia, dwadzieścia dwie pary rąk trzymały się kurczowo skały. Nikt nie zginął!

Przez trzy zimne, wilgotne dni tkwili tam bez nadziei, jednakże przez cieśninę przepływała akurat barka "Swiftsure". Rozbitków dostrzeżono i zabrano na pokład.

Wszystko było dobrze przez następnych pięć dni, dopóki "Swiftsure" nie zbliżyła się do wybrzeży Nowej Gwinei. Wtedy to i ona stała sią ofiarą fatum, które ciążyło na jej wyratowanych pasażerach. Bez żadnego ostrzeżenia, potężny prąd, który nie był zaznaczony na mapach, porwał "Swiftsure". Barka przechyliła się na burtę na skalistym wybrzeżu i wszyscy musieli ją opuścić. I tym razem wszyscy się uratowali!

Doczołgali się do plaży i nie minęło nawet pięć godzin, gdy byli ocaleni; tym razem przez szkuner "Governor Ready". Miał on na pokładzie trzydzieści dwie osoby, ale starczyło jakoś miejsca zarówno dla rozbitków z "Mermaid", jak i "Swiftsure". Szkuner pośpiesznie podniósł żagle i skierował się wzdłuż wybrzeża na spotkanie z katastrofą. W trzy godziny po tym, jak rozbitkowie stanęli na pokładzie, "Governor Ready" stanął w ogniu.

Jego ładunek stanowiło drewno budowlane, płomienie rozprzestrzeniły się więc gwałtownie i wydano rozkaz opuszczenia statku. Wszyscy obecni na pokładzie stłoczyli się w kruchych łodziach bez żadnego ekwipunku. Otaczały ich setki mil otwartych wód, poza utartymi szlakami żeglugowymi. Perspektywy ratunku były mizerne, lecz niewiarygodne szczęście nie opuściło ich; australijski kuter rządowy przypłynął przypadkowo w te okolice i zabrał rozbitków. Znowu nikt nie zginął.

Na pokładzie "Comet" słychać było głosy niezadowolenia, ponieważ załoga ratowniczego statku uważała, że na tłumie rozbitków ciąży fatum, mimo ich wielkiego szczęścia, które raz po raz ocalało im życie. Przez dokładnie tydzień wszystko było jak najlepiej i wtedy "Comet" wpadła w niespodziewany szkwał, który złamał jej maszt, zerwał nadburcia, pozbawił ją steru i wydał na łaskę żywiołów. Załoga "Comet" weszła do jedynej łodzi ratunkowej nadającej się do użytku i czym prędzej odpłynęła od skazanego na zagładę statku, pozostawiając niechcianych gości samym sobie.

Nieszczęśnicy przez osiemnaście godzin trzymali się kurczowo wraku i odpędzali rekiny, nim dotarł do nich statek pocztowy "Jupiter" i jeszcze raz wyrwał ich z paszczy morza. Kapitanowie zrobili zbiórki i po raz czwarty okazało się, że mimo czterech katastrof wszyscy pozostali przy życiu!

Tej zadziwiającej historii towarzyszy jeszcze inny osobliwy splot wydarzeń. Jedną z pasażerek "Jupitera" była starsza kobieta, Sarah Richey z Yorkshire, która płynęła do Australii w poszukiwaniu swojego syna Petera, zaginionego przed piętnastu laty. Odnalazła go niespodziewanie – był jednym z członków załogi "Mermaid", wyratowanej z morza przez "Jupitera".

# POŁKNIĘTY PRZEZ WIELORYBA

Czy jest możliwe, aby człowiek został połknięty przez wieloryba i przeżył? Okazuje się, że tak.

Archiwa Admiralicji Brytyjskiej dostarczają ewidentnych dowodów prawdziwości zdumiewającej relacji Jamesa Bartley'a, brytyjskiego marynarza, który został połknięty przez wieloryba i przeżył, by móc o tym opowiadać.

James odbywał swoją pierwszą i ostatnią podróż jako marynarz na pokładzie wielorybnika "Gwiazda Wschodu". W lutym 1891 roku statek posuwał się z łomotem żagli, pchany naprzód pomyślnym wiatrem, jakieś sto mil na wschód od Wysp Falklandzkich na południowym Atlantyku.

Nagle obserwator wydał elektryzujący okrzyk: Tam, wieloryb z lewej... gdyż zauważył olbrzymiego kaszalota o pół mili od burty dziobowej. "Gwiazda Wschodu" spuściła żagle i wachty wielorybnicze wgramoliły się do trzech małych łódek, aby, jeśli to możliwe, wbić harpuny w potężnego ssaka. W łodzi, która jako pierwsza dotarła do wieloryba, znajdował się młody James Bartley. Wiosłując powoli, marynarze podprowadzili swoją kruchą łupinę tak blisko niczego niespodziewającego się stworzenia, że harpunnik mógł się wychylić i wbić swoją ogromną włócznię w trzewia wieloryba. Podczas gdy ugodzona bestia walczyła, by uwolnić się od haka harpuna, Bartley i jego towarzysze cofali się gwałtownie, żeby wydostać się z zasięgu masywnego ogona.

Przez moment szczęście zdawało się sprzyjać marynarzom. Wieloryb zanurzył się głęboko i pociągnął za sobą 250 metrów ciężkiej liny. Potem nastąpiło złowieszcze rozluźnienie liny – wielkie zwierzę szło w górę – lecz gdzie wypłynie? W takich wypadkach jest to sprawa życia lub śmierci i marynarze wkrótce mieli poznać odpowiedź. Pochylili się nad wiosłami, gotowi wiosłować po swoje życie, gdy tylko będzie wiadomo, w którą stronę skierować łódkę.

Woda zakipiała wokół nich bez ostrzeżenia i rozległ się trzask ich kruchej łodzi, rozłupanej wyrzutem wieloryba w powietrze. Waląc wściekle ogonem, śmiertelnie zraniony wieloryb ubił wodę na krwawą pianę, zanim w agonii powtórnie dał nura w głębinę.

Pobliska łódź wyłowiła pozostałych przy życiu wielorybników, lecz dwóch brakowało; jednym z nich był marynarz-terminator James Bartley.

Wiatr, który przywiódł "Gwiazdę Wschodu" na scenę tej tragedii, opuścił ją teraz i z łopaczącymi słabo żaglami kołysał na długiej martwej fali.

Jeszcze tego samego fatalnego dnia, krótko przed zachodem słońca, umierający wieloryb wypłynął na powierzchnię, dryfując w odległości czterystu metrów od statku. Załoga pospiesznie przymocowała do wieloryba linę. Upalna pogoda zmuszała do natychmiastowego ćwiartowania zwierzęcia. Ponieważ nie było żadnych środków, aby podnieść stutonowego ssaka na pokład, mężczyźni wzięli łopaty do płatania i ślizgając się, i obsuwając wzdłuż grzbietu stworzenia, zdzierali grubą warstwę tłuszczu. Robota brudna i niebezpieczna, jako że woda pełna była rekinów podnieconych zapachem krwi.

Tuż przed jedenastą w nocy, pracujący przy świetle latarni, zmęczeni już marynarze, wyjęli żołądek i ogromną wątrobę, które wciągnięto na statek do przerobu. Już na pokładzie zauważyli jakieś zaskakujące ruchy we wnętrzu gigantycznego brzuszyska... Powolny, rytmiczny ruch, który sprawiał wrażenie, jakby coś oddychało.

Kapitan pospiesznie wezwał lekarza okrętowego, który dokonał ogromnego cięcia w twardym mięsie... Pojawiła się ludzka stopa, but... i cała reszta. W chwilę później wyciągnięto jednego z zaginionych marynarzy... Był to James Bartley – zgięty wpół, nieprzytomny... ale żywy!

Prawdopodobnie z braku lepszych pomysłów podekscytowany lekarz kazał polewać Bartleya wiadrami morskiej wody. Kuracja ta pozwoliła na przywrócenie nieszczęśnikowi przytomności, lecz nie rozumu. Bartley bełkotał coś bezładnie, rzucając się po pokładzie w delirium. Przez prawie dwa tygodnie miotał się między życiem a śmiercią, przywiązany do koi w kabinie kapitana. Stopniowo, jak zapisał lekarz okrętowy w swoich notatkach podpisanych przez całą załogę, Bartley odzyskiwał zmysły – lecz minął miesiąc, nim był w stanie opowiedzieć, co się z nim działo.

Pamiętał, że został wyrzucony w powietrze, kiedy wieloryb strzaskał ich łódź, a kiedy wpadł z powrotem do morza, zobaczył rozwierającą się tuż przed nim ogromną paszczę. Krzyczał, gdy go pochłaniała. Czuł kłujący ból, kiedy przesuwał się wzdłuż małych ostrych zębów. Potem poczuł, jak ześlizguje się w dół śluzowatej rury... Pamiętał walkę o oddech... kopanie... potem rozkoszne zapomnienie, dopóki miesiąc później nie odzyskał świadomości w kabinie kapitana.

Był w żołądku wieloryba piętnaście godzin i w rezultacie stracił wszystkie włosy na ciele, jego skóra nienaturalnie zbielała i pozostał prawie zupełnie ślepy przez resztę życia, które spędził jako łatacz starego obuwia w swoim rodzinnym Gloucester.

Liczni lekarze z wielu krajów przyjeżdżali, by badać go i wypytywać. Żył jeszcze osiemnaście lat po swej strasznej przygodzie a na jego nagrobku jest krótka opowieść o niej i dopisek: James Bartley, 1870–1909 ...współczesny Jonasz.

# HINDUSKI TRIK Z LINĄ

Wiele farby drukarskiej zużyto zarówno na Zachodzie , jak i na Wschodzie, rozpisując się na temat legendarnej " hinduskiej sztuki z liną". Niektórzy twierdzą, że jest to największa sztuka iluzjonistyczna, inni zaprzeczają, by w ogóle była możliwa do wykonania.

Historia i opisy tej słynnej sztuki różnią się pod względem szczegółów, ale w ogólnym zarysie są do siebie podobne. Will Goldston, założyciel Londyńskiego Klubu Iluzjonistów, przedstawił taki jej opis:

"Iluzjonista siedzi ze skrzyżowanymi nogami na otwartej przestrzeni. Rzuca do góry jeden koniec leżącej w zwoju liny i kawałek ten o długości 4,5, a czasami 7 m, staje się sztywny jak słup. Mały chłopiec wspina się po tej linie i balansuje na jej końcu. Na hasło iluzjonisty znika, a później zostaje znaleziony w koszu albo pojawia się nagle w tłumie, przybiegając z jakiegoś odległego miejsca. Następnie, na sygnał iluzjonisty, lina, zwijając się, opada z powrotem na ziemię".

Czy sztuka ta jest fikcją? Czy w ogóle istnieją naoczni świadkowie potwierdzający jej wykonanie?

Historia podaje, że przed ponad tysiącem lat o sztuce tej powszechnie mówiono w Indiach. Pewien doktor filozofii przytoczył ją w 17 sutrze swojego dzieła *Vedanta sutras*.

Z tomu pt. *Travels*, napisanego przez Ibn Batutaha arabskiego albo mauretańskiego szejka, który w pierwszej połowie XIV wieku podróżował po Wschodzie, pochodzi poniższa relacja:

"... jeden z prestidigitatorów chana wziął do ręki drewnianą kulę, w której wydrążone były głębokie, podłużne otwory, a przez nie przeciągnięty był sznur. Rzucił ją do góry, aż zniknęła z pola widzenia, czego sam byłem świadkiem, zaś sznur pozostał mu w ręce. Rozkazał wówczas jednemu ze swych uczniów chwycić za ów sznur i wspiąć się po nim, co ten zrobił i zniknął z pola widzenia. Nauczyciel wołał go trzy razy, ale nie było odpowiedzi. Wziął wówczas do ręki nóż i najwyraźniej rozgniewany chwycił sznur, po którym wspiął się, również znikając. Następnie zrzucił na ziemię odciętą rękę chłopca, potem jego stopę, później drugą rękę, drugą stopę a w końcu tułów i głowę. Potem sam zszedł na dół, z trudem łapiąc oddech, a jego ubranie poplamione było krwią. Magik wziął następnie poszczególne części ciała chłopca i poskładał je ze sobą, po czym podeptał je i chłopiec powstał cały i zdrowy..."

W czasopiśmie iluzjonistów "Magic World" S.W. Clarke pisze o znalezieniu XVI-wiecznej wzmianki o tej sztuce, kiedy to w Magdeburgu "iluzjonista - magik rzucił sznur wysoko w powietrze, a mały konik wspiął się po nim do góry. On sam chwycił konika za ogon i poszedł w jego ślady..."

Na przełomie lat 1895 - 96, Gulam Mohammad, adwokat z Rajkot, widział wykonanie tej sztuki w Bombaju, gdy przebywał tam w hotelu "Great Western". W jego relacji lina i sznur z poprzednich opisów zmieniły się w nić trzymaną w naprężeniu przez dwóch pomocników, stojących po obu stronach. W czasach tych niewidoczna nić nie została jeszcze wynaleziona, nie znano nawet strun do pianina. Hinduscy fakirzy wykonywali niewidzialne nici ze specjalnie spreparowanych ludzkich włosów. Po obu końcach mogli stosować linę z katgutu, ponieważ te części przebiegającej poprzecznie liny znajdowały się w dużej odległości od widzów. Czas, jaki wybierano na wykonanie sztuki, to wieczór, tuż przed zmrokiem. Przy dźwiękach tajemniczej hinduskiej muzyki iluzjonista pokazywał zwój liny, utkanej z miękkich, bawełnianych nici. Lina ta liczyła około 12 m długości, na jednym ze swych końców miała ołowiany obciążnik, a na drugim zawiązany był węzeł. Dla efektu fakir rzucał linę do góry kilka razy - bez powodzenia: w końcu dzięki celnemu rzutowi koniec liny zaczepiał o zawieszoną poziomo nić. Nawet w dzisiejszych czasach przewody elektryczne i telefoniczne są prawie niedostrzegalne na tle zieleni, drzew i wzgórz – nietrudno więc uwierzyć, że widzowie nie dostrzegali poziomej nici.

Dźwiękami muzyki pomocnicy na szczytach obydwu wzgórz byli informowani, kiedy zacząć ciągnąć za swoje końce liny z katgutu. Tak więc, podobnie jak dziś unoszące się w powietrzu piłki i tańczące chusteczki są raczej podtrzymywane z góry niż z dołu, czego spodziewa się nawet współczesna widownia, również i ta lina ciągnięta była z góry, a nie "stawała pionowo". Gdy osiągnęła wysokość około 9 m, ludziom zdawało się, że wbrew prawom ciążenia sięga ona niebios.

Tak więc pierwszą część hinduskiej sztuki z liną można z powodzeniem wykonać na otwartej przestrzeni.

Przejdźmy teraz do drugiej części.

Mały chłopiec wspina się po pionowej linie, ręka za ręką, aż na jej szczyt. Po krótkim zabawieniu publiczności, iluzjonista wspina się za nim, trzymając w zębach ostry nóż. Kiedy jest już przy chłopcu, zaczyna zrzucać części ubrania analogiczne do tych, jakie miał na sobie chłopiec. Są one wysmarowane czerwoną farbą, a wraz z nimi zrzucane są kawałki mięsa świeżo zabitego zwierzęcia. Pomocnicy zbierają je z dużym namaszczeniem z głośnymi uwagami typu: "Gdzie jest lewe ramię?" W międzyczasie chłopiec ukrywał się pod układającymi się w fałdy szatami fakira. Wszystkie kawałki materiału i mięsa, które fakir miał początkowo pod swoim ubraniem, są już na dole i teraz chłopiec może zająć ich miejsce.

Iluzjonista schodzi na dół zupełnie wyczerpany. Pomocnicy pozbierali już " ciało" chłopca i umieścili wszystkie kawałki w koszu. Dodatkowe atrakcje w wykonaniu pomocników odwracają uwagę widowni i chłopak, wysunąwszy się spod obszernych szat fakira, wślizguje się do kosza.Następnie , chłopiec wyskakuje z kosza cały i zdrowy, aby zebrać monety i bakszysz.

Na sygnał długa lina opada miękko na ziemię - obydwaj pomocnicy rozmieszczeni na dwóch wzniesieniach, rozwiązali swoje końce. Przez cały czas pali się kadzidło, rozpalono też ognisko ku czci bogów, a gęsty dym utrudnia widoczność.

Słynna "hinduska sztuka z liną" nie jest więc wcale mitem. Można ją wykonać nie tylko w pomieszczeniu, ale także pod gołym niebem.

# POWIEDZ PSZCZOŁOM

Kiedy ktoś umiera, należy natychmiast powiadomić pszczoły, a ich roje okryć czernią – nakazuje stary obyczaj w Nowej Anglii; w przeciwnym razie odlecą i założą roje gdzieś indziej.

Był chłodny dzień lutowy 1959 roku w południowo-wschodnim stanie Missouri. Wydawało się, że szare chmury wiszące nisko na niebie prawie dotykają gołych drzew. Był to smutny dzień pogrzebu.

Charles D. Hitt, drobny farmer mieszkający wśród łagodnych wzgórz koło Moreley, Scott County w Missouri, uprawiał kantalupy i arbuzy, a także trzymał pszczoły. Wiele lat wcześniej ktoś powiedział, że pszczoły pomagają w uprawie arbuzów i Hitt bardzo przywiązał się do swoich pasiek.

Wydawało się, że wszedł w pewien rodzaj układu ze swoimi skrzydlatymi przyjaciółmi, które zdawały się odczuwać jego miłość i przywiązanie. Tylko on mógł je dotykać, pracować z nimi, spacerować między rzędami rojów i nigdy nie został użądlony. Reszta rodziny zawsze trzymała się z daleka. Jeśli ktoś inny zaryzykował i zbliżył się, niezmiennie zostawał ukarany.

Po nagłej śmierci w domu na atak serca, Hitt został przeniesiony do odległej o 10 kilometrów kaplicy.

W dzień pogrzebu, o pierwszej po południu, cała rodzina była na farmie ich zmarłego ojca. Nagle ponad rozmowami przyjaciół i znajomych wszyscy usłyszeli brzęczenie pszczół. Pszczoły w środku zimy? To niemożliwe!

Nadszedł czas wyruszenia do kościoła i ostatniego pożegnania.

Tuziny pszczół brzęczały nad głowami uczestników pogrzebu, a jedna lub dwie delikatnie przysiadły na rękach i twarzach, jak gdyby chciały pocieszyć ludzi w ich smutku. Uczestnicy pogrzebu odjechali zdumieni.

Czy pszczoły wiedziały, że ich pan był blisko, w małym miejskim kościółku?

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w kościele, a potem na cmentarzu Forest Hills. Kiedy rodzina zgromadziła się przy grobie, zauważono w wiązankach kwiatów mnóstwo pszczół. Wiele myśli przebiegło przez głowę córki zmarłego. Przypomniała sobie poranną rozmowę przy śniadaniu i swoje zdawkowe pytanie: "Zastanawiam się, czy pszczoły taty wyroją się dzisiaj, jak to jest powiedziane w starej angielskiej legendzie?" i spokojne zapewnienie jej męża: "Nie wyroją się – jest przecież środek zimy. One zapadły w zimowy sen". Ale pszczoły tu były!

Później, po ceremonii i ułożeniu kwiatów, cała rodzina wróciła na cmentarz. Kiedy zbliżano się do grobu, druga z córek, bardzo podniecona, zbiegła ze wzgórza krzycząc: "Pszczoły nadlatują w wielkich ilościach".

Kościelny i inni, którzy jeszcze byli na cmentarzu, patrzyli razem z rodziną zmarłego na pszczoły zbliżające się "w linii". Wielka czarna chmura pszczół nadlatywała bezpośrednio od domu zmarłego nad dolinę. Obsiadły płatki kwiatów, którymi przystrojony był grób. I nie użądliły nikogo ze zgromadzonych, mimo że pełzały po twarzach, ramionach i rękach.

Kiedy uczestnicy pogrzebu wrócili do domu, spotkali młodszego syna zmarłego. Był tak samo podekscytowany jak oni. Pszczoły taty obudziły się – powiedział – opuszczają roje setkami.

Nie wróciły. Może podążyły za swoim przyjacielem, aby się z nim połączyć?

# Niezwykłe odkrycia

# DZIWNY SILNIK JOHNA KEELY'EGO

Potężny huk silnika wstrząsnął budynkiem. Jeszcze mocniej wstrząsnął ówczesną teorią energii.

Dwudziestu trzech mężczyzn tłoczyło się w małym pokoiku, w którym stał budzący sensację motor. Zgromadzeni tu inżynierowie, bankierzy i biznesmeni byli inwestorami. Nieustannie łożyli spore sumy na nie kończące się doświadczenia wynalazcy. Od lat czekali, by ich zainwestowane pieniądze zaczęły wreszcie procentować. John Keely obiecał im, że właśnie dziś zademonstruje, czego dokonał. Wkrótce mieli się przekonać kim był: oszustem czy geniuszem.

Keely nie spojrzał nawet na poważne twarze ludzi stłoczonych w pokoju. Najwyraźniej ignorował zarówno ich, jak i przeraźliwy hałas, od którego drżały szyby w oknach. Z ciężkiej, stalowej maszynerii, przykręconej do potężnej, kamiennej podstawy dobiegało narastające buczenie. Zaczęła drżeć podłoga. Keely wiedział, że jest panem sytuacji, ponieważ tylko on potrafił obsługiwać maszynę. Z namaszczeniem lekko dotknął przycisku i wtedy warkot przeniknął wszystkich obecnych do szpiku kości.

Kiedy leciutka, błękitna mgiełka spalin rozwiała się, zebrani zobaczyli jak z maszyny, z nieprawdopodobną siłą, wyśtrzeliła jednocalowa ołowiana kulka, która przebiła na wylot dwie dębowe płyty i utkwiła w piasku, w pudle umieszczonym przy przeciwległej ścianie. Tak, to robi wrażenie – przyznała komisja. Ale kiedy ta ukryta moc będzie mogła być użyta w taki sposób, aby zwróciły się nasze koszty?

Spotkanie z komisją w listopadzie 1870 roku nie było dla Johna Kelly'ego niczym nowym. Nie po raz pierwszy urządzał dla nich pokazy, a oni niezmiennie żądali zysków.

Jak na genialnego wynalazcę John miał niezwykły życiorys. Urodzony w Filadelfii w 1827 roku, pracował jako cieśla, skrzypek, magik, którego specjalnością były sztuczki karciane, wreszcie jako traper dotarł do Gór Skalistych. Poważnie raniony indiańską strzałą, powrócił do Filadelfii, gdzie dość długo się kurował.

Był to czas ogromnego zapotrzebowania na kontrolowaną energię. Siła wody i pary nie spełniały już wymogów potężniejącego przemysłu. Trzeba było znaleźć jakieś nowe, tanie źródło energii i okiełznać ją, by obracała koła młynów i napędzała maszyny fabryk.

John Keely po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę ogłaszając w 1871 roku, że odkrył wspaniałe, nowe źródło energii. Określił je bardzo niejasno – jako "urządzenie, które rozdziela siłę kontrolującą atomowy skład materii". Niektórzy poddali jego stwierdzenie w wątpliwość, inni go zignorowali – wszyscy zaś byli bardzo sceptyczni. Keely twierdził, że jego silnik działa na zasadzie "wibracji harmonicznych", jego przeciwnicy natomiast odpowiadali, że siłą napędową było gorące powietrze wytwarzane przez konstruktora. Jakkolwiek to się działo, powstała jakaś siła, która zgniatała stalowe szyny i rozszczepiała gigantyczne liny okrętowe na włókna. W owym czasie była to moc przekraczająca wszelkie wyobrażenia.

W grudniu 1882 roku rozwścieczeni inwestorzy zażądali wyjawienia sekretu. Keely zgodził się tajemnicę cudownego silnika wyjawić każdemu naukowcowi wskazanemu przez komisję. Wybrano Edwarda Bakela, który, gdy tylko obejrzał maszynę, przekonał się do niej. Zakomunikował zniecierpliwionym inwestorom, że chociaż nie zrozumiał istoty działania wynalazku, pojął wystarczająco dużo i stwierdza, że Keely rzeczywiście dokonał wielkiego odkrycia.

Szczęśliwa passa Johna Kelly'ego skończyła się w 1888 roku, kiedy to udziałowcy posłali go do więzienia za zlekceważenie nakazu sądowego zobowiązującego go do ujawnienia tajemnicy silnika.

Po odbyciu kary jego eksperymenty finansowała bogata wdowa, aż do jego śmierci w 1898 roku. Udziałowcy splądrowali wówczas pracownię wynalazcy, jednakże znaleziona tam aparatura i konstrukcje pozostawały dla wszystkich zagadką.

Keely zabrał swą tajemnicę do grobu. Naukowcy nigdy nie doszli do tego, jak działał jego motor. Świadkowie zaś byli zgodni tylko co do jednego: silnik wydawał huczący dźwięk. Pozostaje pytanie: czy dane im było asystować przy narodzinach wielkiego odkrycia, czy... słyszeli jedynie przekonujący szum mistyfikacji?

# ZAPOMNIANY WYNALAZEK

Wiele lat wcześniej, nim Marconi wsławił się bezprzewodowym wysyłaniem i odbieraniem sygnałów radiowych, pewien farmer z Kentucky publicznie wysyłał i odbierał bezprzewodowo zarówno głos, jak i muzykę. Jego sukces jest nie mniej dziwny niż zapomnienie, jakie go spotkało.

Tłum, który przybył pod budynek sądu w Murray w Kentucky, tego pamiętnego dnia w 1892 roku nie miał zielonego pojęcia o historycznym znaczeniu wydarzenia, którego miał być świadkiem. Setki ludzi przybyły tam, aby wyszydzić starania ekscentrycznego faceta o nazwisku Nathan Stubblefield. Twierdził on mianowicie, że może bez użycia przewodów przesłać wiadomości na odległość. I nawet gdy zgromadzeni ujrzeli to na własne oczy, nie docenili wielkości tego wydarzenia.

A działo się to tak.

W dwu punktach odległych od siebie o około 60 m, na trawniku przed gmachem sądu, Stubblefield postawił dwa pudełka, które nie były połączone w żaden sposób. Każde z nich zawierało telefon. Kiedy Stubblefield i jego syn rozmawiali ze sobą z przeciwnych stron trawnika, ich głosy mogły być doskonale słyszane przez ciekawski tłum, który oblegał każde z pudełek.

Kiedy historyczne wydarzenie zakończyło się, Stubblefielda nagrodzono parskaniami i gwizdami. Ze złością załadował swój ekwipunek na wóz i wyrzucając sobie głupotę, że urządził ten pokaz przed bandą takich idiotów, pojechał do domu.

Był rok 1892. Marconi, który miał się stać człowiekiem uważanym za ojca łączności bezprzewodowej, miał wtedy 18 lat. Nathan Stubblefield, monter telefonów, ledwo wiążący koniec z końcem na farmie w Calloway County, przeprowadził publiczny pokaz transmisji bezprzewodowej ludzkiego głosu po raz pierwszy w historii ludzkości i został wygwizdany za swe osiągnięcie.

Jakieś wieści o wyczynie Stubblefielda, dotarły jednak do gazety "St. Louis Post Dispatch", która napisała do niego, prosząc o demonstrację urządzenia.

Kilka tygodni później gazeta otrzymała list z odpowiedzią: "Przyjmuję wasze zaproszenie. Przyjeżdżajcie do mnie, kiedy tylko chcecie. Nathan Stubblefield, wynalazca". Jeden z reporterów przyjechał na małą farmę Stubblefielda 10 stycznia 1902 roku. Wynalazca wręczył mu telefon zaopatrzony w parę długich na około 1,2 m prętów i poprosił, by wziął on swój sprzęt i ulokował się z nim gdzie tylko chce w sąsiedztwie, zaś pręty wbił w ziemię i przyłożył słuchawkę do ucha.

W reportażu z tej przygody, zamieszczonym w powyższej gazecie, dziennikarz opisywał, jak to odszedł na około 1,5 km od domu wynalazcy, wbił w ziemię druty i dosłownie: "Mogłem słyszeć każdą sylabę, jaką chłopiec Stubblefielda wymawiał do transmitera, tak wyraźnie, jakby stał on i mówił do mnie z drugiego końca pokoju".

W jaki sposób to się działo? Stubblefield wyjaśnił reporterowi, że użył jedynie pola eletrycznego, które przenika ziemię, wodę i atmosferę. Przepowiedział też, że pewnego dnia bezprzewodowe transmisje umożliwiają ludziom żyjącym w Kentucky słuchanie prognoz pogody ze stolicy, muzyki oraz wiadomości z różnych miejsc na całej kuli ziemskiej.

Artykuł pociągnął za sobą zaproszenie Stubblefielda do Filadelfii. Proszono go o zademonstrowanie swych urządzeń przed zainteresowanymi finansistami. Stubblefield odniósł tam swym pokazem niebywały sukces w maju 1902 r., a później pojechał do Waszyngtonu, gdzie ponownie zadziwił naukowców magią swych możliwości.

I tym razem jednak sceptycy tylko czekali na jego porażkę. Niedorzecznością było spodziewać się, aby ten niewykształcony facet ze wzgórz w Kentucky wysyłał i odbierał przekazy nadawane głosem, podczas gdy Marconi mógł przesyłać tylko jakieś kreski i kropki.

Skrzynka ze sprzętem Stubblefielda została umieszczona na małym parowcu "Bartholdi", a dziesiątki ważnych osobistości zajęły wybrane przez siebie miejsca na brzegu. Po wbiciu prętów w ziemię rozpoczęły się rozmowy radiowe.

"Washington Evening Star" podała w nagłówkach w numerze z 21 maja 1902 r.: "Pierwszy praktyczny test telegrafii bezprzewodowej słyszalny na odległość 800 m. Wynalazek farmera z Kentucky. Bezprzewodowa telekomunikacja jest faktem poza wszelkimi wątpliwościami".

Aplauz wciąż dudnił w jego uszach, biznesmeni błagali o kontrakty, które umożliwiłyby mu rozwój wynalazku, a Stubblefield spakował swoje urządzenia i pojechał do domu. Obawiał się, że ktoś mógłby ukraść jego pomysł. Opatentował wprawdzie swoje urządzenie, ale patenty były zbyt skomplikowane dla tych, którzy usiłowali je przeanalizować.

Z czasem, gdy inni prowadzili badania nad przesyłaniem głosu na odległość, Stubblefield, który czynił to już wiele lat wcześniej, popadał w coraz to większe przygnębienie, a zarazem stawał się zawzięty. Aż w końcu znaleziono go martwego w jego obskurnej chacie wiosną 1929 roku. Jego urządzenia zniknęły, a notatki były zniszczone i rozrzucone.

Teraz tylko kamień pamiątkowy na trawniku przed sądem w Murray znaczy miejsce, gdzie Stubblefield wpisał się na karty historii w roku 1892. Przepowiedział on z zadziwiającą dokładnością cud radia i telewizji – a o sobie powiedział z niepodważalną trafnością: "Żyłem o 50 lat za wcześnie".

# ZAKLINACZ DESZCZÓW

Przez dwa upalne, gorące lata zaledwie 5 cm deszczu spadło na spieczoną ziemię wokół San Diego. Do stycznia 1916 roku miasto było na krawędzi suszy. Już trzy miesiące upłynęły od ostatniego, skąpego, przelotnego deszczyku. Zbiorniki były praktycznie puste. Coś trzeba było zrobić i to szybko.

Ryzykując, że zostaną wzięci za idiotów, nękani członkowie rady miejskiej głosowali za skorzystaniem z usług człowieka zawodowo zajmującego się sprowadzaniem deszczu. Mieli propozycję od niejakiego Charlesa Hatfielda, byłego sprzedawcy maszyn do szycia, który twierdził, że za opłatą może sprowadzić deszcz. Zaangażowano go.

I dzięki Hatfieldowi deszcze nadeszły, jak towar "płatny przy odbiorze".

Jak sam stwierdził, zauważył on, że po wielkich bitwach często bywały wielkie burze. Zwrócił też uwagę, że podczas wielkich bitew chmury dymu armatniego unosiły się w niebo; dla Hatfielda stanowiło to dowód, że spalony proch – jak to ujął – naruszał równowagę przyrody w powietrzu. Kiedy równowaga ta została już zachwiana, jak mówił Hatfield, tworzyły się chmury i spadał deszcz.

Od wielu lat eksperymentował na farmie swego ojca w stanie Kansas, ustawiając na wieżach ogromne, drewniane kadzie... kadzie, z których unosiły się w górę dymy chemicznych oparów, a po jakimś czasie nadciągały deszcze... Czasami nawet deszcze ulewne. Hatfield odkrył także, że są tacy, którzy zapłacą mu za jego usługi.

Farmerzy z doliny San Joaquin zatrudniali go co roku, aby sprowadzał im obfitsze deszcze. Płacili mu dziesięć tysięcy dolarów rocznie i byli zadowoleni z rezultatów. Poszukiwacze złota z Dawson City, w stanie Alaska, zapłacili mu dwadzieścia jeden tysięcy dolarów, aby zmusił niebo do zapełnienia wodą ich suchych koryt do przepłukiwania kruszcu, a jego wysiłki uwieńczone zostały 10 cm deszczu.

Tak więc, gdy w końcu San Diego zgodziło się na jego propozycję wywołania deszczu w styczniu 1916 roku, nie było to dla niego nic nowego. W dniu, w którym go zaangażowano, zdemontował swoje wieże w dolinie w północnej Kalifornii, gdzie jego wysiłki "naruszenia równowagi przyrody" uwieńczone zostały 45 cm opadów.

Gdyby mógł dać San Diego choć połowę tej ilości – miasto byłoby uratowane. A jeśliby mu się to nie udało, miasto by nie zbiedniało – byłoby tylko bardziej spragnione.

Głównym źródłem zapasów wody dla San Diego było jezioro Morena; sztuczny zbiornik, który nigdy nie był bardziej wypełniony wodą niż w jednej trzeciej, przez całe 20 lat swego istnienia. Gdy Hatfield przybył na miejsce, poziom wody w jeziorze osiągnął stan krytyczny... Był to już tylko nagrzany, śmierdzący, błotnisty dół i nic więcej.

Hatfield przedstawił miastu dwie oferty: tysiąc dolarów za każde 2,5 cm deszczu wieńczącego jego wysiłki albo dziesięć tysięcy dolarów za napełnienie wodą nigdy dotąd nie wypełnionego jeziora – co zabezpieczyłoby potrzeby miasta na dwa lata, nawet gdyby przez ten czas nie spadła ani kropla deszczu.

Przez kilka dni radni miejscy dawali wymijające odpowiedzi, mając daremną nadzieję, że przyroda sama da miastu wodę i wybawi ich od kłopotów. Ale gdy czwartego dnia ranek był tak samo upalny i bezchmurny jak poprzednie – zaangażowano Hatfielda; kazał on więc robotnikom montować i ustawiać swoje wysokie, drewniane wieże.

Po 24 godzinach od chwili gdy owe wieże zaczęły wyrzucać w niebo swe cuchnące opary, zaczął padać deszcz. Na ulicach stały tłumy wiwatujące na cześć Hatfielda. Farmerzy jechali w strugach deszczu nad brzeg jeziora Morena, aby uścisnąć mu dłoń. Lecz radość nie trwała długo. Trzeciego dnia ciągłych opadów wystawa w San Diego została "zmyta", a tor wyścigowy Tia Juana zalany.

Rada miejska wezwała Hatfielda, aby spróbował, czy nie dałoby się zmniejszyć potoków deszczu. Następnego dnia szesnaście psów utonęło w miejskim stawie, po właścicieli gospodarstw hodowlanych ruszyły łodzie ratunkowe, a człowiek zajmujący się opracowywaniem prognoz meteorologicznych przyznał, że po raz pierwszy w historii miasta nie może przewidzieć stanu pogody. Linia telegraficzna i telefoniczna były zalane... Mosty kolejowe zerwane... a deszcze ciągle padały.

Zbiorniki wodne Otay i Sweetwater wypełniły się... wylały... a w końcu zapory ziemne rozpadły się i woda z impetem popłynęła w dół doliny... Ściana wody o wysokości 1,5 m pochłonęła życie 50 osób.

W tej krytycznej sytuacji wezwano wojsko... Jezioro Morena – wypełnione po brzegi – wylało po raz pierwszy w swej historii... tak jak przewidział to Hatfield. Po tym wszystkim zdemontował on swe dymiące wieże i udał się po należne mu pieniądze. Miasto, zajęte usuwaniem skutków powodzi, odmówiło mu zapłaty, a wiele lat później jego pozew został ostatecznie odrzucony.

Naukowcy orzekli, że jest on oszustem, a jego metoda jest bezwartościowa i nieskuteczna. Lecz zanim zmarł w 1958 roku, dożył chwili, kiedy to sami naukowcy sprowadzili deszcz, wyrzucając w powietrze chemiczne opary. Tak, jak on to robił przed czterdziestu laty.

# ISKRA ŻYCIA?

Czy pewien zapomniany naukowiec amator odkrył iskrę życia? Czy Andrew Crosse przypadkowo stworzył życie, oddziałując prądem elektrycznym na związki chemiczne? Jeżeli nie, to co to było? Notatki z przebiegu jego doświadczenia są jasne, ale wynik eksperymentu pozostaje ciągle zagadką.

Sąsiedzi Andrew Crosse'a uważali go za diabła. Nie wiedzieli, skąd się biorą w nocy błyski w jego laboratorium. A on po prostu eksperymentował ze swoimi urządzeniami elektrycznymi. Nie tylko bano się i wystrzegano "człowieka piorunów i błyskawic", ale głoszono także, że jest ateistą, bluźniercą i Frankensteinem, który powinien zostać zakuty w łańcuchy w imię bezpieczeństwa ogółu.

Andrew Crosse zajmował się bardzo dziwnymi rzeczami – jak na początki dziewiętnastego wieku. Jeden z jego eksperymentów do dziś uważany jest za rzecz bardzo tajemniczą.

Był zapalonym amatorem doświadczeń z elektrycznością. Nie miał żadnego kontaktu z innymi naukowcami i nie wiedział, co dotychczas osiągnięto w tej dziedzinie. Nie wiedział właściwie, co sam robi. Jednak może właśnie ta niewiedza pozwoliła mu przeprowadzić eksperyment, którym wpisał się do księgi zagadek nauki.

Andrew chciał otrzymać sztuczne kryształy na drodze oddziaływania słabym prądem elektrycznym na określone związki chemiczne. Zmieszał krzemian potasu z kwasem wodorochlorowym i wrzucił do tej mieszanki duży kawałek tlenku żelaza. Następnie przez roztwór przepuścił prąd z małej baterii. Miał nadzieję, że w ten sposób otrzyma sztuczne kryształki krzemu.

Taką mieszaninę związków chemicznych i prądu odstawił na jakiś czas i wrócił do swojego ulubionego zajęcia – wywoływania i obserwowania błysków, które tak niepokoiły sąsiadów.

Czy przypadkowo odkrył sposób tworzenia się życia z materii nieorganicznej?

W sprawozdaniu dla Londyńskiego Towarzystwa d/s Elektryczności Andrew dokładnie przedstawił swoje doświadczenie. Pisał: "14-go dnia po rozpoczęciu eksperymentu zaobserwowałem przez szkło powiększające kilka małych białawych ziarenek przylepionych wokół naelektryzowanego tlenku żelaza. Cztery dni później ziarenka powiększyły się i zauważyłem, że od każdego z nich odchodzi 6 albo 8 włókienek.

26-go dnia obiekty przybrały kształt owadów. Chociaż uważałem to za coś niezwykłego, nie przywiązywałem do tego dużego znaczenia aż do dnia 28-go, kiedy zobaczyłem, że obiekty te poruszają nogami. Muszę przyznać, że oniemiałem z wrażenia. Kilka dni później odczepiły się od kamienia i poruszały się swobodnie w żrącym roztworze kwasowym.

W ciągu kilku tygodni na tlenku żelaza powstało ponad sto nowych osobników. Zauważyłem, że mniejsze mają 6 nóg, a większe 8. Pokazałem je kilku naukowcom. Niektórzy twierdzili, że są z gatunku *Acari*, inni byli przekonani, że to zupełnie nowy gatunek.

Nigdy nie odważyłem się wygłaszać opinii na temat przyczyn ich narodzin. Po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć. Myślałem, że mogły narodzić się w powietrzu, wniknąć do roztworu i tam dalej rozwijać się. Przeprowadziłem więc taki sam eksperyment w szczelnie zamkniętych naczyniach i okazało się, że wynik był identyczny. Dlatego jestem pewien, że muszą one rodzić się w naelektryzowanym roztworze dzięki jakiemuś procesowi, którego nie potrafię wyjaśnić".

Andrew Crosse wiedział, jak ryzykowne jest to, co głosi.

Opisując doświadczenie tak niezwykłe i niezrozumiałe, narażał się na kpiny ze strony innych naukowców. Nie musiał długo czekać. Okrzyknięto go żartownisiem i oszustem. Mówiono, że jego rzekome owady to tylko brednie.

Crosse był bezsilny. Nie stanęli po jego stronie nawet ci, którzy przeprowadzili jego doświadczenie i otrzymali podobne wyniki.

Wreszcie odezwał się głos w jego obronie i był to głos tak silny, że nikt nie śmiał się mu sprzeciwić. Należał do wielkiego Michaela Faradaya.

Faraday złożył raport w Instytucie Królewskim, że przeprowadziwszy eksperyment Crosse'a także zaobserwował rozwój małych żyjątek. Wiedział, że wynik tego eksperymentu może być kamieniem milowym w rozwoju nauki.

Crosse nigdy nie twierdził, że odkrył coś nowego. Po prostu składał tylko relację z tego, co zaobserwował. Kiedy wrzawa wokół niego ucichła, zamknął się w swoim domu w Quontock Hills i żył tam szczęśliwie przez wiele lat, pomiędzy probówkami i bateriami.

# MARTWI ODKRYWCY

Od wieków ludzie szukali drogi z Atlantyku na Pacyfik przez Morze Arktyczne – słynnego przejścia północno-zachodniego. Lecz ci, którzy je w końcu znaleźli, ani nie byli tego świadomi, ani w ogóle nic już nie czuli – byli martwi.

W poszukiwaniu wodnej drogi, łączącej kontynent Ameryki Północnej z Morzem Arktycznym, wielu ludzi straciło fortuny – jedni robili to dla sławy, inni w nadziei skrócenia drogi handlowej. I wreszcie tak długo poszukiwane przejście zostało odkryte – ale w jakże niesamowitych okolicznościach. Gdyby nie była tak dobrze udokumentowana, historia odkrycia północno zachodniego przejścia arktycznego byłaby zupełnie niewiarygodna.

Rankiem 12 sierpnia 1775 roku, amerykański statek wielorybniczy "Herald" krążył wokół zachodnich brzegów Grenlandii, daleko za kołem podbiegunowym. Polowanie na wieloryby dawało kiepskie wyniki, więc podwojono liczbę obserwatorów, aby zapobiec ewentualnemu przegapieniu zwierzyny. Mijała godzina za godziną, a "Herald" wciąż płynął przez puste, lodowate połacie... Może niezupełnie puste, ponieważ pomiędzy wielkimi górami lodowymi obserwatorzy dostrzegli trójmasztowy szkuner najwyraźniej dryfujący bez celu. Żagle szkunera wisiały w strzępach, maszty były oblodzone – statek wyglądał jak wymarły.

Kiedy dostrzeżono dziwny szkuner, dryfował on w odległości trzech–czterech mil od "Heralda" w podmuchach łagodnego wiatru. Kapitan Warren ostrożnie posuwał się naprzód, aż tajemniczy gość zbliżył się na odległość, pozwalającą go powitać. Liczne próby nawiązania kontaktu ze szkunerem nie przyniosły jednak żadnego rezultatu – statek nie dawał znaku życia. Kapitan Warren wraz z ósemką marynarzy wsiadł do łodzi i podpłynął do statku-widma. Długi upływ czasu i niepogody prawie zatarły jego nazwę, ale Warren zdołał ją w końcu odczytać. Statek nazywał się: "Octavius". Nigdy o nim nie słyszał.

Płynąc wzdłuż burty szkunera, Warren ponawiał powitanie, ale znów odpowiedziała mu tylko cisza. Żaglowiec wyglądał jak siedlisko duchów. W tej sytuacji nie można się dziwić, że żaden z marynarzy nie wykazał specjalnej ochoty, by wejść na jego pokład. Ponieważ nie było ochotników, kapitan Warren sam wyznaczył czterech marynarzy i razem z nimi wdrapał się na górę po zgniłych linach zwisających przez burtę.

Kiedy znaleźli się na górze, musieli stąpać ze szczególną ostrożnością, gdyż deski pokładu były mocno przegniłe i pokryte śliskim, zielonym mchem. Przy sterze nie było nikogo. Podobnie na całym pokładzie. Ale za to pod pokładem czekała ich nieprzyjemna niespodzianka. W pomieszczeniach załogi znaleźli ciała dwudziestu ośmiu ludzi – wszystkie w kojach, mocno opatulone... i wszystkie doskonale zakonserwowane przez arktyczny mróz.

Ślizgając się po omszałych deskach marynarze dostali się na rufę, a stamtąd do kabiny kapitana... Siedział na krześle, przy biurku, z głową pochyloną do przodu i piórem leżącym obok dłoni. Wyglądał jakby tylko zasnął przy pracy. Jego ręce i twarz były pokryte cienką warstwą zielonkawej pleśni, ale poza tym ciało było dobrze zachowane. W głębi kapitańskiej kajuty znalazła także śmierć jakaś kobieta, najwyraźniej jego żona. Kobieta spoczywała na łóżku szczelnie zawinięta w koc.

W rogu pomieszczenia siedział po turecku marynarz, lekko przechylony, z krzesiwem w mocno zaciśniętych dłoniach. Przed nim leżała mała kupka wiórów – niemy świadek nieudanej próby rozpalenia ognia. Obok z twarzą ukrytą w marynarskiej kurtce

– mały chłopiec; tulił się, szukając ciepła, którego nie było.

Kapitan Warren i jego ludzie zdjęli czapki z głów, zmówili modlitwę za zmarłych i wspięli się na pokład rozlatującymi się schodami, zabierając ze sobą dziennik okrętowy.

Stojąc przy relingu na swoim statku, kapitan Warren długo jeszcze wpatrywał się w wymarły żaglowiec, jak dryfował pomiędzy górami lodowymi, aż wreszcie zginął mu z oczu.

W dzienniku okrętowym "Octaviusa" pod datą 11 listopada 1762 roku, znaleziono ostatni zapis. Mówił on o tym, że statek został uwięziony w lodach przed siedemnastu dniami. Ogień zgasł... Kapitan próbował go ponownie rozniecić, lecz mu się to nie udało... Przekazał krzesiwo pierwszemu oficerowi. Załoga z lękiem w sercach oczekiwała na wiadomość o rozpaleniu ognia – zimno było nie do zniesienia i w oczy zaglądała im lodowa śmierć.

Położenie statku? 160 stopień długości geograficznej zachodniej i 75 stopień szerokości geograficznej północnej. Kapitan Warren przeczytał to jeszcze raz, żeby upewnić się, czy dobrze widzi. Poprosił swoich oficerów o sprawdzenie pozycji określonej w dzienniku. Wszystko się zgadzało. W dniu swej zguby "Octavius" ugrzązł wśród lodów Morza Arktycznego, na północ od Point Barrow w stanie Alaska – tysiąc mil od miejsca, gdzie napotkał go kapitan Warren.

W jakiś cudowny sposób, po śmierci załogi, statek przetrwał działanie warunków atmosferycznych i powoli, rok po roku, przemieszczał się na wschód przez ogromne pola lodowe – aż w końcu wpłynął na Morze Arktyczne. "Octavius" znalazł długo poszukiwane przejście północno-zachodnie. Uczynił to z martwym kapitanem i martwą od trzynastu lat załogą. Martwi odkrywcy.

# Niezwykli ludzie

# KARŁY I LILIPUTY

Czy istniała kiedyś na Ziemi rasa maleńkich ludzi? Jak wyjaśnić istnienie na całym świecie budowli i przedmiotów, które zdają się być dziełem miniaturowych istot ludzkich? Czy krasnoludki znane nam z bajek są właśnie tym tajemniczym ludem, którego ślady tak intrygują archeologów?

Uczeni od dawna próbują rozwiązać zagadkę labiryntu wąskich tuneli i schodów, które zostały odkryte w Sacsahuaman, w ruinach z czasów sprzed epoki Inków oraz w innych najstarszych miastach Ameryki Południowej. Tunele te są tak ciasne, że nawet dzieciom trudno jest przecisnąć się przez ich ostre zakręty, a furtki tak wąskie, że używać ich mogłyby wyłącznie karzełki. Jednakże i tunele i furtki noszą ślady użytkowania, nawet intensywnego, gdyż twarde kamienie, którymi wyłożono korytarze, są mocno wytarte.

Kim byli ci miniaturowi ludzie?

Skąd przybyli?

Co się z nimi stało?

Prawdopodobnie nigdy nie znajdziemy odpowiedzi na te pytania. Jest na to za późno. Odkrycie jakichkolwiek wskazówek lub dowodów graniczyłoby z cudem. Wszystko, co pozostało, to kilometry wąskich tuneli wykutych w twardej skale i wydeptanych maleńkimi stopami oraz dzieła sztuki znajdowane w rozmaitych miejscach na Ziemi, a wśród nich przepiękne maleńkie ozdoby z kości słoniowej i tak zwane pigmejskie krzesiwa, a także perfekcyjnie wykonane groty do strzał, długie zaledwie na 2,5cm, ale niewątpliwie wykonane ludzkimi rękami.

Ręce, które stworzyły te przedmioty, zniknęły w otchłani czasu, a te wytwory są świadectwem, że ich twórcy byli bardzo małymi ludźmi.

Do dziś dnia spotyka się przedstawicieli rozproszonej rasy małych ludzi. Należą do niej Buszmeni z Afryki. Dojrzały człowiek z tego plemienia ma około 120 cm wzrostu. Niektórzy australijscy aborygeni mierzą mniej niż 150 cm, ale najmniejsi z nich robią wrażenie skarłowaciałych, prawdopodobnie z powodu chorób albo niedożywienia. Jednak ani Buszmeni, ani aborygeni nie są naprawdę mali. Rzeczywiście maleńcy ludzie żyją między nami. Mogliby oni z łatwością używać "pigmejskiego krzesiwa" i spacerować po zbyt ciasnych dla nas korytarzach, które tak ciekawią naukowców.

Tych ludzi jest kilkudziesiąt tysięcy i można ich podzielić na dwie kategorie: karły, które mają głowy i tułów normalnej wielkości, ale krótkie ręce i nogi, oraz liliputy, które są na ogół proporcjonalnie zbudowane, ale znacznie mniejsze od zwykłych ludzi.

Niektórzy z nich wyróżnili się w wielu dziedzinach. Karol III, Pepin Mały, Grzegorz z Tours, historyk Procopius, wszyscy byli albo karłami, albo liliputami. Hun Attylla, zwany "biczem bożym", także był karłem. Hussein Pasza, wsławiony swoimi reformami politycznymi, był liliputem. Ezop, autor słynnych bajek, był karłem i miał około 100 cm wzrostu. Angielski malarz, Gibson, mierzył dokładnie 93 cm, jego żona tyle samo, ale ich dziewięcioro dzieci było zdrowych i osiągnęło normalny wzrost. W Londynie, w 1742 roku, znany złotnik Robert Skinner poślubił dziewczynę swojego wzrostu, a ich ślub stał się wydarzeniem głośnym w całym kraju, ponieważ oboje mieli po 76 cm. Ich małżeństwo zostało pobłogosławione czternaściorgiem krzepkich i kształtnych dzieci normalnego wzrostu. W wieku czterech lat każde z nich było wyższe od rodziców.

Najsłynniejszym z amerykańskich liliputów był Charles

Stratton z Bridgeport w stanie Connecticut, który przestał rosnąć w wieku pięciu miesięcy, kiedy miał zaledwie 53 cm wysokości, czy raczej krótkości. Był pokazywany publicznie jako Tomcio Paluch i zebrał ogromną fortunę. Podczas pokazów w Londynie, jego opiekun, P.T. Barnum, usłyszał o ślubie złotnika Roberta Skinnera i jego maleńkiej oblubienicy i zdecydował, że przygotuje podobne widowisko w Ameryce. Ślub, który potem nastąpił, ślub Tomcia Palucha i Lavinii Warren, damy tej samej co on postury, stał się jednym z najgłośniejszych wydarzeń tej dekady. Punktem kulminacyjnym uroczystości było zaprezentowanie maleńkiej pary prezydentowi Lincolowi i jego małżonce w Białym Domu.

Prawdopodobnie najmniejszą z istot ludzkich występujących publicznie w Stanach Zjednoczonych była dziewczyna z Meksyku, Lucia Zarete, która miała podobno tylko 45 cm wzrostu i ważyła niecałe 6 kg w wieku dwudziestu lat. Została przeszmuglowana do Stanów Zjednoczonych w torbie.

Od czasów biblijnych aż po koniec Średniowiecza, karły i liliputy traktowano w sposób szczególny. Niektórzy z cesarzy rzymskich kolekcjonowali karły tak, jak inni ludzie zbierają obrazy. W 1566 roku kardynał Vitelli wydał w Rzymie bankiet, na którym gośćmi honorowymi były trzydzieści cztery karły.

Piotr Wielki w 1710 roku utrzymywał siedemdziesięciu dwóch maleńkich ludzi jako dworzan. Byli oni specjalną atrakcją uroczystości dworskich.

Najsłynniejszy angielski liliput, Geoffrey Hudson, miał około 45 cm wzrostu w wieku trzydziestu lat, kiedy to stoczył niezapomniany pojedynek z żarłocznym indykiem, który obraził go kradnąc mu obiad. Geoffrey zwyciężył w pojedynku... i zjadł indyka.

# OLBRZYMY NA ZIEMI

Czy prawdą jest, co mówi Biblia, że "byli ongiś na Ziemi olbrzymowie"?

Przez wieki Chińczycy wygrzebywali skamieniałe szczątki wymarłych dinozaurów oraz innych gigantycznych zwierząt i ścierali je na proszek. Sprzedawali go, jako skuteczne na wszystko lekarstwo, za bajońskie sumy, argumentując, że sporządzony jest ze świętych smoków.

W innych częściach świata znaleziska stosunkowo młodych szczątków mastodontów były bardzo często mylnie brane za szczątki gigantycznych ludzi. Mieszkańcy wyspy Shemya uważali np., że kości nogi mastodonta wskazują na ciężką budowę ciała ich przodków.

Wśród legend wielu narodów znajdują się opowieści o gigantycznych ludziach, którzy kiedyś wędrowali po świecie. Przekazy naukowe informują, że istnieją niejakie materialne dowody na poparcie tych legend.

W pobliżu Brayton, w okolicy źródeł rzeki Tennessee, znaleziono kilka śladów stóp odciśniętych w twardej teraz skale. Należały one do człowieka, którego pięty mierzyły 30,5 cm szerokości. Ślady pokazywały wyraźnie, że człowiek ten miał sześć palców i żył w tym samym czasie, co gigantyczne zwierzę przypominające konia o kopytach mierzących 30,3 na 30,5 cm.

Dowodem na istnienie człowieka w bardzo odległych czasach są rysunki na skałach w Kanionie Supai, na obszarze sławnego Wielkiego Kanionu. Jeden z nich przedstawia dinozaura typu *Tyrannosaurus rex*, który stoi wyprostowany na swoim wielkim ogonie i prawdopodobnie czyha na ofiarę.

Dinozaury prawdopodobnie wymarły na długo przed pojawieniem się człowieka na Ziemi, jednak rysunek przedstawiający dinozaura w akcji, musiał być przecież wykonany przez człowieka! Rysunek jest tak stary, że zawarte w wodzie sączącej się ze skały żelazo utworzyło ochronną powłoczkę, na co potrzebowało niesamowicie wiele wieków. Istnieją także dowody, że dinozaury mieszkały na bagnach, a na terenie, na którym znajduje się rysunek, nie było wody od ponad 10 mln lat. W Kanionie Havasupai jest jeszcze jeden rysunek skalny, pokazujący olbrzymiego człowieka broniącego się przed mamutem albo atakującego go. Również i ten rysunek jest pokryty patyną wieków.

W 1958 roku w jednej z włoskich kopalń znaleziono szkielet ludzki. Warstwa węgla, w której leżał, liczyła około 11 milionów lat. Był on jednak stosunkowo młody, w porównaniu ze znaleziskiem z listopada 1926 roku, kiedy to w kopalni Eagle Coal Mine w Bear Creek, w stanie Montana, górnicy znaleźli dwa olbrzymie ludzkie zęby trzonowe w warstwie obliczonej na co najmniej 30 milionów lat. Były tak wielkie, że mogły należeć tylko do jakiegoś olbrzyma.

W 1833 roku w Lompock Rancho, w stanie Kalifornia, żołnierze przygotowujący dół na proch dokopali się do warstwy żwiru i znaleźli w niej szkielet olbrzymiego człowieka o wysokości około 3,65 m. Szkielet otaczały rzeźbione muszelki, wielkie kamienne siekiery i kawałki porfirytu pokryte niezrozumiałymi symbolami. Olbrzym miał jedną cechę wartą odnotowania: po dwa rzędy zębów na górze i na dole.

Kiedy tubylcy zaczęli przypisywać olbrzymowi jakieś religijne znaczenie, władze rozkazały zakopać szkielet wraz ze znalezionymi przy nim przedmiotami.

Na wyspie Santa Rosa odkryto podobny wielki szkielet. Późniejsze badania wykazały, że olbrzym ten żywił się małymi słoniami, które żyły kiedyś na tej wyspie, i które wyginęły niezliczone wieki temu.

W 1891 roku w pobliżu Crittenden w stanie Arizona, robotnicy natknęli się na olbrzymi kamienny sarkofag, znajdujący 2,5 m pod ziemią. W sarkofagu była granitowa trumna, w której kiedyś złożono ciało człowieka o wysokości ponad 2,5 m i sześciu palcach u stóp. Jego ciało dawno obróciło się w proch. Jeszcze jeden świadek prawdy głoszonej w Księdze Rodzaju, że dawno, dawno temu na Ziemi żyły olbrzymy.

# NAJSILNIEJSZY CZŁOWIEK ŚWIATA

Nie wszyscy olbrzymi są silni i nie wszyscy siłacze są olbrzymami. Pokazy siły wybitnych ludzi znacznie różnią się od siebie, a niektóre z nich są wręcz nieprawdopodobne.

Legendarny Goliat z Biblii był olbrzymem przybyłym z Gath. Wysoka na sześć łokci i jedną piędź (ponad 3 m) postać Goliata górowała na polu walki, wzbudzając paniczny strach samą wielkością. Goliat zabawiał się rzucaniem głazów w szeregi wroga, co ma swoją ironiczną wymowę, jako że sam miał paść ofiarą kamienia rzuconego przez Davida.

Klaudiusz Cezar sprowadził do Rzymu giganta o imieniu Baggaras, olbrzymiego Araba, który, jak się podaje, miał ponad 2,5 m. Podobnie jak Goliat, Baggaras z upodobaniem popisywał się swoją siłą, ale szczegóły są tak mgliste, że nie jesteśmy w stanie powiedzieć dokładnie, co potrafił, dlatego też został uhonorowany tylko wzmianką na liście siłaczy.

W większości olbrzymi nie są specjalnie silni. Dzięki wydłużonym kościom ramion i nóg osiągają oni nadzwyczajną wysokość bez współmiernej do niej muskulatury, potrzebnej do popisywania się siłą. O'Byrne, słynny gigant irlandzki, którego szkielet wysokości 2,51 m stoi w Royal College w Londynie, jest typowym tego przykładem. Był on zdrowy i wysoki, ale często miał kłopoty z dźwignięciem ciężarów, które nie sprawiały trudności niższym ludziom.

Nasz bohater był wyjątkiem od reguły.

Nazywał się Angus McAskill. Urodził się w Szkocji w 1825 roku jako jedno z trzynaściorga przeciętnych dzieci. Gdy miał około dwunastu lat, rodzice przywieźli go do Nowej Szkocji, gdzie pracował w tartaku swego ojca w Englishtown. Już wtedy Angus okazał się niezwykle silnym chłopcem. Mając szesnaście lat mierzył około 1,90 m, w wieku siedemnastu lat miał 2 m wzrostu.

Po upływie dwóch lat ludzie zatrzymywali się, wytrzeszczając na niego oczy. Na swoje dziewiętnaste urodziny Angus McAskill miał już 2 m 30 cm wzrostu i był tak silny, na jakiego wyglądał. Gdy zasłabł jeden z koni jego ojca, Angus zastąpił go w parze dorównując swą siłą drugiemu koniowi. Angus – człowiek umiarkowanie pijący, wszedł pewnego razu do szynku, podniósł stuczterodziestogalonową beczkę (ok. 530 l) i napił się z otworu po szpuncie. Lekarze nowojorscy, którzy mierzyli go w 1845 roku, oznajmili, że jego klatka piersiowa ma 175 cm, waży on 184 kg, w tym ani grama tłuszczu.

Angus był religijnym, miłującym pokój młodym olbrzymem, który nie szukał kłopotów, jednak potrafił dać sobie z nimi radę, gdy był do tego zmuszony. Ważący 114 kg bokser wagi ciężkiej z doków w Nowym Jorku zmusił Angusa do walki, oskarżając olbrzyma z Nowej Szkocji o tchórzostwo. W łodzi pełnej zawodowych hazardzistów bokser przypłynął do Englishtown, aby dać młodemu gigantowi lekcję na ringu. Przyjaciele Angusa musieli choćby spod ziemi wygrzebać pieniądze na pokrycie zakładów towarzyszących meczowi. Nikt nigdy nie widział Angusa w walce, ale ci, którzy najlepiej go znali, nigdy też nie widzieli go cofającego się przed sprawdzianem siły, jakkolwiek byłby on niebezpieczny, toteż postawili na niego ostatni grosz.

Tłum krzyczał z podniecenia, gdy dwóch mężczyzn wskoczyło na ring w starej stodole, gdzie miała odbyć się walka. Przeciwnicy wyszli na środek ringu i uścisnęli sobie dłonie. Nagle zawodowy bokser krzyknął i padł na kolana. Walka była skończona. Angus zmiażdżył przeciwnikowi rękę w swoim uścisku.

P.T. Barnum słyszał o tym sympatycznym olbrzymie, który dla zabawy przenosił konie gospodarskie ponad ogrodzeniem. Zabrał on Angusa na pięcioletnie tournee, zapowiadając w programie jego i Tomcia Palucha, jako największego i najmniejszego człowieka świata. Na zakończenie każdego występu Tomcio Paluch tańczył gigę na dłoni olbrzyma.

Fatalną słabostką McAskilla było to, iż nie potrafił oprzeć się chęci pójścia o zakład, gdy w grę wchodziła jego wielka siła. Raz, aby wygrać dolara, Angus wyszedł w Nowym Jorku na ulicę i brodząc po kolana w błocie wyprzągł konie, które nie mogły ruszyć z miejsca ciężko naładowanego wozu. Podczas gdy tłum wiwatował na jego cześć, Angus McAskill naprężył się w uprzęży i powoli wyciągnął wóz z błota.

Inny zakład ostatecznie zakończył się jego śmiercią.

W grę wchodziła kwota tysiąca dolarów i aby ją wygrać McAskill musiał podnieść kotwicę statku ważącą prawie tonę. Angus podnosił już większe ciężary, ale ten był niewygodny ze względu na swój kształt. Stopniowo olbrzym utrzymał w równowadze ten potworny ciężar i z żyłami nabrzmiałymi jak postronki, z purpurową twarzą, uniósł ją powoli nad swoją głowę.

Wygrał zakład – ale zbyt wielkim kosztem. Opuszczona kotwica jedną z łap zawadziła o jego ramię, wytrącając go niebezpiecznie z równowagi. Gigant uniknął zmiażdżenia, ale łapa kotwicy zgniotła jego muskularne ramię – i kariera Angusa McAskilla raptownie się skończyła.

Uratował swoje pieniądze i wrócił do domu w Nowej Szkocji, gdzie zmarł w 1863 roku. W trakcie jego kariery nikt nie zdołał odebrać mu tytułu Najsilniejszego Człowieka Świata.

# ZBUNTOWANY GENIUSZ

Biografia Williama Sidisa zaczyna się od rozpoznania w nim geniusza w wieku czterech lat, a kończy na uznaniu go za człowieka przegranego w wieku lat czterdziestu. Co dziwniejsze, przegrana Williama Sidisa była jego własnym wyborem.

Kiedy mały William miał dwa lata, czytał podręczniki licealne, co nie było wielką niespodzianką, gdyż w szóstym miesiącu życia rozpoznawał litery alfabetu. Na swoje czwarte urodziny chłopiec napisał pod kierunkiem ojca dwie rozprawki, po pięćset słów każda, jedną po angielsku, a drugą po francusku.

Rok później William uczcił swoje urodziny kolejnym osiągnięciem naukowym: napisał poważną pracę z zakresu anatomii, zaś jego ojciec promieniał z zachwytu i dumy. Profesor Borys Sidis zabrał pracę do Harvardu, żeby pokazać ją swoim uczonym kolegom i wprawił ich w zdumienie. Jednak ani ojciec, ani jego koledzy nie wiedzieli, że dziecko ma w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. Mały Sidis oświadczył, że opracował metodę obliczenia dnia tygodnia, na który przypadnie dowolna data w kalendarzu. Jego metoda sprawdziła się i pozwalała otrzymać właściwe wyniki do dziesięciu tysięcy lat wstecz.

Przed ukończeniem dziesięciu lat chłopiec napisał podręcznik geometrii w języku greckim. W wieku jedenastu lat był studentem Harvardu. Przyjęto go już dwa lata wcześniej, ale władze uczelni zdecydowały, że powinien trochę poczekać, zanim zacznie studia.

Dwuletni geniusz – i dorosły przegrany? Jak to się stało?

Wydarzenia z jego życia ułożone w chronologicznym porządku sugerują kilka odpowiedzi, ale nie dają konkretnych wyjaśnień.

Borys Sidis wykładał psychologię patalogiczną w Harvardzie.

Znany był jako autor kilku książek na ten temat i jako szanowany profesor. Na krótko przed urodzeniem syna podjął tragiczną w skutkach decyzję, żeby swoje teorie na temat rozwoju umysłowego przetestować na dziecku, jak na śwince morskiej. W ten sposób zrujnował życie dwóch osób· syna i swoje własne.

Jednym z założeń ojca było, że mózg należy ćwiczyć tak jak mięśnie – zaczynając wcześnie i stopniowo zwiększając trudność i intensywność ćwiczeń. Kiedy William przyszedł na świat, jego przyszłość dosłownie rozstrzygnęła się w kolebce. Srogi ojciec powiesił litery na sznurkach nad kołyską i kilka razy dziennie wskazywał je, wykrzykując ich nazwy. Ciągnęło się to godzina po godzinie, dzień po dniu. Nic dziwnego, że po sześciu miesiącach William umiał rozróżniać litery.

Cóż było dalej?

Żadnych głupich wierszyków dla dzieci, zdecydował Sidis senior. Zamiast nich zasypywał dziecko podręcznikami. Geografia, geometria, fizjologia i greka były pokarmem codziennym nieszczęsnego malca. Nie wolno mu było bawić się z kolegami. Jego światem był prefabrykowany labirynt wiedzy. Miesiąc po miesiącu następował niewiarygodny rozwój umysłowy dziecka, ku podziwowi kolegów ojca i przerażeniu bezradnej matki.

Chociaż inteligentny, Sidis – ojciec był jednak zaślepiony. W wieku ośmiu lat William nabrał zwyczaju chichotania w niewłaściwych momentach, co było histeryczną reakcją na zbyt duży wysiłek umysłowy. Śmiech ten zapowiadał katastrofę, ale ojciec nie umiał odczytać ostrzeżenia.

Punkt kulminacyjny przesycenia umysłu Williama wiedzą nastąpił, kiedy czternastoletni chłopiec przygotował dla profesorów Harvardu wykład o czwartym wymiarze. (Był rok 1912). Gdy skończył mówić, salę wypełniły owacje, a nastoletni geniusz odwrócił się od pulpitu chichocząc histerycznie i nie panując nad sobą.

Po długim pobycie w sanatorium w Portsmouth w stanie New Hampshire, chłopiec wrócił do Harvardu i skończył studia z honorami. W wywiadzie dla prasy powiedział, że wszystko, czego pragnie, to móc żyć normalnie. William nie zgodził się na dalszy udział w eksperymencie ojca.

Został nauczycielem w Instytucie Rice'a w Houston i wkrótce przekonał się, że nie umie nawiązywać kontaktu z ludźmi. Bał się ich w szkole i poza nią. Bunt przeciwko ojcu i całemu światu popchnął go do wzięcia udziału w rozruchach pierwszomajowych, za co dostał wyrok osiemnastu miesięcy z zawieszeniem.

Na cztery miesiące William zniknął. Przypadek sprawił, że natknął się na niego stary znajomy ojca. William pracował jako ekspedient w sklepie, pod zmienionym nazwiskiem, za dwadzieścia trzy dolary tygodniowo. Z wyżyn spadł niemal do rynsztoka. Na usilne prośby znajomego zgodził się dać publiczny wykład o prawdopodobieństwie życia na Marsie. Zamiast tego, przez całą godzinę mówił o komunikacji tramwajowej, ku uciesze słuchaczy.

Latem 1944 roku pojawił się w prasie nekrolog, który nie wzbudził niczyjego zainteresowania. Wyniszczony człowiek zmarł w przytułku w Brooklynie na zapalenie płuc. Spadek po ojcu pozostał nietknięty. Do samej śmierci genialny William nie przyjął pieniędzy ojca, który zrujnował jego umysł i życie.

# GENIALNY IDIOTA

Chłopak od pługa, ignorowany, oczerniany i wyśmiewany przez tych, którzy go znali, wzbudzał salwy śmiechu, gdy mówił, że król potrzebuje jego mądrości. Ale była to prawda... i historia zna niewiele dziwniejszych opowieści niż ta: o idiocie – geniuszu, Robercie Nixonie.

Jego rodzice byli pożałowania godnymi rolnikami, pracującymi od świtu do nocy, aby zapewnić sobie minimum egzystencji. Robert był ich jedynym dzieckiem. W Bridge House, w Cheshire, powszechnie uważano go za bardziej niż lekko stukniętego. Jego rodzice podzielali tę opinię, ponieważ już po pięciu dniach nauki w szkole zaniechali kształcenia syna i wysłali go z powrotem do pługa.

Tam właśnie znajdował się owego fatalnego dnia 1485 roku, kiedy to ważyły się losy Brytanii w bitwie pod Bosworth Field. Dziesiątki kilometrów od pola, na którym głupawy Robert Nixon z trudem nadążał za starym koniem, orząc ziemię nieudacznym drewnianym pługiem, wojska króla Ryszarda zwarły się w walce na śmierć i życie z armią hrabiego Richmonda.

Nagle Nixon zatrzymał się w połowie bruzdy. Przez chwilę stał ze spuszczoną głową, jak gdyby nasłuchiwał. Potem zaczął skakać na jednej nodze wokół zaoranej ziemi, wymachując rękami, potykając się, wskazując coś i wrzeszcząc.

Chłopak już wcześniej robił różne dziwne rzeczy, ale nigdy nie zachowywał się w taki sposób! Nadzorca pośpieszył do niego, aby powstrzymać te wygłupy i przywołać chłopca do porządku.

Ale i on zatrzymał się niedaleko, w obawie, że Robert postradał zmysły. Z pianą na ustach chłopak wrzeszczał, wywijał rękoma i gapił się w jakiś niewidoczny punkt. Wymachując batem, krzyczał: "Tam, Ryszard!... tam!... teraz!" A w chwilę później: "Do boju, Henryku! Chwyć za broń i na drugą stronę rowu... na drugą stronę i bitwa wygrana!" Chłopak stał przez kilka minut jak sparaliżowany, a potem zaczął się uśmiechać. Zauważywszy nadzorcę, powiedział: "Bitwa zakończona... Henryk zwyciężył!" Po czym powrócił do pługa, jakby nic się nie stało.

Nadzorca odszedł szybkim krokiem, aby donieść państwu Cholmondeley, że głupi Robert Nixon umie przepowiadać rzeczy, które właśnie mają miejsce i te, które zdarzą się w przyszłości. Chłopiec przewidział pożar w sąsiedniej wiosce oraz śmierć jednego z członków rodziny Cholmondeley z dwutygodniowym wyprzedzeniem, przepowiedział sztorm i wywróżył, że Henryk i Ryszard będą walczyć pod Bosworth Field. Teraz krzyczał, że Ryszard został pokonany... że nie jest już królem! Prawda to czy fałsz? Dwa dni później przybyli posłańcy z zamku... Król Henryk VII objął tron. Ale kiedy posłańcy dotarli do Over, gdzie mieszkał Nixon, stanęli zdumieni swoim odkryciem. Mieszkańcy miasteczka już wiedzieli o wstąpieniu Henryka na tron, wiedzieli dzięki Robertowi Nixonowi.

Król wkrótce usłyszał o Nixonie... tym dziwnym młodzieńcu obdarzonym niezwykłym talentem. Mieszczanie z Over byli ubawieni błazeństwami Roberta, gdy biegał on od domu do domu, żebrząc u ludzi, aby go ukryli. Krzyczał, że nadchodzą wysłannicy króla, aby zabrać go do zamku, gdzie czeka go śmierć głodowa. To był niesmaczny żart. Wyobrażał kto sobie króla posyłającego po takiego głupka i kogokolwiek głodzonego w zamku!

Raz jeszcze Nixon przewidział nadchodzące wypadki, ponieważ król rzeczywiście posłał po niego, płacąc szczodrze rodzicom, aby oddali mu pod opiekę wyśmiewanego syna. Właśnie na kilka minut przed przybyciem królewskiego wysłannika Nixon wstał od stołu i powiedział: "Wkrótce nadejdzie człowiek króla. Muszę iść, ale już nigdy nie wrócę".

Kiedy chłopiec dotarł do zamku, króla Henryka ogarnął podwójny sceptycyzm, gdy zobaczył, po jakiego niepojętego typa posłał. Król schował dzwonek i zapytał, czy Nixon potrafi zlokalizować "zgubę". Chłopiec uważnie przyglądał się królowi i rzekł: "Dzwonek nie zginął, sir, toteż ten kto go schował, może go także znaleźć!"

Odpowiedź Roberta spodobała się królowi. Rozkazał, aby dzień i noc towarzyszył chłopcu pisarz, który będzie notował wszystkie proroctwa, jakie wygłosi Nixon. Notatki te były robione i studiowane, ale nie wszystkie miały znaczenie w czasach Henryka VII. Niektóre z przepowiedni sięgały bowiem daleko w przyszłość, do wielkiego pożaru Londynu w 1666 roku i do wstąpienia na tron Jerzego IV z Hanoveru. Stare zapiski ujawniają, że chłopiec przewidział także inne przyszłe wypadki, jak np. inwazję na Brytanię żołnierzy z oblodzonymi hełmami.

Gdy pewnego razu król Henryk wybierał się na łowy, Nixon prosił, aby nie zostawiał go w zamku, lecz król zignorował jego prośby. Zamiast tego monarcha wyznaczył służącego, który miał się zajmować Nixonem podczas królewskiej nieobecności. Człowiek ten zamknął chłopca w jednej z komnat, po czym wyjechał, zapominając zostawić wiadomość, gdzie przebywa Nixon. Zanim król wrócił, wszczęto poszukiwania i znaleziono ciało Roberta Nixona.

Jeszcze jedna przepowiednia chłopca spełniła się. Zmarł z głodu w zamku królewskim.

# MISTYK MILIONER

Zgromadził fortunę, wybudował tysiące kilometrów torów kolejowych i założył czterdzieści miast, lecz nigdy nie uczynił jednego kroku bez zasięgnięcia rady tych, których zwał "Niewidzialnymi Przyjaciółmi".

Jak wiele innych par, Arthur Stilwell i jego żona zaczynali swoje małżeńskie życie nic posiadając nic oprócz siebie. Jego rodzice byli biednymi, choć oszczędnymi wieśniakami z Indiany i sami ledwo wiązali koniec z końcem. Arthur Stilwell był zbyt dumny, aby pozwolić rodzicom żony dzielić się z nim ich skromnymi dochodami. Uniezależnił się więc, a jego pierwsza praca polegała na prowadzeniu wozu do przewożenia towarów. W kilka tygodni później awansował na urzędnika i na tym poprzestał. Skończył tylko szkołę średnią, nie miał pieniędzy, nic więc nie wskazywało na to, że stanie się milionerem.

Lecz noc po nocy nawiedzały go głosy. Czasami przychodziły w trakcie snu – czasami wtedy, gdy próbował czytać przy lampie stołowej. Nie było to jednakże dla niego przeżycie nowe i nie wywoływało już przerażenia. Arthur Stiwell słyszał te słabe głosy od piętnastego roku życia. Zanotował w swoim dzienniku, że głos powiedział mu, że spotka i poślubi dziewczynę nazywającą się Genevieve Wood w przeciągu czterech lat. W tym czasie nie znał nawet nikogo o tym imieniu, lecz przepowiednia głosów okazała się prawdziwa.

Od tej pory Arthur Stilwell nigdy nie zwątpił w mądrość głosów. Jednak, nigdy też nie rozmawiał o nich z nikim za wyjątkiem swojej żony, ze strachu, że ludzie uznają go za obłąkanego.

Raz po raz, kiedy niespokojnie siedział przy swoim urzędniczym biurku, głos ponaglał go, aby pojechał na Zachód i zaczął budować kolej żelazną, której stalowe macki rozprzestrzeniały się w każdym kierunku. W końcu Arthur i Jennie Stilwell podjęli decyzję.

Arthur porzucił swoją posadę, spakowali swój skromny dobytek na pożyczony wóz i wyruszyli do Kansas City. Znalazł pracę w składzie wolnocłowym i firmie maklerskiej. Jednakże coraz bardziej uginał się pod presją głosów, które – jak mówił – ponaglały go do budowy kolei.

Choć może wydawać się to niewiarygodne, ten urzędnik zarabiający czterdzieści dolarów na tydzień rzeczywiście wybudował kolej. Bankierzy znali go i ufali mu, więc łatwo było zdobyć pieniądze. Stilwell po cichu kupił ziemię, zebrał fundusze i nim zaskoczeni finansiści z Nowego Jorku zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, jego Kolej Obwodowa Kansas City już w pełni działała, tuż pod ich nosami.

W szczególnej karierze tego zadziwiającego człowieka nie było bardziej niezwykłego przypadku niż ten, który zdarzył się w czasie planowania trasy nowej linii kolejowej, łączącej pola pszenicy w stanie Kansas z Zatoką Meksykańską. Był to doskonały projekt, uwzględniający logiczne uwarunkowania, które starsi ludzie przeoczyli. Stilwell, dwudziestosześcioletni finansista, który twierdził, że prowadzą go głosy duchów, dostrzegł szansę i powziął stanowczą decyzję.

Wielokroć, kiedy musiał stawić czoła poważnym problemom, krył się w zaciszu swojego biura, zaciągał żaluzje i prosił o radę swoich dziwnych niewidzialnych doradców. Wszystko szło dobrze aż do momentu, gdy tory kolejowe zbliżyły się na odległość 80 km od miasta Galveston. Napisał później, że poprosił o radę i głosy powiedziały, aby natychmiast wstrzymał budowę, bo inaczej jego kariera się skończy – Galveston rzekomo zostało skazane na zagładę.

Stilwell znalazł się w kłopotliwym położeniu. Nie mógł wymagać od swoich partnerów, aby uwierzyli w jego historię o niezwykłych doradcach – jednak musiał nakazać zmianę punktu docelowego i to szybko.

Zacisnął szczęki i stawił czoła burzy. Jego partnerzy żądali wyjaśnienia tej kosztownej i skandalicznej decyzji. Mieszkańcy Galveston byli wściekli. Lecz Stilwell nie odstąpił od swego zdania i Południowa Linia Kolejowa Kansas City została poprowadzona do Zatoki Meksykańskiej przez opustoszałe miejsce, nazwane na cześć Arthura Stilwella - Port Arthur.

Kiedy huragan zniszczył Galveston, wybrzeże Port Arthur i urządzenia kolejowe pozostały nietknięte i odegrały główną rolę w akcjach ratowniczych. Współpracownicy Stilwella, którzy skrytykowali go tak ostro, pod niebiosa wynosili jego szczęście w interesach. Stilwell, znany teraz jako Stilwell Szczęściarz, uśmiechał się tylko i nie mówił nic. Zdecydowali nic nikomu nie mówić – ludzie by nie uwierzyli, że jego przedsięwzięcie wartości miliona dolarów zależało od tak dziwnych doradców.

W jaki sposób mógłby komukolwiek wyjaśnić, że znał imię swojej żony na cztery lata przed jej poznaniem? – Czy też tę nieomylną radę, dzięki której z urzędnika bez grosza przy duszy stał się w ciągu siedmiu lat budowniczym kolei i milionerem? Albo źródło swojej zaskakującej decyzji: zawrócenia linii kolejowej z Galveston i zakończenia jej na morskich błotach?

W sumie wybudował siedem linii kolejowych i kanał dla statków w Port Arthur. Założył czterdzieści miast i miasteczek, z których dwa nazwano na jego cześć – Port Arthur w Teksasie i Stilwell w Oklahomie. Zgromadził sporą fortunę w trakcie swojej zadziwiającej kariery, gdyż wszystko, czego się dotknął, zmieniało się w pieniądze – stan rzeczy, który on sam przypisywał swoim dziwnym doradcom.

Arthur Stilwell nie był spirytystą. Jak napisał, wziął udział w jednym seansie i seans ten po prostu go znudził.

W trakcie swojego pracowitego życia znalazł czas na napisanie i wydanie trzydziestu książek, w tym dziewiętnastu powieści, m.in. *Światło, które nigdy nie zgasło*, długo utrzymującej się na liście bestsellerów. W roku 1910 napisał książkę, która w detalach przepowiedziała nadejście pierwszej wojny światowej. W 1914r. napisał kolejną godną uwagi książkę: *Do całego świata z wyjątkiem Niemiec*, w której przepowiedział klęskę Niemiec i ich sojuszników, upadek monarchii rosyjskiej, niepodległość Finlandii i Polski oraz zwrócenie Palestyny Żydom. Stilwell zmarł w roku 1928. W dwa tygodnie później jego ukochana żona wyskoczyła z okna drapacza chmur na Manhattanie, aby połączyć się z mężem, który został jej wybrany przez tajemnicze głosy.

# LUDZIE KOMPUTERY

Większość telewidzów widziała wielokrotnie programy, w których ludzie popisują się pamięcią fotograficzną – przeglądają książki i czasopisma, a następnie powtarzają ich treść, strona po stronie. Czy jest to oszustwo, czy fakt?

Wytłumaczenie zagadki pamięci fotograficznej kryje się w labiryncie niezwykłych możliwości mózgu. Naukowcy doszli do wniosku, że podświadomość gromadzi wszystko lub prawie wszystko z czym zetknął się człowiek, ale nadal nie wiadomo, jak wywołać z podświadomości te ukryte informacje.

Jednym z najgłośniejszych przykładów fantastycznej zdolności zapamiętywania są wyczyny rabbiego Eliasza z Wilna, który uważał swój talent za przekleństwo. W ciągu swojego życia przeczytał i zapamiętał po jednokrotnej lekturze ponad dwa tysiące tomów. W dowolnej chwili potrafił przypomnieć sobie wybraną stronę lub fragment z tych książek. Z jego punktu widzenia, umiejętność ta była niepożądana, ponieważ nie mógł, choćby może chciał, zapomnieć niczego, co przeczytał w życiu. Było to tak, jakby spędzał w bibliotece cały dzień, a potem zabierał ją ze sobą do domu.

Francuski polityk Leon Gambetta potrafił recytować na wyrywki tysiące stron z Victora Hugo, od początku i od końca lub zaczynać z dowolnego miejsca. Słynny grecki uczony Richard Porson posiadał podobną zdolność, z tym, że potrafił cytować stronę po stronie niemal wszystkie książki, jakie przeczytał.

Innym typem niezwykłej pamięci obdarzony był Harry Nelson Pillsbury, który zdobył w Ameryce tytuł "czarnoksiężnika szachów". Potrafił dokładnie zapamiętać rozkład figur oraz ponad tysiąc ruchów, na dwudziestu szachownicach, co pozwoliło mu rozgrywać dwadzieścia partii jednocześnie z zawiązanymi oczami. Czasem, żeby odrężyć się między kolejnymi grami, równocześnie grał w karty, też z opaską na oczach.

Mathurin Veyssiere, bibliotekarz króla Prus, posiadał nadzwyczajną pamięć do dźwięków. Usłyszawszy raz zdanie w jakimkolwiek języku, umiał powtórzyć je z właściwą wymową i akcentem. Kiedyś, dla sprawdzenia jego możliwości, dwunastu posłów zagranicznych, z których każdy mówił innym językiem, wypowiedziało po jednym zdaniu, a Veyssiere jednym tchem powtórzył wszystkie, nie robiąc ani jednego błędu.

Zdolność do błyskawicznego rozwiązywania zadań matematycznych jest rzadka, ale posiedli tę umiejętność ludzie nazywani żywymi komputerami.

Jednym z nich był Zerah Colburn z Vermont. Jako dziecko zwrócił na siebie uwagę sprawnością, z jaką rozwiązywał zadania matematyczne. W wieku ośmiu lat został zawieziony do Londynu, gdzie przebywał pod obserwacją naukowców. Poddano go intensywnym testom, których wyniki były zdumiewające, ponieważ Zerah Colburn nie znał nawet podstawowych zasad arytmetyki, a mimo to bez wahania podawał prawidłowe wyniki takich działań, jak wyciągnięcie pierwiastka 3-go stopnia z liczby 268336125, z równoczesnym podnoszeniem cyfry 8 do 16-tej potęgi.

W czasie eksperymentów chłopiec został zapytany przez księcia Gloucester, w jaki sposób pomnożył 21735 przez 543, na co odpowiedział, że po prostu pomnożył 65205 przez 181. Chociaż dawał właściwe odpowiedzi, nie był w stanie wyjaśnić, jak to robi.

Innym genialnym matematykiem był stary niewolnik amerykański o imieniu Tom. Urodził się w Afryce, gdzie został schwytany przez handlarzy niewolników i sprzedany w niewolę w stanie Wirginia. Do chwili ukończenia 71 lat praktycznie nie było powodu, aby traktować go inaczej, jak tylko zwykłego niewolnika.

Pewnego gorącego popołudnia w sierpniu 1779 roku Tom stał w rogu ogrodzenia plantacji swego pana, czekając aż nadzorca przydzieli mu następną robotę do wykonania. Był jednym z niewielkiej grupy siedmiu obdartych niewolników, którzy stali cierpliwie, podczas gdy nadzorca i właściciel plantacji próbowali rozwiązać rachunek arytmetyczny.

Ile wart był zbiór na tej farmie, licząc po aktualnych cenach tytoniu? Właściciel wymienił pewną sumę, ale nadzorcy wyszedł inny wynik. Obydwaj byli ludźmi upartymi i obydwaj byli słabi w prostych działaniach arytmetycznych. Liczyli i kłócili się. Zaczynali już wybuchać gniewem, gdy właściciel klnąc, rzucił na ziemię ołówek i papier. Wtedy stary Tom zdjął swój sflaczały filcowy kapelusz i wystąpił naprzód. Panie – powiedział – mogę podać odpowiedź na to wyliczenie.

Zaskoczony właściciel záchęcił Toma do podania wyniku i Tom natychmiast wymienił sumę, która później okazała się prawidłowa. Okazało się też, że zarówno właściciel plantacji, jak i nadzorca pomylili się w swoich obliczeniach. Nauczyciel, który potwierdził poprawność wyniku podanego przez Toma, zaczął egzaminować niewolnika-analfabetę. Stary Tom wysłuchiwał zadań i momentalnie podawał rozwiązania.

Jedno z zadań, które nauczyciel opracował na ten egzamin, wymagało od starego niewolnika przeliczenia 70 lat, 12 dni i 12 godzin na sekundy. Po 90 sekundach stary Tom podał odpowiedź. Nauczyciel i właściciel plantacji pokręcili głowami. Niestety, odpowiedź starego niewolnika nie zgadzała się z ich wynikami. Później, gdy ponownie sprawdzili swoje obliczenia, odkryli, że wynik Toma był prawidłowy; oni sami nie uwzględnili lat przestępnych – błąd, którego Tom nie popełnił.

Tom stał się sensacją, a jego dumny właściciel odrzucił wiele kuszących ofert sprzedania go organizatorom różnych imprez. Pozwolił naukowcom przyjeżdżać i egzaminować Toma – wszyscy oni bez wyjątku wyjeżdżali z rozwiązanymi zadaniami, ale bez odpowiedzi, w jaki sposób stary niewolnik może działać jak "żywa maszyna licząca".

Innym Murzynem, którego dziwne możliwości zaskoczyły specjalistów, był Charles Cansler z Konxville. Należał on do grona adwokatów i był także dyrektorem Szkoły Ogólnokształcącej dla Murzynów mieszczącej się w Konxville.

Od 1915 roku Cansler jeździł po kraju, dając pokazy swoich nadzwyczajnych zdolności. Potrafił przeprowadzić w pamięci obliczenia sięgające miliardów i potrafił też natychmiast podać ich wartości podniesione do kwadratu, pokonując najlepsze ówczesne maszyny do liczenia. Występy rozpoczynał zwykle jednym ze swoich najbardziej efektownych popisów. Siadał tyłem do tablicy z dokładnie zawiązanymi oczyma, widzowie zaś wypisywali na niej długie kolumny liczb. Następnie Cansler odsłaniał oczy, podchodził do tablicy i natychmiast zapisywał prawidłową sumę wszystkich liczb. W czasie trzech czy czterech sekund, których potrzebował, aby przejść przez scenę, jego umysł wykonywał obliczenia. Wysoki poziom inteligencji Canslera pozostawał w dużym kontraście z poziomem umysłowym, który charakteryzował wielu podobnych fenomenów matematycznych.

Jedidah Buxton, podobnie jak Tom, był analfabetą. Urodził się w Anglii w 1707 roku, nie miał żadnego wykształcenia, lecz z niewiadomego powodu był zawsze zafascynowany liczbami i właściwie nie potrafił skoncentrować się na niczym innym. Jako dziecko obliczał w pamięci liczbę ziaren soczewicy w zupie, czy drobin soli w solniczce. W kościele siedział cicho podczas całego nabożeństwa, ale gdy się już skończyło, nie mógł sobie nic z niego przypomnieć z wyjątkiem liczby słów w kazaniu. Kiedy szedł przez pole, potrafił powiedzieć, ile ma ono cali kwadratowych. Obliczył kiedyś dla zabawy, ile byłoby warte ćwierć pensa pomnożone 139 razy. W funtach szterlingach wynik odpowiada 19-cyfrowej liczbie. Poproszono Buxtona, aby pomnożył tę fantastyczną sumę przez samą siebie. Niezadługo przedstawił on prawidłową odpowiedź, wyjaśniając, że pracował nad nią z przerwami. Osobliwością osiągnięć Buxtona było to, że gdy już zabrał się do skomplikowanego zadania, mógł o nim nie myśleć i zajmować się swoimi codziennymi czynnościami! To tak, jakby jego mózg był oddzielną maszyną, która gdy już rozpocznie pracę, dalej samodzielnie przeprowadza skomplikowane działania.

Takich zadziwiających przykładów jest dużo więcej. Na razie nikt wprawdzie nie potrafi przedstawić mechanizmu tych zjawisk, ale nie może ulegać wątpliwości, że umysł ludzki jest krainą niewiarygodnych możliwości.

# LUDZIE O RENTGENOWSKICH UMYSŁACH

Jeśli komisarze ze Scotland Yardu myśleli, że kolejne dochodzenie, które przyjdzie im prowadzić, będzie takim samym, jak inne, śledztwem – to bardzo się mylili.

Nie ulegało wątpliwości, że staruszek, który leżał rozciągnięty przed kominkiem, nie żyje. Pokój, podobnie jak ciało staruszka, był całkiem zimny. Dla ludzi ze Scotland Yardu było oczywiste, iż ofiara została zabita przy użyciu kominkowych szczypiec. Pozostawało pytanie, kto się posłużył tą bronią?

Gdy detektywi zbierali swoje aparaty fotograficzne i przyrządy przygotowując się do opuszczenia miejsca zbrodni, pod drzwiami zjawił się ubrany w wyszukany sposób młodzieniec.

Czy mógłby w czymś pomóc? No cóż, w takich wypadkach niczego nie należy pomijać, więc detektywi wprowadzili młodego człowieka do pokoju, gdzie dokonano zbrodni. Młodzieniec popatrzył obojętnie dookoła i spytał, czy może zbadać jeden z licznych krwawych odcisków ręki, którymi oznaczone były ściany.

Z głową wspartą na dłoni, utkwił wzrok w jednym z krwawych śladów, następnie odwrócił się do policjantów i powiedział:

"Mordercą jest młody, ale zamożny człowiek, dżentelmen, który nosi mały złoty zegarek w lewej, przedniej kieszonce spodni i należy do rodziny tego starszego pana, którego ciało właśnie zabrano z pokoju".

Rozgniewani policjanci byli gotowi wyrzucić tego pewnego siebie eleganta, który ich zirytował i zabrał im czas, ale była tam obecna para korespondentów "Gazety Londyńskiej", która zwęszyła sensację. Kim jest ten przebieraniec? Co za wyobraźnia i tupet pozwalają mu tyle wywnioskować z jednego krwawego odcisku ręki na ścianie?

"Cheiro... Cheiro Wielki!" – przedstawił się młodzieniec, podając im bogato ozdobioną wizytówkę.

Nazajutrz historię tę opisała prasa. Po 24 godzinach niezwykły "chiromant" znalazł się ponownie w nagłówkach gazet, gdyż policja znalazła mordercę. Był on nie tylko młodym i zamożnym człowiekiem, ale nosił zegarek w lewej, przedniej kieszonce spodni i był synem zamordowanego.

W ciągu kilku dni Londyn oszalał na punkcie jasnowidza. Tylko paru najbliższych przyjaciół znało go jako hrabiego Louisa Hamona. Przeobrażony w osobę publiczną, niewiele przypominał hrabiego. Pławił się w rozkoszy powszechnego zainteresowania i co tydzień składał w banku pokaźne sumy – dochody z jego nowej profesji: przepowiadania przyszłości bogatym klientom.

W 1893 roku Cheiro opuścił Anglię dla Nowego Jorku, gdzie urządził się w bogatych apartamentach na Park Avenue. Znów odnosił sukcesy i gdy klienci potokami płynęli do jego drzwi, tuż za nimi była prasa. Młoda dziennikarka z "New York World" zapytała Cheiro, czy nie zechciałby poddać się serii testów, których wyniki zamierzał opublikować wydawca gazety. Był to dla niego moment przełomowy. Jeśli odmówi, będzie zrujnowany. Jeśli się zgodzi, a nie zdoła przekonać sceptyków, również będzie skończony. Mimo to bez chwili wahania podjął wyzwanie.

W dniu przeprowadzenia testu Cheiro był najbardziej opanowaną osobą w pokoju. Test polegał na zidentyfikowaniu trzynastu różnych mieszkańców Nowego Jorku na podstawie trzynastu odcisków dłoni. W gazecie zawierającej te odciski nie było żadnych znaków, pozwalających je zidentyfikować. Tylko trzech sędziów wiedziało, czyje to są odciski. Z surowymi minami, w milczeniu czekali, aż Cheiro popełni błąd.

On jednak bez wahania określił odciski, jeden po drugim i rzucając na nie przelotne spojrzenie, dokładnie opisał osoby, do których należały. Ale gdy doszedł do trzynastego i ostatniego odcisku, zawahał się. Odłożywszy arkusz, Cheiro powoli odwrócił się do sędziów i powiedział:

– "Panowie, odmawiam zidentyfikowania tego śladu".

Szmer podniecenia obiegł przepełniony pokój. Chyba nie wie co robi?

Prosząc ręką o ciszę, Cheiro kontynuował:

– "Odmawiam ujawnienia tego odcisku każdemu, z wyjątkiem właściciela, ponieważ jest to odcisk mordercy. Zresztą przez swój tupet zdradzi się sam i umrze, strasznie cierpiąc w więzieniu".

Cheiro zabawił się z sędziami w kotka i myszkę. Przeszedł test w stu procentach, gdyż ostatni ślad należał do dr Henry'ego Meyera, którego złapano dzięki temu, że chwalił się swoją zbrodnią. Uznano go winnym i obłąkanym. Dr Meyer zmarł w zakładzie dla zbrodniarzy-szaleńców.

Hrabia Louis Hamon nie był jedynym jasnowidzem, z którego usług korzystał Scotland Yard. W swoim czasie głośna była sprawa innego człowieka o rentgenowskim umyśle, Petera Hurkosa, który odnalazł skradziony słynny kamień Stone of Scone, przechowywany w Opactwie Westminster, w specjalnie do tego celu zaprojektowanym tronie koronacyjnym króla Edwarda I.

Kamień ten skradziono z opactwa Westminster w grudniu 1950 roku – przestępstwo, które znalazło się na czołówkach światowej prasy i naraziło na pośmiewisko londyńską policję. Hurkos, cichy i skromny młody Holender, spotkał się z przedstawicielem Scotland Yardu w Dordrechcie, aby omówić warunki.

Razem z detektywem poleciał później do Londynu, gdzie inni urzędnicy i sierżant policji przywitali go na lotnisku i nie zwlekając zabrali na miejsce sensacyjnego rabunku. Tam, w sławnym starym opactwie, władze pozwoliły mu wziąć w ręce porzucone przez złodziei narzędzie i zegarek na rękę zgubiony przez jednego z nich. Po kilku godzinach badania miejsca i resztek żywności pozostawionych przez złodziei, Hurkos powoli nakreślił na mapie Londynu trasą, jaką przebyli włamywacze po zabraniu kamienia.

Pomimo iż nie widział on Londynu nigdy przedtem, opisał ze szczegółami budynki wzdłuż których biegła trasa, a także dał szczegółowy opis złodziei – trzech mężczyzn i kobiety. Gdy ich w końcu schwytano po trzech miesiącach, okazało się, że dokładnie odpowiadają opisom Hurkosa.

Także policja w Nijmegen, w Holandii, wiele zawdzięcza Hurkosowi. W sierpniu 1951 roku to stare holenderskie miasto i jego okolice nawiedziła plaga pożarów, niezaprzeczalne dzieło jednego lub kilku podpalaczy. Ponad dwustu uzbrojonych ludzi patrolowało okolicę, ale pożary ciągle niszczyły stodoły, domy i mosty. Pewnej nocy, parę tygodni po tym, jak rozpoczęła się seria pożarów, Hurkus przechadzał się ze swym starym przyjacielem, właścielem fabryki włókienniczej w Nijmegen. Nagle zatrzymał się i powiedział przyjacielowi, że wkrótce wybuchnie następny pożar – tym razem na farmie rodziny Jansonów. Obaj pośpieszyli na posterunek policji, gdzie dowiedzieli się, że właśnie parę minut wcześniej zameldowano o pożarze.

Policjanci byli nie tylko sceptyczni, ale i nieuprzejmi; Hurkos upierał się jednak, iż może pomóc, jeśli tylko dadzą mu szansę. Żeby ich przekonać, zamknął oczy i opisał zawartość kieszeni kapitana – włącznie z częściowo zatartym znakiem firmowym na resztce ołówka! To przesądziło sprawę. Hurkosowi dano szansę i policja w Nijmegen wykryła podpalacza.

Hurkos przede wszystkim poprosił, aby zabrano go na miejsce kilku pożarów. Szukając po omacku wśród popiołu, znalazł w końcu zwęgloną obsadkę śrubokręta; milcząc dotykał jej przez chwilę, a potem powiedział: "Musimy szukać chłopca, kilkunastoletniego chłopca".

Gdy pokazano Hurkosowi w dokumentach szkolnych zdjęcia wszystkich uczniów w mieście, wskazał jedno z nich. "To ten! – powiedział. – "To z tym chłopcem chcę porozmawiać!".

Wskazał na siedemnastoletniego syna jednego z najbogatszych ludzi w mieście. "To śmieszne" – wybuchnął kapitan policji, ale nie zrażony Hurkos niezmiennie powtarzał: – "W jednej z kieszeni ubrania tego chłopca znajdziecie pudełko zapałek, w drugiej butelkę płynu do zapalniczek – chociaż chłopiec nie pali".

Przyprowadzony na posterunek policji, chłopiec wszystkiemu zaprzeczał – aż do chwili, gdy Hurkos zażądał: "Podciągnij lewą nogawkę spodni kombinezonu i pokaż policji zadrapania, jakich nabawiłeś się uciekając przed ogniem przez ogrodzenie z drutu kolczastego!" Zadrapania były tam. Chłopiec wybuchnął płaczem i przyznał się. Wysłano go do zakładu dla umysłowo chorych.

To zadziwiające rozwiązanie dostało się oczywiście na czołówki gazet, ale dla Hurkosa była to zwykła rutyna. Kiedy zabrano go na miejsce, gdzie zastrzelono mężczyznę na progu swego domu, Hurkos przez chwilę pocierał płaszcz ofiary i powiedział policji, że mordercą jest starszy mężczyzna w okularach, z wąsami i drewnianą protezą nogi, a narzędzie mordu wrzucił na dach domu. Znaleziono rewolwer, zaś odciski palców udowodniły, że był to teść ofiary – człowiek, który miał wąsy, okulary o grubych szkłach i drewnianą protezę nogi!

Peter Hurkos nie wie, jak znajduje odpowiedź; w 1958 roku zabrano go do USA, aby zbadała go grupa specjalistów psychiatrów. Oni także musieli przyznać, że byli zaskoczeni Peterem Hurkosem – człowiekiem o rentgenowskim umyśle, którego dar, lub cokolwiek to jest, trudno sensownie wytłumaczyć.

Kartoteki policji całego świata zacierają bardzo wiele spraw rozwiązanych tylko dzięki pomocy osób o zdolnościach jasnowidzenia. W archiwum Urzędu Policji Afryki Południowej w Pinetown znaleźć można na przykład sprawę zabójstwa młodej dziewczyny, której morderca został wykryty dzięki niezwykłym zdolnościom emerytowanego nauczyciela, Nelsona Palmera.

Joy Aken ukończyła siedemnaście lat zaledwie kilka dni przed swym zniknięciem, w połowie września 1956 roku. Była bardzo ładną, nieśmiałą dziewczyną. Nie miała swojego chłopaka, nie miała też żadnych wrogów. Dlaczego wobec tego zniknęła?

Jej rodzice podejrzewali nieszczęście, a policja potwierdzała tę opinię. Rozesłano komunikaty z jej zdjęciem do wszystkich posterunków policji w całej Afryce Południowej. Zaoferowano nagrodę dla każdego, kto mógłby dostarczyć informacji prowadzących do odnalezienia dziewczyny lub jej ciała.

Minęły tygodnie bez żadnych rezulatatów. Było kilka fałszywych alarmów; zwykłe "dowcipne" doniesienia, jakich można się spodziewać, a które do niczego nie prowadzą. Joy Aken zniknęła, jakby pochłonęła ją ziemia... co, jak podejrzewała policja, było dosłowną prawdą.

Colin Aken, brat zaginionej dziewczyny, przychodził codziennie na posterunek policji w Pinetown, mając nadzieję, że może dowiedziano się czegoś, co doprowadzi do zakończenia poszukiwań, jakikolwiek miałby być ich wynik. Każdego dnia policja zmuszona była mówić mu, że nic nie znaleziono, aż w końcu przyznała się do całkowitej porażki.

Tego dnia Colin usłyszał właśnie od przyjaciela o emerytowanym dyrektorze szkoły, Nelsonie Palmerze, który odnalazł zgubione przedmioty jednemu ze swych bliskich przyjaciół. Palmer dokonał tego odprężając się, zamykając oczy i opisując to, co jak się zdawało, widzi jego umysł. Był zakłopotany, że potrafi tego dokonać i nigdy o tym nie rozmawiał, obawiając się śmieszności.

Colin Aken i Urząd Policji Afryki Południowej w Pinetown byli tego samego zdania: nie mieli nic do stracenia, prosząc Palmera, aby spróbował. Wyższy rangą funkcjonariusz policji odwiedził tej nocy Palmera i jego żonę; udało mu się uzyskać ich zgodę na spotkanie następnego dnia – 9 października 1956 roku.

Podczas gdy pięćdziesiąt osób siedziało w ciszy w dwóch frontowych pokojach i hallu domu państwa Palmerów, on sam wsparł się na oparciu krzesła i zamknął oczy. Jego oddech stał się ciężki i z trudem chwytał powietrze. Twarz pokrył obfity pot, który powoli zaczął kapać mu z brody. Przez kilka chwil słychać było tylko jego oddech. Potem wargi Palmera zaczęły się poruszać, ale dźwięk, jaki się z nich wydobywał, podobny był do głosu młodej, przerażonej dziewczyny.

"Nie żyję..." – powiedział głos. Następnie, zgodnie z relacją policji, przez dwie minuty panowała cisza... po czym wargi Palmera znów się poruszyły: "Moje ciało leży w wąwozie, w pobliżu High Rock... zaatakował mnie mężczyzna... on mnie zabija". Oczy Palmera otworzyły się. Po kilku chwilach zaczął oddychać normalnie i wstał z krzesła.

W aktach zapisano: "Pan Palmer powiedział nam, że ciało dziewczyny jest częściowo ukryte pod kamieniami w pobliżu drenu, w miejscu odległym od Pinetown o około 100 km. Stwierdził on także, że mordercą jest człowiek o imieniu Clarence w wieku około 30 lat, który ukrył narzędzie zbrodni w przybudówce swego domu. Pan Palmer sądził, iż może nas zaprowadzić na miejsce, w którym ukryte jest ciało".

Godzinę i czterdzieści minut później Palmer zaprowadził policję na odludne miejsce przy drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża prowincji Natal. Tam właśnie, pod drenem, znaleziono częściowo ukryte pod kamieniami ciało zaginionej dziewczyny. Joy Aken została pobita i zastrzelona.

A co z zabójcą? Palmer opisał go jako człowieka o imieniu Clarence. Krewni przypomnieli sobie, że Joy znała mężczyznę o takim imieniu – Clarence'a Gordona VanBurena. W dziesięć godzin później policja osadziła VanBurena w areszcie. W szopie za jego domem znaleziono pistolet, który on sam wskazał później jako narzędzie zbrodni. Była to stara historia zawiedzionego kochanka. Zwabił Joy do swego samochodu – stracił panowanie nad sobą, uderzył, a potem strzelił w napadzie gniewu.

Skąd Palmer wiedział, gdzie szukać ciała? Rodzina Joy woli sądzić, że to sama zmarła dziewczyna mu o tym powiedziała... Palmer śmieje się z tego pomysłu. Nie ma w tym, jak twierdzi, nic nadnaturalnego i dodaje: – "W taki sam sposób znalazłem zgubione klejnoty, a one z pewnością nie mówią, gdzie są. Myślę, że ludzki mózg posiada pewne, zupełnie normalne możliwości, których nie rozumiemy – a ta jest właśnie jedną z nich".

# CZŁOWIEK ZNIKĄD

Zgoda – ten młody człowiek był dziwadłem – i zachowywał się, jakby spadł z innej planety...

Stał właśnie pod bramą Norymbergi, kiedy jeden ze strażników zauważył go po raz pierwszy. Był czysty, ale tak biednie ubrany, że wyglądał niemalże jak łachmaniarz. Później wartownik w swym raporcie napisał, że pierwszą rzeczą, która przykuła jego uwagę, była trudność, z jaką ten człowiek się poruszał... Miał mocno spuchnięte stopy, a oczy zmrużone jakby od nadmiaru światła...

Wartownik usiłował wypytać mężyczyznę, ale nic nie mógł z niego wydobyć. Dziwoląg powtarzał tylko: "Chcę był żołnierzem, jak był nim mój ojciec"!

Nie mówił tego jednak z determinacją, lecz jednostajnie, jakby powtarzał w kółko słowa, których znaczenia nie rozumiał.

Straż zaprowadziła go na posterunek, gdzie burmistrz i inni lokalni dostojnicy zebrali się, aby obserwować i przesłuchiwać tego dziwnego gościa. On jednak wciąż wyrażał tylko swą chęć bycia żołnierzem podobnie jak jego ojciec.

Jak miał na imię? Najwyraźniej nie rozumiał, co się do niego mówi, gdyż tępo, bez wyrazu wpatrywał się w zadającego mu pytania. Jednakże, gdy włożono mu do ręki pióro i podano kawałek papieru, zaśmiał się nerwowo i wolno, bardzo czytelnie napisał: KASPER HAUSER. Nie był w stanie, albo też nie chciał, napisać nic więcej. Ale tegoż to spokojnego drugiego dnia Zielonych Świątek, po południu, 1828 roku, młody człowiek wpisał do kartoteki imię, które miało dać początek zagadce nie rozwiązanej do dnia dzisiejszego.

Kiedy postawiono przed nim jedzenie, złapał je i pożerał z zachłannością wygłodzonego zwierzęcia. Mleka jednak nie tknął, patrzył tylko na nie z wielką podejrzliwością. Napił się wody, ale dopiero po tym, jak zanurzył w niej wskazujący palec i go oblizał.

Tuż przed zapadnięciem nocy, kiedy zakłopotani ojcowie miasta usiłowali podjąć decyzję, co zrobić z tym zagadkowym gościem, nieznany przybysz wyjął ze swej poszarpanej kamizelki dwa listy zawinięte w szmaty. Jeden z nich miał być rzekomo listem od jego matki. Widniejąca na nim data wskazywała, że został napisany przed szesnastu laty. W liście tym jakaś kobieta prosiła, by ten, kto znajdzie chłopca, odesłał go do Norymbergi, kiedy młodzieniec skończy 17 lat, żeby mógł zaciągnąć się do Szóstej Kawalerii, w której służył jego ojciec.

Drugi list był bardzo nieczytelny i pochodził najwyraźniej od kogoś, kto znalazł chłopca i zaopiekował się nim, ale nie mógł dłużej go utrzymywać.

Te dość dziwne listy zostały napisane na czymś, co przypominało cienką skórkę lub pergamin i nie było znane władzom miasta.

Kasper Hauser, jeśli tak się nazywał, pierwszą noc w Norymberdze spędził z najbardziej uczonym człowiekiem w mieście – dr. Daumerem. Od razu zaskoczył uczonego, usiłując złapać płomień świecy. Dalsze badania wykazały, że Kasper nie miał poczucia przestrzeni i chociaż zdawał się być w pełni zmysłów, jego rozwój i reakcje zatrzymały się na etapie małego dziecka.

Choć stan jego stóp wyraźnie wskazywał, że przebył długą drogę, nie znaleziono nikogo, kto by go gdzieś widział. Wyznaczono więc nagrodę dla tego, kto będzie w stanie rozpoznać go i zidentyfikować, ale nikt taki się nie pojawił.

Pod dobrą i troskliwą opieką dr. Daumera Hauser uczył się bardzo szybko, najpierw mówić, a następnie pisać. Swoim nowym przyjaciołom opowiedział, iż od wieku niemowlęcego wychowywany był w całkowitej ciemności, w piwnicy. Nigdy nie jadł i nie pił niczego innego poza razowym chlebem i wodą i nigdy nie widział osoby, która przynosiła mu jedzenie. Bardzo rzadko słyszał ludzką mowę. Ale dlaczego i gdzie spędził on wszystkie te lata, nie miał żadnego pojęcia.

W październiku 1829 r. Kasper wyszedł z sutereny dr. Daumera z głęboką, krwawiącą raną na głowie i powiedział, że jakiś zamaskowany zaatakował go długim nożem. Władze miasta wyznaczyły do ochrony Kaspra dwu strażników. 14 grudnia 1833 r., po południu, strażnicy zdrzemnęli się. Kasper Hauser poszedł samotnie na spacer do parku po drugiej stronie ulicy... Przechadzka zakończyła się tragicznie. Zginął od ciosu noża...

Kim był Kasper Hauser, człowiek znikąd?

# BLIŹNIACZKI

Bobbie i Betty wiodły jednakowe życie, ich udziałem była też jednakowa śmierć. Nastąpiła w tej samej chwili, o północy, a oba świadectwa zgonu stwierdzały w identyczny sposób, że jej przyczyna nie została ustalona. Bliźniaczek nie zabiła żadna ze znanych dolegliwości fizycznych. Wydawało się jednak, że śmierć uderzyła od wewnątrz. Czyżby przywołały ją mocą swej woli? A może jedna z sióstr wywołała zgon obydwu?

Już w chwili przyjścia sióstr na świat padł na nie cień śmierci. Bobbie i Betty urodziły się 19 sierpnia 1930 roku w Purlear, w Północnej Karolinie. Tego dnia urodziło się również trzecie dziecko, Billie, ale z trojaczków przeżyła jednak tylko dwójka.

Bobbie i Betty chodziły do szkoły w identycznych strojach. W tym samym czasie przechodziły te same choroby wieku dziecięcego. Kupowały taki sam rodzaj cukierków. W tym samym czasie wycięto im migdałki, a gdy którąś z nich bolały zęby, druga także miała ból zębów. Kiedy ząb jednej z nich zepsuł się tak, że trzeba było go usunąć, u jej siostry zaczął sią psuć taki sam ząb, który również należało wyrwać.

W piątej klasie, gdy bliźniaczki miały jedenaście lat, przetestowano je; testy wykazały, że tożsamość fizyczna sióstr nie kończy się na zębach i migdałkach, lecz sięga znacznie głębszych sfer. Nierozerwalność ich życia znalazła odbicie także w jedności intelektualnej. Uzyskiwały w szkole identyczne lub prawie takie same oceny.

Wydaje się, że mniej więcej w tym czasie zaczął rozwijać się między nimi nowy rodzaj układu. Choć dla obserwatorów z zewnątrz dziewczynki wciąż wydawały się nie do odróżnienia, ich rodzice i niektórzy nauczyciele zauważyli, że Bobbie zaczyna nieznacznie wyprzedzać Betty i zdobywać nad nią lekką przewagę, zarówno fizyczną, jak i psychiczną.

Być może to właśnie wtedy siostry znalazły się w rozstrzygającym punkcie swego bliźniaczego życia. Inność Bobbie mogła odsunąć ją od Betty. Każda z dziewcząt mogła zacząć żyć pełniej na własny sposób, mogła wykształcić bardziej autentyczną indywidualność. Ale to nie nastąpiło. Przeciwnie, bliźniacze podobieństwo pogłębiało się coraz bardziej - z tym, że Bobbie zaczęła zyskiwać dominację.

W szkole średniej wciąż jeszcze były sobie bliskie i trzymały się razem. Obie należały do kółka chórzystek, ze względu na swe nieprzeciętne zdolności muzyczne. Gdy jedna z nich zaczynała nucić jakąś melodię, druga potrafiła podjąć ton, ciągnąć takim samym głosem, nawet jeśli pozornie siostry znajdowały się poza zasięgiem słuchu.

Eksperci śledczy, którzy mieli później przygnębiającą okazję zagłębić się w życie dziewcząt, wykryli w nim układ wzrastającej dominacji Bobbie. W trzecim roku szkoły średniej obie bliźniaczki pełniły wyższe funkcje podczas spotkań w pracowni klasowej. Prawie wszystkie oceny Bobbie stanowiły piątki; Betty uzyskiwała same czwórki.

W tajnej opinii nauczycielskiej dotyczącej cech charakteru oceniano Bobbie jako bardziej niezawodną i pracowitszą od Betty, choć większość nauczycieli uważała obydwie za sympatyczne i godne podziwu. Obie chodziły na lekcje gry na pianinie. Bobbie grała lepiej niż Betty . Przewyższała ją wzrostem o dwa i pół centymetra; ważyła też odrobinę więcej. W szkole średniej od czasu do czasu spotykała się z chłopcami; Betty zostawała w domu. Charakter pisma Bobbie wydoroślał w porównaniu z pismem Betty. Na podstawie kronik szkolnych i rozmów z ludźmi, którzy znali bliźniaczki, rysuje się wizerunek

Bobbie, coraz bardziej przywódczej i Betty coraz silniej podporządkowanej. Bobbie, na przykład, miała wzrok słabszy od Betty i musiała nosić okulary. Betty również zaczęła nosić okulary, choć ich nie potrzebowała. Kiedy zaś Bobbie przestała używać szkieł, Betty też przestała, równie nagle. Na pewnym etapie Betty pisała nawet swoje imię przez "ie" na końcu, żeby upodobnić je do imienia Bobbie. Chociaż nie zauważało się, aby między Bobbie i Betty istniało jakieś szczególne napięcie, to jednak po ukończeniu szkoły średniej Bobbie najwidoczniej próbowała odejść i żyć na własną rękę. Zdobyła pracę w sklepie wielobranżowym odległym o piętnaście kilometrów. Był to pierwszy jak dotąd przypadek wyjazdu którejś z bliźniaczek z Purlear, a jednocześnie pierwsze w ich życiu rozstanie.

Po upływie mniej więcej roku Bobbie porzuciła pracę i siostry znowu stały się nierozłączne. Spotkały się na krótko w Purlear, a potem wyruszyły do Winston–Salem, gdzie wróciły do swego modelu równoległego życia.Znalazły pracę w tej samej fabryce papierosów, mieszkały w tej samej kamienicy i oczywiście razem przyjeżdżały na weekendy do domu.

Ani one same, ani ich krewni czy przyjaciele nie zdawali sobie sprawy, że w głębi ich bliźniaczych umysłów od dawna tykają psychiczne bomby zegarowe.Ten sam proces powielenia genów, który dał im w efekcie identyczne bóle zęba i oczy o szarobrązowym odcieniu, zapoczątkował w nich identyczny rodzaj szaleństwa.

Wydaje się, że Bobbie pierwsza uległa jego atakowi. Po dwóch latach spędzonych w Winston-Salem wróciła do domu i zaczęła, jak określają to mieszkańcy Purlear, "zachowywać się całkiem jak nie ona". Betty próbowała wytrzymać w Winston trochę dłużej, najwyraźniej walcząc o uzyskanie własnej, niezależnej tożsamości. Lecz i ona wróciła do Purlear, jakby przyciągnięta niewidzialnym magnesem.

Po powrocie do domu bliźniaczki zaczęły żyć swoim własnym życiem, w dziwnym, oderwanym od rzeczywistości świecie. Kiedy ktoś przychodził, uciekały do innego pokoju. Były zamknięte w sobie, chorobliwie nieśmiałe, podejrzliwe i bojaźliwe."Zupełnie nie mogły dać sobie rady z sobą" - powiedział ich ojciec. I z przenikliwością kaznodziei z gór, pastor Eller rozpoznał chorobę córek. Lekarze nazywają ją schizofrenią.

Bobbie i Betty równolegle ulegały postępującej powoli i nieubłaganie chorobie. Coraz bardziej odrywały się od rzeczywistości, wycofując się wciąż dalej i dalej w głąb swych splątanych jaźni. W końcu rodzina umieściła siostry w Stanowym Szpitalu Zdrowia Psychicznego w Morganton, około siedemdziesięciu kilometrów od Purlear. Był styczeń 1961 roku.

Blisko trzy miesiące później bliźniaczki opuściły szpital w jakby lepszym stanie zdrowia. Jednakże znowu, w niesamowity, równoległy sposób, przeżyły nawrót choroby. Osobom, które znały je i kochały, wydawało się, że siostry mają dostęp do jakiegoś niezwykłego świata, w którym obie mogą znajdować wzajemną jedność. Nikomu poza nimi nie została dana wiedza o owym fantastycznym świecie.

Kursowały między szpitalem a domem, czasami na długo pozostając w klinice.Wreszcie, w styczniu 1962 roku, zostały zwolnione; przepisano im specjalne leki, które miały otrzymywać w domu. Ale w ich fantastycznym świecie lekarstwa wyobrażały kajdany ściągające siostry z powrotem w rzeczywistość.Nie chciały ich przyjmować. W końcu nie potrafiły też nic zjeść, o ile nie zostały do tego zmuszone.

1 kwietnia 1962 roku, straszliwie wychudzone i ledwie świadome istnienia realnego świata, bliźniaczki jeszcze raz znalazły się w klinice Broughton. Choroba psychiczna spustoszyła ich umysły w przerażająco podobny sposób. Lecz schemat dominacji Bobbie był wciąż aktualny: Bobbie jadła więcej niż

Betty i dlatego była od niej mniej wychudzona. Psychiatrzy w Broughton dostrzegli ten schemat i doszli do wniosku, iż dominacja Bobbie nad Betty w jakiś niezrozumiały sposób pogłębia chorobę sióstr. Lekarze sądzili, że gdyby udało się odseparować je od siebie, zerwanie ogniwa łączącego bliźniaczki mogłoby pomóc w przywróceniu im zdrowia.

Bobbie i Betty zostały więc rozdzielone. Bobbie umieszczono na oddziale 8, Betty na oddziale 12. Było to ich pierwsze fizyczne rozstanie od momentu, gdy kilka lat wcześniej choroba umysłowa zespoliła je w jedno.

W nocy obie siostry dostały ataku katatonii. Ich ciała zesztywniały, obydwie zamarły w bezruchu. Obydwie niewidzącym wzrokiem patrzyły przed siebie w przestrzeń. Obydwie zagryzały dolną wargę. Nie mogły się widzieć - były przecież skutecznie odseparowane od siebie, znajdując się na różnych oddziałach. Jednak później, kiedy dyżurne pielęgniarki porównały swoje notatki, odkryto, iż zewnętrzne symptomy ataku były takie same.

Obu bliźniaczkom podano środki uspokajające. Przynajmniej tym razem nie potraktowano ich jak bliźniąt: każdej podano inne lekarstwo, Bobbie w zastrzyku, Betty doustnie. Siostry uspokoiły się i poszły spać. Bobbie była sama w pokoju na oddziale 8, gdzie pielęgniarka obserwowała ją czujnie na wypadek ponownego ataku. Betty znajdowała się z innym pacjentem w sali na oddziale 12.

Około godziny jedenastej w środę wieczorem Betty wstała z łóżka. Mówiła, że chce się napić wody. Pielęgniarka weszła do sali, uspokoiła ją i ułożyła z powrotem w łóżku. Po niedługim czasie sprawdziła, czy Betty śpi, oświetlając na chwilę jej twarz. Betty uchyliła powieki, po czym znowu zapadła w sen.

O godzinie 00.55 w nocy ze środy na czwartek pielęgniarka dyżurująca na oddziale Bobbie poczuła, że coś się stało. Nie potrafiła wyjaśnić tego odczucia, ale coś przywołało ją do łóżka chorej. Bobbie nie żyła!

Zdając sobie sprawę z dziwnej więzi łączącej obie siostry, pielęgniarka natychmiast zadzwoniła na oddział 12 i poprosiła, aby ktoś sprawdził, co dzieje się z Betty. Leżała na podłodze. Martwa. Prowadzący dochodzenie ustalili później, że bliźniaczki znaleziono leżące w tej samej pozycji, na tym samym boku, z nogami podciągniętymi w ten sam sposób.

Samobójstwo wykluczono z wielu powodów. Szpitale zdrowia psychicznego stosują pod tym względem niezwykle ścisłe środki ostrożności. W aktach tamtejszego szpitala zapisano wiele udaremnionych samobójstw. Poza tym odebranie sobie życia nie pasowało do schematu zachowań bliźniąt-schizofreników. "Samobójstwo- stwierdził w swoim studium doktor Kaalimann - jest jednym z tych nielicznych aktów, które nie mają szans realizacji w życiu obojga bliźniąt".

Należało jednak ustalić przyczynę śmierci. Zadanie zlecono wybitnemu patologowi doktorowi Johnowi C.Reece, byłemu prezesowi Towarzystwa Patologicznego Północnej Kaaroliny i Stanowego Towarzystwa Medycznego.

Po dokonaniu szczegółowej sekcji zwłok odkrył on, że wzajemne podobieństwo bliźniaczek rozciąga się też na ich organy wewnętrzne. Na przykład mózgi obu kobiet były ukształtowane w niemal identyczny sposób. Opisując swoje poszukiwania przyczyny zgonów, doktor Recce po kolei zmuszony był wykluczyć każdą z wyobrażalnych możliwości.

– Nie wykryłem żadnych objawów obrażeń czy choroby, które mogłyby spowodować śmierć bliźniaczek - powiedział. W obydwu świadectwach zgonu rubrykę "Przyczyna śmierci" pozostawił nie wypełnioną.

Następnym etapem było wysłanie narządów wewnętrznych sióstr dla dokonania dokładniejszej analizy. Technicy laboratoryjni Biura Śledczego starali się wykryć nikłe ślady zatrucia lekami. Istniała na przykład pewna możliwość, że śmiertelną reakcję wywołały w organizmach sióstr środki uspokajające. Ale środki te były dobrze znanymi, przetestowanymi farmaceutykami, a nawet gdyby przyjąć naciąganą hipotezę, że obie bliźniaczki uległy działaniu dwóch różnych leków w tej samej chwili, reakcje śmiertelne ujawniłyby się krańcowo odmiennie w narządach wewnętrznych.

Podobnie jak doktor Reece, pracownicy laboratorium nie potrafili wyjaśnić przyczyny śmierci. Narządy wewnętrzne zmarłych wysłano zatem do – należącego do FBI – najlepiej wyposażonego laboratorium śledczego świata. Problem przerósł również i tamtejszych naukowców.

Można tylko jeszcze rozważyć teorię, której żaden naukowiec nie chciałby podjąć. Może zdarzyło się, że w owym fantastycznym świecie, w którym spędziły ostatnie lata życia, Bobbie i Betty odkryły moc, która pozwalała im przywołać śmierć samą tylko siłą woli.

Ale w jaki sposób udało im się wyzwolić tę moc równocześnie?

Odpowiedź wydaje się tkwić w dominacji Bobbie nad siostrą. Możliwe, że dominacja ta stała się obezwładniająca w stopniu, który okazał się fatalny. Doktor Reece, szukając odpowiedzi poza stołem sekcyjnym, zasięgnął opinii lekarza, który leczył rodzinę bliźniaczek.

Stary wiejski doktor powiedział o swoich udręczonych pacjentkach:

– Były jak dwoje ludzi o jednym mózgu. Ale ten mózg należał do Bobbie.

# PRZEWODNIK Z POWOŁANIA

Jeden z najsławniejszych ratowników zapisanych w kronikach morskich ma na swoim koncie tysiące ocalonych ludzi i uratowane od zatonięcia dobra wartości milionów dolarów. Nie umiał czytać ani pisać i pracował za darmo, bo nigdy nie słyszał o pieniądzach. Chyba najstosowniejszym dla niego imieniem jest Jack z Pelorus, inaczej Darmowy Przewodnik.

Spróbuj postawić się w jego sytuacji.

Jeśli byłbyś doskonałym nawigatorem, czy przeprowadzałbyś statki przez niebezpieczne wody przez czterdzieści lat bez żadnej zapłaty?

Jack to robił.

Jeśli byłbyś jednym z najlepszych pływaków na świecie, czy wróciłbyś do pracy, jeśli twoją jedyną nagrodą był strzał w plecy?

Jack to zrobił.

Jack z Pelorus był i nawigatorem i pływakiem.

Pracował wiernie w wybranym przez siebie zawodzie i przeprowadzał statki przez niebezpieczne wody przez czterdzieści lat, przy dobrej i złej pogodzie, i nie stracił ani jednego statku. Nikt nigdy nie proponował mu zapłaty, ani on sam nigdy nie oczekiwał pieniędzy.

Niezwykła postać, doprawdy. Bardzo niezwykła. Jack z Pelorus był morświnem!

U wybrzeży Nowej Zelandii znajduje się archipelag D'urville. Między wyspami można przepłynąć na skróty tak zwaną Francuską Cieśniną, która ciągnie się od Pelorus Sound do Zatoki Tasmańskiej. Zdradliwe prądy i ostre podwodne skały czekają na bezradnych i nieostrożnych. Cieśnina miała złą sławę wśród marynarzy – dopóki nie zjawił się Jack. Od tego czasu droga stała bezpieczna dzięki temu nadzwyczajnemu morświnowi.

Jako pierwszy zapoznał się z nim szkuner "Brindle", który płynął z Bostonu do Sidney z ładunkiem maszyn i butów, i próbował znaleźć drogę w cieśninie pewnego burzliwego poranka 1871 roku. Załoga zauważyła bardzo dużego szaro-błękitnego morświna, bawiącego się w wodzie tuż obok wioseł. Wyskakiwał z wody i zachowywał się jak szczeniak, który spotkał przyjaciela i szaleje z radości. Niektórzy marynarze wzięli go za młodego wieloryba i chcieli upolować, ale żona kapitana powstrzymała ich. "Brindle" płynął za morświnem we mgle i deszczu przez całą cieśninę, mając cały czas pod kilem głęboką wodę.

Według tego, co mówią kroniki, spotkanie "Brindle'a z Jackiem było początkiem niewiarygodnej kariery morświna. Ponieważ trzymał się blisko Pelorus i czekał na statki, żeby przeprowadzić je przez cieśninę, wkrótce nazwano go Jack z Pelorus, a jego sława szybko rozeszła się po świecie, gdyż wdzięczni marynarze chwalili go za pomoc przy strasznej przeprawie.

Przez czterdzieści lat Jack wypływał na ich spotkanie i wyskakiwał na powitanie z wody. Marynarze i pasażerowie przyglądali się mu i wydawali okrzyki na jego cześć, gdyż pod jego opieką niebezpieczeństwo przestawało istnieć.

Wielki morświn płynął obok statku, wyskakując z gracją ponad wodę. Nie sprawiało mu kłopotu utrzymanie tej samej prędkości, jako że morświny należą do najszybszych stworzeń wodnych.

Jack ścigał się ze statkami godzinami, od czasu do czasu przepływał pod nimi, żeby ukazać się z drugiej strony niczym owczarek pilnujący stada. Ale gdy tylko zbliżano się do Cieśniny Francuskiej, Jack wysuwał się naprzód, przed dziób, i pozostawał tam, widoczny dla pilota, prowadząc statek przez kanał, aż niebezpieczne miejsce zostało z tyłu.

W 1903 roku pijany pasażer ze statku "Penguin" strzelił do Jacka z pistoletu. Załoga chciała go zlinczować i trzeba było powstrzymać ją od tego siłą. Przez dwa tygodnie Jack nie stawił się na służbie i sądzono, że nie żyje. Ale pewnego poranka przewodnik z Francuskiej Cieśniny zjawił się znowu.

Rada miejska z Wellington wydała ustawę chroniącą Jacka przed prześladowaniami i było to jedyne prawo, do którego marynarze stosowali się bez zastrzeżeń.

Po postrzale Jack nigdy już nie wypłynął na spotkanie "Penguina" – był to jedyny statek, któremu nie chciał towarzyszyć. Marynarze przestali zaciągać się na ten statek; mówili, że "Penguin" przynosi nieszczęście. W końcu zdany na umiejętności pilota człowieka, "Penguin" wpłynął na skały i zatonął wraz z pasażerami.

Żeby zakończyć spór, czy Jack jest morświnem czy rekinem, grupa naukowców kilkakrotnie odbyła podróż przez cieśninę i zdecydowanie określiła Jacka jako bardzo dużego morświna.

Jack pozostawał wierny swemu powołaniu, ale powoli starzał się. Od czasu swej pierwszej podróży z "Brindle" Jack był na służbie dzień i noc, aż do kwietnia 1912 roku. Wtedy zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Prawdopodobnie padł ofiarą starości i naturalnych wrogów. Ponieważ nie wychował sobie następcy, jego odejście było niepowetowaną stratą.

Jack z Pelorus, jak twierdzą naukowcy, był ogromnym, niezwykłym morświnem. Nie miał poprzednika ani następcy. Ale w kronikach morskich zapisano go jako ratownika i niezrównanego przewodnika, który uchronił od śmierci tysiące osób.

# Niezwykłe sny

# SNY, KTÓRE DOKONAŁY ODKRYĆ

Glastonbury Abbey, dawno zaginione opactwo, zostało odkopane tylko dzięki serii zdumiewających snów, tak samo jak antyczne miasto Mycenae na Krecie, które wyśniło się młodemu bogatemu piekarzowi z San Francisco i przemieniło go w sławnego archeologa Heinricha Schlimanna.

Dobrze udokumentowany jest także przypadek słynnego konstruktora, wynalazcy silnika parowego – Jamesa Watta. W czasach Watta proces wytwarzania śrutu do wiatrówek był niesłychanie żmudny. Trzeba było najpierw uformować z ołowiu drut, a następnie pociąć go na kawałki albo najpierw pociąć blachę na małe kwadraciki, a następnie toczyć je pod ciężkimi płytami aż powstaną z nich kulki. Proces ten nie był ani najprostszy, ani tani.

Pewnej nocy J. Watt miał dziwaczny sen. Według jego opowieści, sen ów nawiedzał go noc w noc przez jakiś tydzień. Widział on siebie spacerującego podczas silnej burzy, w czasie której uderzające o ziemię krople deszczu zamieniały się w malutkie ołowiane kulki skaczące mu pod nogami.

Czy miało to jakieś znaczenie? Czy było to w jakiś sposób ważne? A może ten sen oznacza, że roztopiony ołów wpadając do wody, będzie się formował w małe kuleczki?

Nie mogąc się oprzeć chęci sprawdzenia, Watt stopił trochę ołowiu w kościelnej wieży, a następnie wylał garnek z ołowiem i obserwował jak ołów rozpryskuje się w powietrzu i wpada do fosy z wodą daleko w dole. Gdy przeszukał fosę, znalazł w niej ołów uformowany w okrągłe ziarenka, idealne do ładowania wiatrówek.

Na skutek owego spodowanego przez sen eksperymentu, wszystkie inne metody wytwarzania śrutu zostały zarzucone i kulki ołowiane zaczęto powszechnie produkować wylewając roztopiony ołów na wodę.

Innym, bardzo już niezwykłym wypadkiem, kiedy to we śnie ukazało się rozwiązanie zagadki naukowej, jest historia odczytania babilońskich tablic ze świątyni Bel.

Dr Herman Hilprecht, sławny badacz Asyrii z Uniwersytetu Pensylwania, pisał książkę zatytułowaną *Stare Inskrypcje Babilońskie* . Do ukończenia pracy pozostało mu jeszcze przetłumaczenie inskrypcji z dwu agatowych kawałków, będących niegdyś – jak sądzono – pierścieniami pochodzącymi ze świątyni Bel w Nippur. Agaty były połamane i niekompletne, przez co próba odczytania widniejących na nich napisów była właściwie skazana na niepowodzenie.

Było już późno i dr Hilprecht, aby choć na chwilę odpocząć, odłożył zagadkowe agaty i położył się spać. Jednakże archeolog obiecał wydawcy, że książka będzie gotowa następnego dnia... Pani Hilprecht poszła spać, a jej małżonek ponownie zabrał się do odszyfrowywania fragmentarycznych napisów pod szkłem powiększającym. Ale za chwilę on także usnął...

I wtedy jakby czas się cofnął. Dr Hilprecht zobaczył wysokiego, chudego kapłana starożytnego Babilonu, który stał przed nim uśmiechając się. Kapłan zdawał się być w średnim wieku, a silny wiatr pustynny rozwiewał jego białe szaty. Delikatnym, cichym głosem, powiedział po angielsku: "Chodź za mną. Pomogę ci".

Dr Hilprecht wstał, aby podążyć za swym dziwnym gościem. Wówczas zauważył, że nie uniósł się ze swego fotela, lecz z kamiennych stopni, na których zdawał się wcześniej siedzieć. Archeolog szedł za kapłanem przez gorące i zakurzone ulice, mijając od czasu do czasu duże budynki; każdy wydawał się opuszczony. Wreszcie dotarli do jakiejś masywnej budowli i weszli do ogromnego, słabo oświetlonego pokoju.

"Gdzie jestem?" – spytał dr Hilprecht.

"W Nippur, pomiędzy Tygrysem a Eufratem, w świątyni Bel, ojca bogów" – odpowiedział dziwny gość.

Archeolog rozejrzał się dookoła. Spoglądał na drobiazgi i przypatrywał się szczegółom. Dostrzegł wystarczająco dużo podobieństw do rekonstrukcji, jaką wykonali współcześni doktorowi naukowcy, by móc uznać, że dziwny kapłan mówi prawdę.

"Czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajduje się komnata zagubionego skarbu świątyni"?

Kapłan uśmiechnął się i kazał Hilprechtowi, aby szedł za nim. Prowadził go w dół ciemnym korytarzem, aż na sam koniec, do małego pokoju. Stała w nim ciężka, drewniana szkatuła, zawierająca kilka kawałków agatu. Wówczas kapłan odwrócił się do Hilprechta i powiedział:

"Dwa kawałki agatu, które ty uznałeś za oddzielne, naprawdę tworzą całość, są częścią pokrytego inskrypcją agatowego cylindra wotywnego podarowanego świątyni przez króla Kurgalzu. Kiedy rozkazano kapłanom, aby zrobili parę kolczyków dla posagu boga Ninib, okazało się, że nie mieliśmy żadnego agatu oprócz cylindra. W tym właśnie pokoju, w którym teraz jesteśmy, rozcięto walec na trzy części, tym samym dzieląc napis. Jedna z części przepadła na zawsze".

"Czy możesz mi powiedzieć, jak brzmiał oryginalny napis?" – zapytał Hilprecht.

Tajemniczy kapłan bez wahania odwrócił się i na pokrytej kurzem ścianie krypty napisał palcem: "Bogowi Ninib, synowi Bela, jego pana, kapłan Bela Kurgalzu sprezentował to".

Nagle dr Hilprecht wraz z kapłanem w białych szatach, wciąż stojącym u jego boku, znalazł się ponownie w swej bibliotece w

Filadelfii. Na kawałku papieru leżącym na biurku doktora napisane było słowo "Nebuchadnezzar", które jeden ze sławnych badaczy starożytności przetłumaczył jako: "Nebu, chroń me dzieło budowniczego". Kapłan wskazał na napis i rzekł: Słowo to znaczy – "Nebu, chroń moje granice". W chwilę później już go nie było.

Ów zadziwiający sen dr. Hilprechta ujawnił prawdziwą lokalizację skarbca. Ujawnił też, że dwa agaty pochodziły z jednego kawałka i że kiedyś były częścią cylindra wotywnego – fakt, który został później potwierdzony przez innych badaczy. Wyjaśniło się wreszcie znaczenie słowa "Nebuchadnezzar", które do dziś uważane jest za poprawnie przetłumaczone.

Ale widmo kapłana nie zdołało wyjaśnić tajemnicy największej: w jaki sposób uśpiony umysł doktora Hilprechta zdołał rozwiązać te starożytne zagadki?

# SEN, KTÓRY WSKAZAŁ MORDERCĘ

Mabel Schneider siedziała na poręczy sofy, wyglądając przez okno swego skromnego domu w Mount Morris, w stanie Michigan. Mogła stamtąd obserwować wijącą się autostradę, iskrzącą się teraz mocno ubitym śniegiem. Była godzina 11.20 – czas, aby jej pięcioletnia, jasnowłosa córka, Dorothy, wróciła z przedszkola.

Z jakiegoś powodu pani Schneider była spięta i zdenerwowana. Jej serce biło nierytmicznie, gdy obserwowała, jak samochód Dodge, stary model, zwalnia tuż za wierzchołkiem wzgórza. Kierowca samochodu, niebieskiego jak jaja drozda, wydawał się mieć trudności z ponownym nabraniem prędkości. Później samochód, rozpędzając się powoli, skręcił w drogę prowadzącą do Stanley. Za kilka sekund zniknął z pola widzenia.

Kiedy po wpół do dwunastej Dorothy ciągle jeszcze nie było, pani Schneider wyszła jej naprzeciw. Na stacji benzynowej zapytała, czy nie widziano dziewczynki. Okazało się, że jakiś czas temu Dorothy mijała stację benzynową w drodze do domu. Nie było jednakże żadnego dalszego śladu dziecka. Przerażona matka skontaktowała się z dyrektorem przedszkola, a on zawiadomił zastępcę szeryfa, który zorganizował grupę poszukiwawczą.

Szukano śladów niebieskiego samochodu, widzianego przez panią Schneider. Ludzie przepatrywali każdą boczną drogę, wypatrując śladów opon. Niecałe 5 km na zachód od Mount Morris, w odległości około 800 m na północ od drogi prowadzącej do Stanley, na przedmieściach Flint, natrafiono na teren, gdzie samochód ugrzązł w błocie. Miejscowy farmer Archie Bacon potwierdził, że ugrzązł tu jakiś niebieski samochód. Ślady prowadziły do płotu po przeciwnej stronie, gdzie widoczne były także odciski dziecinnych kaloszy.

Po otoczeniu dwudziestoakrowego pola, grupa poszukiwawcza odkryła tropy w miejscu, gdzie wiele śladów męskich stóp prowadziło do skrawka zalesionego terenu, przez który przepływał dopływ rzeki Benson. W pobliżu tych śladów znaleziono dziecinną czapeczkę, płaszczyk i sweterek. Zapłakana pani Schneider zidentyfikowała je jako rzeczy należące do jej dziecka.

Nowa i liczniejsza grupa poszukiwawcza została zorganizowana przez szeryfa Franka Greena. Ludzie pospieszyli z powrotem nad dopływ rzeki Benson i przeczesali zalesiony teren.

Przy wiązie nad samym brzegiem rzeki znaleźli oni część ciała małej dziewczynki, później dwie następne. Zrozpaczeni ludzie z grupy poszukiwawczej znaleźli jeszcze opakowanie gumy do żucia, korek od butelki i zmiętą chusteczkę do nosa na zmarzniętej ziemi. Szeryf Green wysnuł przypuszczenie, że prawdopodobnie użyto chloroformu – aby uśpić Dorothy. Nie udało się znaleźć narzędzia zbrodni i przypuszczano, że zostało ono wrzucone do rzeki, wezbranej teraz w wyniku odwilży.

Green przesłuchał farmera Archiego Bacona, który okazał się inteligentnym, spostrzegawczym i chętnym do współpracy świadkiem.

Koło południa zauważył on niebieski samochód, który skręcił na północ na skrzyżowaniu z drogą wiodącą do Stanley. Widział, jak kierowca wysiadł i podszedł do ogrodzenia. Wyglądał, jakby niósł na rękach jakiś tobół. Trzy godziny później widział tego samego mężczyznę, gdy bez powodzenia próbował wyciągnąć swój samochód z zamarzniętego błota. Mężczyzna ten pojawił się później w domu Bacona, aby prosić go o pomoc.

Archie Bacon opisał samochód jako stary model czterodrzwiowego Dodge'a, typu sedan, w kolorze niebieskim jak jajka drozda. Był tak mocno opryskany błotem, że nie mógł odczytać numerów na tablicy rejestracyjnej. Mężczyzna zaś – powiedział oficerom – miał przygarbione ramiona i ubrany był w szary płaszcz z tłustą plamą i w szarą futrzaną czapkę. Miał około 50 lat i 1,7 m wzrostu.

Jeden z podejrzanych odpowiadał opisowi poszukiwanego mężczyzny, włącznie z tłustą plamą na szarym płaszczu, a jego samochód był starym niebieskim Dodge'm. Na jego szczęście Archie Bacon był niezachwiany w swoim przekonaniu, iż "rozpozna człowieka z tobołem, gdy tylko go zobaczy i nie będzie pomyłki". Dzięki dobrej pamięci farmera i jego poczuciu odpowiedzialności, niewinnego w istocie właściciela niebieskiego Dodge'a nie aresztowano.

Sporządzono listę wszystkich samochodów odpowiadających opisowi Dodge'a zarejestrowanych w hrabstwie Genesee. Wojsko włączyło do akcji trzy pościgowe samoloty myśliwskie, które wykonywały loty w poszukiwaniu porzuconych samochodów. W ciągu czterech dni aresztowano i zwolniono około sześćdziesięciu podejrzanych. Aresztowano także podejrzanych osobników, których zauważono w domu pogrzebowym, gdzie znajdowało się okaleczone ciało Dorothy.

Wszyscy oni zostali jednak zwolnieni.

W Owosso, około 50 km od Flint, 16 stycznia rano, w dniu pogrzebu Dorothy, młody człowiek obudził się na dźwięk budzika. W jego umyśle wyrwanym ze snu, głęboko wyryte było nazwisko drugiego diakona Kościoła Chrystusowego w Owosso – Adolpha Hottelinga. Młody człowiek miał pewność, że było to nazwisko mordercy dziecka.

Tym młodym mężczyzną był Harold Lotridge. Należał do chóru kościelnego, także był diakonem i znał Hottelinga jako surowego, wyjątkowo pobożnego człowieka, czasami tylko mającego skłonności do kłótni. Lotridge opowiedział ojcu o swoim śnie, że to Adolph Hotteling był napastnikiem i zabójcą Dorothy. Nazwisko we śnie oraz powszechnie publikowany opis poszukiwanego mężczyzny i jego samochodu zbyt dobrze do siebie pasowały.

Lotridge'owie w pracy jeszcze raz omówili sen i rozpatrzyli sprawę ze wszystkich stron. Młody Lotrigde był przeciwny przywiązywaniu wagi do snu, nie mógł się jednak pozbyć uczucia, że Hotteling był winien popełnienia zbrodni.

Obydwaj Lotridge'owie zapomnieli jednakże ściszyć głosy i ich rozmowę usłyszał Sheldon Robinson, sąsiad Lotridge'ów, zatrudniony również przy budowie szkoły. Nie tracąc czasu, udał się od razu do Flint na policję ze swoją "informacją". Nagroda, wynosząca już wówczas 8 000 dolarów,była nie do pogardzenia. Oczywiście to był tylko sen, ale władze szły każdym nowym tropem.

Zaledwie ciało Dorothy Schneider zostało złożone na wieczny spoczynek, kiedy policjanci zjawili się w skromnym domu Hottelinga w Owosso. Pani Hotteling właśnie robiła pranie. Jej mąż ubrany w kombinezon, zajęty był wykonywaniem drobnych prac domowych.

Hotteling gwałtownie zaprzeczył jakiemukolwiek powiązaniu z tą zbrodnią. Jego żona twierdziła histerycznie, że jej mąż "nigdy by nie popełnił czegoś takiego, a gdyby to zrobił, sama chętnie pomogłaby go zabić".

Oficerowie wyszli obejrzeć samochód Hottelinga, stary model Dodge'a, połyskujący nową warstwą czarnego lakieru. Kiedy sygnet jednego z oficerów przypadkowo zarysował farbę, oczom ich ukazał się kolor niebieski jak jaja drozda.

Po kilku minutach ludzie szeryfa znaleźli ubranie, tak dokładnie opisane przez farmera Bacona. W jednej z kieszeni znajdował się poplamiony krwią, składany nóż i chustka do nosa podobna do tej, która była na miejscu zbrodni. Znaleziono także listę nazwisk kobiet, mieszkających w tej miejscowości i poza nią. Lista ta zawierała nazwisko Mabel Schneider.

Hotteling przyznał się. Twierdził uparcie, że dręczyła go sprawa Hickmana, mordercy z Los Angeles i że "coś musiało wreszcie pęknąć".

Część jego zeznań brzmiała następująco: "Prowadząc samochód zauważyłem śliczną małą dziewczynkę. Wziąłem ją do samochodu, myśląc że podwiozę ją do domu. Ona płakała. Dojechałem do drogi prowadzącej do Stanley, była błotnista i mój samochód ugrzązł w błocie. Niosłem dziewczynkę kawałek przez pole. Ona ciągle płakała i chciała wrócić do domu".

Uspokoił ją kawałkiem gumy do żucia. Gdy doszli do dopływu rzeki Benson, Dorothy łkała nadal i zagroziła, że powie ojcu. Hotteling uśpił ją chloroformem i dwa razy pchnął nożem. Zgwałciwszy ją, poćwiartował następnie ciało na kawałki. Znajomość anatomii zawdzięczał swemu szwagrowi weterynarzowi. W swoich zeznaniach przyznał się także do popełnienia dwóch, dotąd nie wyjaśnionych zbrodni na tle seksualnym na małych dziewczynkach z Owosso. Jedną z ofiar uśpił chloroformem.

Sędzia okręgowy hrabstwa wykluczył możliwość zmiany miejsca rozprawy i z zakładu poprawczego w Ionia Hotteling został przewieziony do Flint. W towarzystwie swego adwokata stanął przed sądem, aby przyznać się do winy i usłyszeć wydar y wyrok. Pani Hotteling była nieobecna ze względu na ciężkie załamanie nerwowe. Ojciec zamordowanej dziewczynki czekał spokojnie, a kiedy mijał go więzień w kajdankach, wymierzył mu silny cios w twarz – satysfakcja, na którą czekał od pierwszego dnia tego koszmaru.

Adolph Hotteling został skazany na dożywotnie więzienie, co zgodnie z prawem stanu Michigen było najwyższym możliwym wymiarem kary. Natychmiast po procesie przewieziono go samochodem do więzienia Marquette, gdzie przebywał do końca swoich dni.

Więzień nr 1938 zamknął sprawę, umierając w 1955 roku.

Sprawa została zamknięta, ale tylko dla sądu i policji... Nie wyjaśniony pozostał bowiem niezwykły sen, w którym ukazała się postać mordercy.

# POMNIK DLA TAJEMNICY

W pobliżu wioski Pavia w County Bedford, w Pensylwanii, stoi unikalny kamienny pomnik wzniesiony ze składek publicznych jako symbol pewnej tajemnicy, która nigdy nie została rozwiązana.

Rankiem 24 kwietnia 1856 roku Samuel Cox usłyszał ujadanie swego psa, gdzieś w gęstwienie lasu otaczającego jego dom w Spruce Hollow. Cox sięgnął po broń i wyszedł, aby sprawdzić na kogo szczekał pies, ale zanim zlokalizował intruza, pies przestał szczekać.

Samuel chodził przez pół godziny po lesie nim ponownie wyszedł na polanę, na której stał jego dom. Zastał tam żonę Susannah z psem – ale gdzie byli synowie: siedmioletni George i pięcioletni Joseph? Ojciec sądził, że dzieci zostały w domu, jego żona myślała, że chłopcy poszli z ojcem. Pies, który wiedział, gdzie podziali się malcy, szczekał i kręcił się niespokojnie w kółko.

Przerażeni rodzice pobiegli do lasu, wołając i nasłuchując, ale bez rezultatu. Samuel poszedł przez góry do swych najbliższych sąsiadów i poprosił o pomoc. Jeden z nich pojechał konno zawiadomić innych w rzadko porozrzucanych domostwach, a Samuel z resztą pośpieszyli z powrotem, aby przeszukać gęstwinę.

Przed zapadnięciem nocy ponad sto kobiet i mężczyzn zajmowało się poszukiwaniami chłopców. Przez wiele godzin ludzie chodzili i nawoływali, przeszukiwali każdy kawałek lasu – wszystko bezskutecznie.

Noc była bardzo ciepła, istniała więc szansa, że chłopcy mogli przeżyć, zakładając że nie wpadli w któryś z głębokich jarów w dolinie.

O świcie rozpoczęto ponowne poszukiwania z udziałem nowych ochotników, którzy przebyli wiele kilometrów, aby pomóc. I ponownie minął dzień i nie znaleziono żadnego śladu chłopców. Czas uciekał nieubłaganie.

Jak można przeczytać w *The History of Bedford County*, poszukiwania trwały wiele dni i brało w nich udział ponad tysiąc ludzi. W desperacji rodzice poprosili o pomoc różdżkarza – mówiono, że za pomocą swej różdżki znajdował wodę, więc być może byłby w stanie odnaleźć zaginionych chłopców. Niestety, nie potrafił. Różdżka podnosiła się i opadała, ale za każdym razem, gdy trafiała na ścieżkę, którą szli chłopcy, nie była w stanie doprowadzić do miejsca ich pobytu.

Swą pomoc zaoferowała też pewna stara kobieta uchodząca za swego rodzaju miejscową czarownicę, lecz także na próżno.

W atmosferze podniecenia i niepokoju, często zdarza się, że powstają plotki i tak też się stało: rozeszła się wieść, że to sami rodzice zabili dzieci w nadziei zwrócenia na siebie uwagi i uzyskania publicznego współczucia. Tłum, raczej z ciekawości niż rozsądku, rozerwał na kawałki podłogę w domu rodzicieli i przekopał całe podwórze. Na próżno.

Dwadzieścia kilometrów od miejsca zdarzenia mieszkał spokojny, młody farmer Jacob Dibert. I miał sen.

Śniło mu się, że jest w lesie, w tej jego części, w której nigdy nie był i której nigdy przedtem także nie widział. Dibert śnił, że stawia nogę na kłodzie drewna. Zaś przed nim leżał zdechły jeleń. Spoglądając na ścieżkę, którą prawdopodobnie jeleń przeszedł, zauważył dziecięcy bucik, a zaraz za nim bukowy pal, który tworzył swego rodzaju kładkę przez wąwóz. Przekroczywszy wąwóz po powalonym drzewie, przeszedł następnie po kamiennym mostku wprost do wąwozu, którym płynął mały strumyk. Tam, w półkolu utworzonym przez korzenie ogromnej brzozy, leżeli poszukiwani chłopcy – martwi.

Jacob opowiedział swojej żonie o śnie, ale oboje zatrzymali to dla siebie. Następnej nocy sen się powtórzył i wtedy postanowili powiedzieć o tym bratu pani Dibert, Hartisonowi Wysongowi, człowiekowi znającemu jak nikt obszar lasu, w którym zaginęli chłopcy.

Wysong był sceptykiem, jeśli chodzi o sny, ale nie oponował. Wiedział bowiem, że faktycznie istnieje takie miejsce i przełęcz ze strumykiem, chociaż uważał, że szukanie tam chłopców jest bezsensowne. Jednakże, by zapewnić spokój sumieniu pani Dibert, poszedł razem z Jacobem na brzeg lasu i rozpoczęli poszukiwania.

Pięć minut później nastąpili na powalony buk, gdzie ku ich zdziwieniu leżał nieżywy jeleń. Za nim, jakieś siedem metrów dalej, leżał dziecięcy bucik!

Obaj mężczyźni zaczęli biec... przez wąwóz, który przeszli po palu... wspięli się... Jacob zauważył olbrzymią brzozę... a zbyt podekscytowany, aby mówić... wskazał tylko ręką. I miał rację. W korzeniach brzozy leżały ciała obu chłopców – dokładnie tak, jak widział to Jacob Dibert w swym śnie.

Chłopców pochowano na cmentarzu Mt. Union Cemetery 8 maja 1856.

W pięćdziesiątą rocznicę tego dziwnego wydarzenia postawiono pomnik zbudowany z publicznych składek, w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ciała chłopców. Pomnik wciąż tam stoi jako pamiątka nie wyjaśnionej zagadki.

# OCALONY PRZEZ SEN

Czy jest możliwe, by pod wpływem silnego napięcia psychicznego istoty ludzkie mogły porozumiewać się ze sobą za pośrednictwem jakiegoś nie znanego jeszcze kanału komunikacyjnego? Ze wszystkich odnotowanych przypadków tego typu na największą uwagę zasługuje historia młodej dziewczyny, która odnalazła swego ukochanego tylko dlatego, iż niezłomnie wierzyła w swoje sny.

Władze miasteczka Czermno w Polsce uważały tę dziewczynę za natręta. Była u nich wiele razy z prośbą o pomoc w odnalezieniu narzeczonego, który poszedł się bić w Pierwszej Wojnie Światowej i zniknął, jak miliony innych, gdzieś w zgiełku wojennym.

W październiku 1918 roku Maryna po raz pierwszy miała okropny sen o swoim zaginionym żołnierzu. Widziała, jak szukał po omacku drogi w ciemnym tunelu, widziała, jak odstawił świeczkę i bronił się przed spadającymi głazami i belkami, widziała, jak padł na kolana szlochając. Tylko to – nic więcej.

Sen powtórzył się kilka razy. W środku lata 1919 roku obraz trochę się zmienił. Zobaczyła we śnie zamek na szczycie wzgórza. Jedna wieża tego zamku była zawalona. Kiedy podeszła do tej wieży, usłyszała głos wołający o pomoc i natychmiast poznała, że należał on do jej zaginionego Stanisława.

Głos dochodził spod głazów. Próbowała je podnieść, ale były za ciężkie. Zrozpaczona odwróciła głowę i wtedy sen się urwał. Kiedy sen powtórzył się kilka razy, Maryna opowiedziała go matce, a ta proboszczowi. Proboszcz odniósł się do tego bardzo sceptycznie i przypisał wszystko złemu stanowi psychicznemu zrozpaczonej dziewczyny.

Ale Maryny nie można było tak łatwo zniechęcić. Gdzie jest zamek z zawaloną wieżą? Odnalezienie go wydawało się niemożliwe, ponieważ ta część Europy jest pełna starych zamków – pozostałości minionej epoki.

Ciągle te przerażające sny! Widziała, jak Stanisław szedł po omacku przez tunel, widziała zawalony zamek, słyszała błagania o pomoc. Prawie bez grosza wyruszyła w stronę miejsca, gdzie ostatnio widziano jej chłopca. Spała gdzieś przy drodze. Jadła to, co dawali jej dobrzy ludzie. Opowiadała im o wszystkim, a oni tylko kiwali głowami. Tyle było smutnych historii z czasów wojny i tyle zamków w ruinie.

25 kwietnia 1920 roku Maryna weszła na szczyt wzgórza koło wioski Złota w południowej Polsce. Na wzgórzu stał zamek. Maryna spojrzała na niego i krzyknęła z radości. To był ten! Taki jak we śnie. Ze łzami spływającymi po policzkach zbiegła piaszczystą drogą do wioski i wyczerpana upadła przy studni w centrum wsi. Zebrał się tłum ludzi. Przyszedł policjant, żeby sprawdzić, co się stało. Maryna nie mogła nic powiedzieć, pokazywała tylko na zamek i mamrotała: "Jest tam! Jest tam!".

Nie zrobiło to żadnego wrażenia na policjancie. Oczywiście, że zamek tam był. Stał tam od setek lat. Po co się więc tak denerwować? Dziewczyna opowiedziała swoją historię, ale nikt jej nie uwierzył. Zakochane dziewczyny są zdolne do wszystkiego, może więc poszukiwanie zamku było po prostu jednym z dziwacznych dziewczęcych pomysłów. Mimo to Maryna przyciągnęła uwagę wielu ludzi. Ponieważ była zdecydowana iść i kopać w gruzach, tłum poszedł z nią z ciekawości.

Z uśmiechem niedowierzania na ustach mężczyźni odsuwali głazy. Pracowali tak przez dwa dni, aż w końcu ujrzeli jakiś otwór i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszeli ludzki głos wołający z ciemności. Maryna usłyszała go także. Próbowała odsunąć głazy, ale mężczyźni odciągnęli ją i sami powiększyli otwór. W środku ktoś był. Kiedy go wyciągnęli, ujrzeli bladego i obdartego chłopca. To był on, chłopak Maryny. Nie mógł otworzyć oczu – po spędzeniu dwu lat w kompletnej ciemności, światło było dla niego najgorszą torturą.

Przed dwu laty przyszedł do starego zamku. Kiedy był w środku, pocisk uderzył w wieżę i spadające głazy zablokowały wyjście. Żył serem i winem. Znalazł kilka świeczek, którymi oświetlał wnętrze, dopóki wszystkie się nie wypaliły. Towarzystwa dotrzymywały mu szczury. Jego jedyną nadzieją była modlitwa.

Po tym zdumiewającym epilogu snów Maryny, Wojsko Polskie przeprowadziło dochodzenie w sprawie Stanisława Omeńskiego. Wkrótce został on honorowo zwolniony ze służby i poślubił dziewczynę, która w ten nieprawdopodobny sposób uratowała mu życie, wierząc w sny.

# WYŚNIONE KATASTROFY

W Bostonie była niedzielna noc, gdy Byron Somes odsypiał właśnie kolejną hulankę w swoim redakcyjnym biurze w "Boston Globe".

W tym samym czasie w cieśninie Sunda był już poniedziałkowy poranek i miał tam miejsce najsilniejszy wybuch wulkanu w historii ludzkości.

W swoim śnie Byron Somes widział katastrofę tak wyraźnie, jakby patrzył na to wszystko z powietrza, choć znajdował się dziewiętnaście tysięcy kilometrów od miejsca katastrofy!

Dwa dni przed niesamowitym snem bostońskiego reportera, wulkaniczna wyspa wynurzyła się z oceanu w cieśninie Sunda, w miejscu, gdzie w 1115 roku trzęsienie ziemi rozłączyło wyspy Jawę i Sumatrę. Wulkan Krakatau znany był ze swych wstrząsów i powtarzających się erupcji. 25 sierpnia 1883 roku dał znać o sobie cichym mruczeniem, które w zastraszająco szybkim tempie osiągnęło siłę kanonady. Przed zapadnięciem nocy zaczął zasypywać wyspę głazami wulkanicznymi. Pozałamywały się mosty, drogi stały się nieprzejezdne. Statki musiały się ratować ucieczką w morze, aby uniknąć deszczu kamieni. Potężne wybuchy podwodne utworzyły kipiel morską, a temperatura wody podniosła się o ponad 18°C w ciągu nocy.

Przed południem, 26 sierpnia, największy na Jawie wulkan Maha-Meru dołączył do tego chóru. Następnie Gunungguntur, a po kilku godzinach cały wulkaniczny łańcuch Kadangs objawił swą moc. Piekielna artyleria grzmiała całą siłą ognia. Morze wokół wyspy wrzało. Ziemia się trzęsła. Noce były czerwone od ognistych wybuchów piętnastu ryczących wulkanów.

Nagle nastąpił wybuch tak potężny, że wyspa Krakatau rozpadła się na kawałki, fale sejsmiczne obiegły kulę ziemską, a olbrzymia fala morska – tsunami, runęła, by siać zniszczenie i śmierć. Około 40 tysięcy ludzi straciło życie. Niczego podobnego nigdy nie zanotowano w kronikach ludzkości.

Tej gorącej sierpniowej nocy 1883 roku w Bostonie Byron Somes, obudziwszy się ze swego straszliwego snu, siedział przez chwilę zastanawiając się nad tym, co w nim widział. W myślach wciąż słyszał krzyki przerażonych mieszkańców tropikalnej wyspy, beznadziejnie szukających ucieczki przed swoim przeznaczeniem.

Somes zapisał kilka szczegółów ze swego snu, dopóki były jeszcze żywe w jego pamięci, sądząc, że mogą mu się przydać w jednym z reportaży. Swoją notatkę opatrzył nagłówkiem "Ważne", położył na biurku i poszedł do domu.

Następnego dnia wiadomości o wypadkach na Krakatau, jakimi dysponowali korespondenci, były jeszcze znikome.

Somes prawdopodobnie nie przyszedł tego dnia do redakcji, ale jeden z kolegów najwidoczniej znalazł jego notatki i wziął je za informacje o sejsmologicznych zakłóceniach. Wydarzyło się coś niesamowitego, tylko gdzie? Następnie przyszedł fragmentaryczny raport z Batavii, który lokował katastrofę na Krakatau, wobec czego "The Boston Globe" 29 sierpnia zamieścił wspaniały opis katastrofy, oparty na fragmentach notatek Somesa. Inne gazety swoje opisy zaczerpnęły najwyraźniej z bostońskiego "Globu" i w ciągu bardzo krótkiego czasu niesamowity sen Somesa stał sią szeroko publikowaną wiadomością prasową.

Kiedy dyrekcja znalazła wreszcie Somesa i domagała się więcej szczegółów, dziennikarz przyznał, że to co wzięto za jego reportaż jest tylko roboczą notatką dotyczącą jego sennego koszmaru.

W tym samym momencie Byron Somes znalazł się na bruku wylany z gazeciarskiej roboty.

Zanim jednak "The Globe" zdołał opublikować jakiekolwiek wyjaśnienie w tej sprawie, sama przyroda uratowała gazetę. Ogromna fala morska wywołana wybuchem wulkanu uderzyła w brzegi Ameryki. Wiadomości zaczęły napływać z chwilą, gdy świadkowie katastrofy dotarli do miejsc, gdzie funkcjonowały telegrafy.

W miarę napływania informacji nieprawdopodobna trafność opisu opartego na śnie Byrona Somesa, stawała się coraz bardziej oczywista. Somes ponownie znalazł się wśród pracowników "Globu". Jednak dopiero dużo później, gdy wszystko już trochę przycichło, gazeta wydrukowała całą tę zdumiewającą historię publikacji o wybuchu wulkanu Krakatau.

Historia ta ma jeszcze jeden dziwny szczegół. W swoim śnie Somes zdawał się słyszeć przez cały czas słowo "Pralape". Nie miało to dla niego wtedy żadnego znaczenia, gdyż nie znał w ogóle takiego słowa. Dopiero wiele lat później za pośrednictwem holenderskiego towarzystwa historycznego dowiedział się, że "Pralape" to stara nazwa Krakatau – nie używana od dwóch wieków!

I to właśnie jest najbardziej zagadkowe w całej tej historii, każąc ją widzieć w doprawdy niezwykłym świetle. Zdarzają się na świecie katastrofy i nierzadkie są też katastroficzne sny. Z powodów czysto statystycznych powinno się zdarzać, że jedna lub nawet więcej osób będzie śniła o katastrofie, która gdzieś aktualnie ma miejsce lub zdarzy się w najbliższej przyszłości. Ale pojawienie się we śnie dawno już zapomnianej nazwy Krakatau, o której reporter nie miał pojęcia, stawia to wyjaśnienie pod dużym znakiem zapytania.

Podobna historia, w której wyśniła się katastrofa morska, przydarzyła się Adrianowi Christianowi z wyspy Man. Pod pewnymi względami jest to historia jeszcze bardziej nieprawdopodobna: można wyśnić katastrofę, która się przydarzy, ale żeby wyśnić także osobę, która zostanie uratowana – tego już za wiele! A na dodatek także i tu pojawia się we śnie pewne słowo, które nie miało prawa się przyśnić!!

W roku 1833 Adrian Christian śnił po raz pierwszy, że jest kapitanem statku. Jego brat Thomas znajdował się w tym samym czasie na innym statku, który tonął, i Christian uratował go. Opowiedział on swój dziwny sen rodzinie, a kiedy na przestrzeni trzech lat ten sam sen przydarzył się pięciokrotnie, jego matka, osoba wielce religijna, zapisała to na jednej z czystych kart rodzinnej Biblii.

Czterdzieści siedem lat później, we wrześniu 1880 r., Christian miał wiele powodów, by przypomnieć sobie o tym wydarzeniu. Był kapitanem statku "British India" i płynął z Sydney do Rangunu. Kiedy ucinał sobie popołudniową drzemkę – jego sen powrócił. Po raz kolejny więc śniło mu się, że jego brat znajduje się na tonącym statku. Najbliżej nocy jego sen nawiedził go raz jeszcze, choć tym razem we śnie zobaczył także coś nowego: nabazgrane na kawałku papieru słowo "rodzina".

Kiedy mijała noc, kapitan Christian nakazał zmianę kursu, chcąc płynąć na północ, co sprawiło, że znaleźli się na wielce niebezpiecznych wodach. Następnego dnia, 6 września, zauważono tonący statek. Zarządzono natychmiast akcję ratunkową i ocalono dwieście sześćdziesiąt dziewięć osób, w tym brata Christiana-Thomasa, który był szyprem na tonącym statku. Statku, który nazywał się "Rodzina"!

# SPIS TREŚCI

## CZĘŚĆ I

### TAJEMNICZE ZJAWISKA

Strzelec widmo 9
Niepojęte kremacje 12
Ludzie pod wysokim napięciem 16
Niesamowite fotografie 19
Północ w południe 22
Śmierć z kosmosu 25
Zdumiewające deszcze 28
Węże spadły na Memphis 33
Niewidzialne kły 38
Stygmaty 42
Płaczące obrazy 45
Telepatyczne wizje 49
Dźwiękowa lewitacja 53

### TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIA

Wymarła wioska 61
Zaginione zwłoki 64
Zaginione załogi 67
Nikt nie powrócił 70
Tajemnicze zniknięcie Davida Langa 73

### TAJEMNICZE OBIEKTY

Zagadka kamiennych kul 79
Nierdzewna kolumna 83
Czaszka z kryształu 87
Żywe skamieliny 89
Mumia z Wyoming 91
Koniec tajemnicy Całunu Turyńskiego 94

## TAJEMNICZE ISTOTY I STWORZENIA

Przedziwni napastnicy 105
Ufonauci 108
Yeti 112
Sasquatch 116
Neandertalczyk w bryle lodu? 121
Wąż kapitana Seabury'ego 125
Upiorny ptak z doliny Rio Grande 128
Odciski stóp diabła 133

## TAJEMNICZE MIEJSCA

Zagadka skały w Dighton 139
Skarb w studni 142
Głośne piaski 146
Najdziwniejsze miejsce na Ziemi 154

# CZĘŚĆ II

## NIEZWYKŁE ZDARZENIA

Morderstwo przy pomocy hipnozy 161
Niespokojny umarły 165
Zagadka śmierci Napoleona 169
Cień węża 171
Aztekowie XX wieku 174
Kto to napisał? 179
Przeklęty samochód 182
Fatalny krążownik 185
Nie kończąca się katastrofa 188
Połknięty przez wieloryba 192
Hinduski trik z liną 195
Powiedz pszczołom 199

NIEZWYKŁE ODKRYCIA

Dziwny silnik Johna Keely'ego 203
Zapomniany wynalazek 206
Zaklinacz deszczów 209
Iskra życia? 213
Martwi odkrywcy 215

NIEZWYKLI LUDZIE

Karły i liliputy 221
Olbrzymy na Ziemi 224
Najsilniejszy człowiek świata 227
Zbuntowany geniusz 230
Genialny idiota 233
Mistyk milioner 236
Ludzie komputery 240
Ludzie o rentgenowskich umysłach 245
Człowiek znikąd 253
Bliźniaczki 257
Przewodnik z powołania 263

NIEZWYKŁE SNY

Sny, które dokonały odkryć 269
Sen, który wskazał mordercę 273
Pomnik dla tajemnicy 279
Ocalony przez sen 282
Wyśnione katastrofy 285

NAJWIĘKSZE TAJEMNICE ŚWIATA

- Najdziwniejsze miejsce na Ziemi
- Zagadka płaczących obrazów
- Morderstwo przy pomocy hipnozy
- Tajemnicze istoty i stworzenia
- W jaki sposób sfałszowano Całun Turyński?
- Karły, liliputy, mumie ...

oraz 60 innych tajemnic i niezwykłości
na prawie 300 stronach

# Księgi tajemnic
## i rzeczy niezwykłych